

Błażej Przygodzki

Niech strawi cię
płomień



Błazej
Przygodzki

**Niech strawi cię
płomień**

WYDAWNICTWO LITERACKIE

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

19 czerwca, Wrocław, pracownia Nikodema Patockiego

19 czerwca, Instytut Historii Kultury

19 czerwca, Karłowice, ulica Konopnickiej

19 czerwca, Instytut Historii Kultury

19 czerwca, Plac Grunwaldzki, Akademik Dwudziestolatka

20 czerwca, Karłowice, ulica Konopnickiej

20 czerwca, Plac Grunwaldzki, Akademik Dwudziestolatka

Trzy miesiące później, 26 września, Szpital Miejski

27 września, Komenda Wojewódzka Policji

28 września, Plac Grunwaldzki, Akademik Dwudziestolatka

29 września, Szpital Miejski

30 września, Brochów

1 października, Mirków koło Wrocławia

1 października, Instytut Historii Kultury

1 października, Szpital Miejski, Oddział Intensywnej Opieki Neurologicznej

1 października, Bulwar Dunikowskiego

2 października, Komenda Wojewódzka Policji

2 października, Siedziba sądu rejonowego

3 października, Karłowice, ulica Konopnickiej

3 października, Komenda Wojewódzka Policji

4 października, Siedziba sądu rejonowego

4 października, Brochów

- 4 października, Siedziba sądu rejonowego
- 4 października, Biestrzyków pod Wrocławiem
- 4 października, Rynek
- 4 października, Biestrzyków pod Wrocławiem
- 7 października, Rynek, kawiarnia Literatka
- 7 października, Komenda Wojewódzka Policji
- 7 października, Plac Grunwaldzki, Akademik Dwudziestolatka
- 7 października, Ulica Krzycka
- 10 października, Okolice placu Grunwaldzkiego
- 10 października, Plac Kromera
- 10 października, Park Szczytnicki
- 10 października, Ulica Wiwulskiego
- 10 października, Komenda Wojewódzka Policji
- 13 października, Komenda Wojewódzka Policji
- 14 października, Instytut Historii Kultury
- 15 października, Rawa Ruska, przejście graniczne
- 16 października, Komenda Wojewódzka Policji
- 17 października, Biestrzyków pod Wrocławiem
- 19 października, Brochów
- 19 października, Komenda Wojewódzka Policji
- 21 października, Instytut Historii Kultury
- 24 października, Ulica Wandy
- 27 października, Areszt śledczy, ulica Świebodzka 1
- 28 października, Centrum sportowe Olimp
- 30 października, Instytut Historii Kultury
- 30 października, Areszt śledczy, ulica Świebodzka 1
- 30 października, Rynek, ratusz
- 30 października, Komenda Wojewódzka Policji
- 30 października, Przedmieście Oławskie, ulica Zgodna
- 2 listopada, Mirków koło Wrocławia

2 listopada, Komenda Wojewódzka Policji
2 listopada, Areszt śledczy, ulica Świebodzka 1
3 listopada, Agencja reklamowa Promo, ulica Odrzańska 5
4 listopada, Szpital MSWiA, Ołbin
4 listopada, Klinika chirurgii plastycznej, ulica Jedności Narodowej 5
5 listopada, Port lotniczy im. M. Kopernika we Wrocławiu
5 listopada, Karłowice, ulica Konopnickiej
5 listopada, Port lotniczy im. M. Kopernika we Wrocławiu
29 listopada, Oddział Ostrych Zatruc, ulica Traugutta
1 grudnia, Karłowice, ulica Konopnickiej
2 grudnia, Galeria handlowa, plac Dominikański
4 grudnia, Areszt śledczy, ulica Świebodzka 1
5 grudnia, Komenda Wojewódzka Policji
6 grudnia, Więzienie w Wołowie
Komenda Wojewódzka Policji
Podziękowania

Opieka redakcyjna: WALDEMAR POPEK

Redakcja: JUSTYNA CHMIELEWSKA

Korekta: KAMIL BOGUSIEWICZ, LIDIA TIMOFIEJCZYK, MAŁGORZATA WÓJCIK

Projekt okładki i stron tytułowych: WITOLD SIEMASZKIEWICZ

Zdjęcie na pierwszej stronie okładki: GRZEGORZ KOZAKIEWICZ

Redakcja techniczna: BOŻENA KORBUT

Skład i łamanie: Infomarket

© Copyright by Błażej Przygodzki

© Copyright for this edition by Wydawnictwo Literackie, 2014

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-08-05678-3

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.

ul. Długa 1, 31-147 Kraków

tel. (+48 12) 619 27 70

fax. (+48 12) 430 00 96

bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40

e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl

Księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

Wszelkie podobieństwo bohaterów powieści do osób rzeczywistych jest przypadkowe.

*Nieźmiennie Oli
za pomoc i cierpliwość
oraz Emilce,
która niedługo przyjdzie na świat.*

19 czerwca

Wrocław,

pracownia Nikodema Patockiego

Malarz patrzył na marszanda z rosnącą niechęcią. Facet targował się z nim, jakby chodziło o komplet używanych alufelg albo cenę przyczepy rzepaku. Potrząsnął smukłą dłonią i wycelował w czuprynę Gorbaczewskiego wskazujący palec.

– Podobno w Amsterdamie sprzedałeś wszystkie moje prace bez większego problemu.

– Skąd wiesz?

– Bo właśnie mi o tym powiedziałaś – uśmiechnął się złośliwie Nikodem Patocki.

– Zmieniają się trendy – stwierdził marszand, załamując ręce. – Malarze z Europy Wschodniej już nie są na topie. Krytycy stawiają na twórców z Pakistanu albo Iranu, szaleje kryzys. Musisz zejść z ceny albo obaj wypadniemy z obiegu – dodał omdlewającym głosem.

– Nie! – odparował Patocki najzwięźle jak potrafił.

– Czy ja ci kiedykolwiek źle radziłem? – Olaf Gorbaczewski obojętnym wzrokiem wodził po zapakowanych w szary papier świeżo oprawionych pracach. Udawał, że te pachnące olejną farbą obrazy w ogóle go nie interesują.

Malarz podrapał się po owłosionym torsie, który ledwie skrywała bawełniana koszulka upakowana plamami we wszystkich kolorach.

– Pamiętaj, że gadasz nie z ambitnym studenciakiem, ale z facetem, któremu ostatni „Art of the World” poświęcił półtorej strony – wymruczał, mrużąc przekrwione oczy. – A zresztą, jak sam wspominałeś, jest bida, a płótna to najlepsza lokata kapitału. Zwijasz w rulonik i czekasz na lepsze czasy. Wystawa w ratuszu będzie sukcesem. Masz to jak w banku. – Patocki zapalił papierosa. Twarz chciwego handlarza zasłoniły opary dymu.

– Ostro grasz – powiedział Gorbaczewski, przygryzając wargi. – Z takim talentem do negocjacji sam możesz sprzedawać swoje prace.

– Niestety nie umiem się targować – mruknął z ironią Patocki, wyciągając z rzeźbionego barłku wódkę i dwa kieliszki. – Wychylisz jednego?

– Przecież wiesz, że nie piję. – Kupiec potrząsnął głową tak energicznie, że aż chrupnęły mu kręgi szyjne. – Mam jeszcze kilka spraw do załatwienia. Jesteśmy w kontakcie.

– Kiedy tylko zechcesz, byleby nie przed dziesiątą. – Patocki nie umiał dogadywać się z abstynentami. Dzwonili z samego rana, a na imprezy przynosili zestawy karaoke i gry planszowe.

– Do zobaczenia, mistrzu – rzucił ironicznie marszand, próbując zmieścić się w drzwiach z przygotowanymi dla niego obrazami.

Patocki pomachał mu niedbale i zapadł się w niewygodnym fotelu pokrytym purpurowym

obiciem. Siedzisko to w XIX wieku należało do jakiegoś cherlawego księcia świdnickiego. Mebel trzeszczał niemiłosiernie i odbierał poczucie godności każdemu, kto się na nim mościł. Bez różnicy, czy był to szlachcic, czy nowobogacki malarz. Patocki nigdy nie obrażał się, gdy ktoś tak o nim mówił. W określeniu „nowobogacki” kryło się słowo „bogaty”, a to mu w zupełności wystarczało.

Po raz kolejny napełnił kieliszek i wznosił toast w stronę dwóch ledwie słyszalnych przemysłowych klimatyzatorów. Ukryta przy parku Południowym pracownia była jak pięciogwiazdkowy hotel w samym środku raj. Przestronna jak sala gimnastyczna, a zarazem przytulna niczym domek w górach. Dębowa boazeria pachniała woskiem, a wielkie okna zamontowane na spadzistym dachu zapewniały doskonałe warunki do pracy.

Wódka dotarła tam, gdzie trzeba. Malarz uśmiechnął się błogo i schował butelkę do doskonale zaopatrzonego barku. Gentleman nie pije przed trzy nastą. Nie pije więcej niż setkę czystego alkoholu. Wciągnął nosem zapach orientalnych perfum, których mgiełkę pozostawił po sobie marszand. Patocki poznał go podczas obrony dyplomu na wrocławskiej Akademii Sztuk Pięknych. Gorbaczewski przyjechał na uczelnię swoim rozklekotanym czarnym busem. Od każdego studenta kupił za grosze jedną z prac. Nawet ich nie oglądał, brał jak leci. Spisywał tylko na karteczce nazwiska i przyklejał do dzieł, spośród których większość nadawała się tylko do straszenia niegrzecznych dzieci. Gorbaczewski dobrze jednak wiedział, co robi. Statystycznie kilku z tych nieopierzonych twórców zyska w przyszłości sławę, a wówczas wartość ich pierwszych dzieł podskoczy o kilka tysięcy procent. To zrekompensuje wydatki na całą resztę bohomazów.

Dwadzieścia lat temu Nikodem Patocki nie rokował zbyt dobrze. Profesorowie twierdzili, że jest leniwy. Jego pracom brakowało lekkości, źle dobierał proporcje i kolory. Zamiast pracować nad warsztatem, wolał spać do południa i podrywać dziewczyny zdradzające słabość do snujących się w sztruksach artystów.

Po ukończeniu studiów Patocki wynajął przy Kościuszki starą oficynę z wejściem od podwórka. Tak powstała pracownia, której przyszłość malowała się w najciemniejszych odcieniach czerni. Nikt nie zamawiał portretów, a górskie pejzaże przegrywały konkurencję z asortymentem działu dekoracji w Castoramie. Po roku Nikodem płynnie przeszedł na utrzymanie świeżo poślubionej żony. Marlena Patocka nie żałowała ciężko zarobionych w rodzinnej cukierni pieniędzy, ale długi wciąż rosły. Nadciągająca katastrofa miała twarz zmęczonego życiem komornika. Urzędnik sprawnym ruchem zawiesił kłódkę na drzwiach pracowni, a następnie wycenił zajęte obrazy na podstawie wartości ram. Tak haniebne potraktowanie dorobku artystycznego ostatecznie przekonało Patockiego, że jego powołaniem jest praca u teścia przy dekorowaniu ślubnych tortów. Zanim jednak schował pędzle do szuflady, poszedł do kościoła – i wtedy stał się cud. Bóg polubił pechowego malarza, a życie Nikodema z tak potężnym patronem zmieniło się nie do poznania.

Wkrótce Patocki stał się osobą zamożną i atrakcyjną towarzysko. Dziś wieczorem zaprosił do siebie bardzo ciekawych gości: pułkownika Zenona Jaszczaka i doktora Tadeusza Szczęsnego. Weekend, jak mawiają w Rosji, rzecz święta. Nikodem starannie umył pędzle w rozpuszczalniku i zaciągnął rolety. Zanim włożył klucz do zamka, zawahał się przez chwilę. Podszedł do barku i otworzył go po raz kolejny. Życie na trzeźwo jest zdecydowanie przereklamowane.

19 czerwca

Instytut Historii Kultury

Pola Rajewicz trzymała w ręku wypożyczoną z biblioteki książkę. Otwierała co chwile opasłe tomisko na losowo wybranych stronach i próbowała powtarzać materiał. Wiedziała, że jest za późno, ale chciała uspokoić resztki sumienia. Nigdy nie potrafiła zrozumieć polityki, a polityka w ujęciu starożytnym była dla niej już całkowitą czarną magią. Senat rzymski jako ciało ustawodawcze w czasach republiki i najwyższe ciało ustawodawcze w okresie cesarstwa... Kręciło jej się w głowie od tych wyszłach niepotrzebnych w dzisiejszym świecie informacji. Klótnie, walki frakcji i optymatów. Kogo w XXI wieku obchodzą intrzygi tych tłustych, antycznych mądrali.

Odłożyła książkę na oblażony z białej farby parapet. Obiecała sobie, że nie będzie panikować. Przez opadającą na oczy grzywkę omiotła spojrzeniem korytarz, po którym przechadzały się dziewczyny ubrane w granatowe spódnice i białe bluzeczki.

– Halo, drogie panie! Mamy dwudziesty pierwszy wiek – powiedziała z wyższością.

Właśnie kończył się trzeci rok studiów, tymczasem ona nie spotkała jeszcze na uniwerku ani jednej bratniej duszy. Owszem, było z kim pogadać, ale to wszystko. Facetów od małych dzieci różnił jeden atrybut: mieli przyrośnięte do dłoni puszką taniego piwa. Dziewczyny (zwłaszcza te przyjezdne) marzyły tylko o tym, żeby jak najszybciej wyjść za mąż, a potem kupić na raty dwupokojowe mieszkanie w dobrej dzielnicy Wrocławia.

Pola musiała przestać myśleć o głupstwach w pierwszej klasie liceum, kiedy jej ojciec zginął w wypadku samochodowym. Józef Rajewicz był zawodowym kierowcą. Dwa razy w tygodniu jechał do Gdyni po świeże ryby. Potem rozwoził towar do sklepów jednej z sieci handlowych. Tego dnia miał zrobić ostatni kurs przed urlopem. Wracając, zadzwonił do żony, żeby spakowała wędki i kupiła coś na komary. Zanim odłożył słuchawkę, zobaczył przed sobą srebrne audi A3. Chcąc uniknąć zderzenia, wyładował na drzewie.

Lekarze ze Szpitala Czterdziestolecia robili, co mogli. Najpierw stan ojca był krytyczny, potem stabilny, aż wreszcie stabilny niezagrażający życiu. Kiedy już mieli go przenieść z oddziału intensywnej terapii na internę, wdała się sepsa. Umarł dwa dni później. Matka się załamała, więc to Pola musiała być silna. Stworzyła sobie kodeks, który pomógł jej przetrwać. Pierwsza zasada: płakać tylko w samotności. Druga: nie przejmować się głupstwami. Trzecia: manipulować ludźmi. Niech robią, co chcesz, i niech sprawia im to przyjemność.

Z gabinetu Oskara Kwietniowskiego wyszło kolejne zapłakane dziewczę. Doktor był w złym humorze i postanowił wykosić w pierwszym terminie połowę grupy. Zadawał podchwytliwe pytania, czepiał się szczegółów, punktował każdy najdrobniejszy błąd.

– Pani Rajewicz. Zapraszam do środka – mruknął, niedbale uchylając drzwi.

Pola z nadzieją popatrzyła na przypiętego do torebki, przynoszącego jej szczęście pluszowego tygryśka i niepewnie weszła do gabinetu. Pomieszczenie było małe i dokładnie wypełnione starymi śmierzdzącymi książkami.

Ale cię Google zrobił na szaro, pomyślała, siadając na niewygodnym drewnianym krześle. Teraz w moim smartfonie jest więcej wiedzy niż w całej tej twojej poźółkłej biblioteczce.

– No, to zobaczymy, czy chociaż pani Rajewicz nie ma wstępu do lektur – rzucił Kwietniowski, odczytując jej myśli. – Może wreszcie komuś uda się zaliczyć mój egzamin – dodał, wertując indeks.

– Też mam taką nadzieję, panie doktorze. – Pola uśmiechnęła się i poprawiła kołnierzyk.

Pan doktor pewnie zdążył zauważyć, że nie ma stanika, a jej starannie ogolone nogi posmarowane są oliwką. Pola była zafascynowana powracającą modą na stylistkę pin-up girl, typową dla lat sześćdziesiątych. Podkreślała swoją kobiecość, nosząc nylonowe pończochy i krótkie kwieciste sukienki. Nie żałowała krwistoczerwonej szminki, doklejała sztuczne rzęsy, podkręcała lokówką włosy. Jednak, tak samo jak dziewczyny z tamtej epoki, nie była wymuskaną damą. Potrafiła siarczyście przekłąć, pić whisky na równi z facetami albo zakasać rękawy i wziąć się do mycia podłogi.

Wiedziała również, jakie wrażenie robi na mężczyznach. Wystarczyło śmiać się z ich żartów i wygrywać z nimi w piłkę nożną na PlayStation. Teraz przyszedł moment, w którym jej uroda miała osiągnąć wymierny skutek. Zdanie egzaminu za kilka uśmiechów oraz lekką, niewinny flirt z znużonym małżeńskim kieratem naukowcem. Pola rozgryzła Kwietniowskiego już po pierwszych zajęciach. Miał o sobie wysokie mniemanie, ale w istocie był szarym, lekko zakompleksionym z powodu niskiego wzrostu facetem. Wodził za nią głodnym wzrokiem, gdy wychodziła z sali wykładowej. Podczas zajęć zawsze kręcił się tam, gdzie siedziała. Dlatego dzisiaj specjalnie dla niego włożyła sukienkę przed kolana i błyszczące czarne szpilki. Niech sobie popatrzy. W domu pewnie tego nie ma.

Kwietniowski uśmiechnął się nieznacznie, gdy weszła do gabinetu, ale zaraz potem jego twarz przybrała surowy wyraz.

Nie do twarzy ci z tym marszem na czole, doktorku, pomyślała, patrząc na niego przy milnie.

– Proszę omówić podstawowe zasady działania demokracji ateńskiej – zadysponował Kwietniowski, składając dłonie w piramidkę. – Wszystko jasne?

– Oczywiście, panie doktorze. – Dziewczyna się uśmiechnęła.

Miała go w garści. Pytanie było łatwe. Wręcz banalne. Odpowiadała cichym, spokojnym, pewnym głosem. Czekala, aż Kwietniowski powie „stop” i ostatni egzamin ze starożytnych form ustrojowych przejdzie do historii. W pewnym momencie uświadomiła sobie jednak, że wykładowca jej nie słucha. Opiera się ręką o biurko i pustym wzrokiem patrzy w okno.

– Jak miemam, czytała pani *Wojnę peloponeską* Tukidydesa? – zapytał, oglądając od niechcienia swoje wypielęgnowane paznokcie.

– Jasne – skłamała, uśmiechając się najładniej jak potrafiła.

– Czy zgadza się pani z opinią, że ten wspaniały grecki historyk był prekursorem realizmu politycznego?

– Chyba tak – Pola poczuła, jak szare komórki w popłochu opuszczają jej głowę.

– Więc jak na wojnę peloponeską patrzył Tukidydes? – Kwietniowski rozsiadł się wygodnie na fotelu. W kąciuku ust drgał mu ironiczny uśmiech.

– Tego nie było w spisie lektur obowiązkowych.

– Przed chwilą powiedziała pani, że czytała.

– Czytałam... to znaczy... czytałam, ale nie do końca. – Pola poczuła, jak oblewa się rumieńcem, zaczęła swędzieć ją skóra. Coś poszło nie tak. Sprawy wymknęły się spod kontroli. Jeżeli Kwietniowski jest gejem, to znaczy, że zrobiła z siebie ciężką idiotkę.

– No i co ja mam teraz z panią zrobić? – zapytał, biorąc do ręki indeks. – Poległa pani na drugim, w zasadzie banalnym pytaniu. Możemy jeszcze rozmawiać, ale domyślam się, że to będzie marnowanie mojego czasu.

Pola wbiła wzrok w popękana gumową wykładzinę. Zaraz jak jej poprzedniczka skończy egzamin z bańką w indeksie.

– Jakie skutki miało ograniczenie roli areopagu przez Efialtaesa? – Kwietniowski bawił się nią jak kot ranną myszką.

– Nie wiem – przyznała cicho.

– No cóż, w takim razie zobaczymy się znów we wrześniu. Mam nadzieję, że wtedy poświęci pani mniej czasu na makijaż, a więcej na naukę.

– We wrześniu mam załatwioną pracę w Norwegii. Nie mogłabym spróbować jeszcze raz za kilka dni?

– Przykro mi, ale zazwyczaj nie wyznaczam takich dodatkowych terminów – powiedział Kwietniowski, biorąc do ręki długopis.

Zazwyczaj – powtórzyła w myślach Pola.

Jest jeszcze nadzieja.

– Nie lubię robić studentom krzywdy, ale pani po prostu nie przygotowała się do naszego spotkania. – Doktor wyprostował się na krześle, a Pola zobaczyła w jego oczach błysk. Znała to spojrzenie. Tak reagowali koledzy z grupy, gdy komuś udało się podczas imprezy dojrzeć koronkę jej pończoch.

– Może jakiś się dogadamy, panie doktorze? – zapytała, trochę nie wierząc własnym słowom. Myśl, że ten facet mógłby teraz zamknąć na klucz drzwi gabinetu i spróbować szybkiego seksu, napawała ją przerażeniem. Nie miała jednak wyboru. Musiała kontynuować grę, którą sama rozpoczęła.

– Dogadamy się? – powtórzył Kwietniowski. – Co ma pani na myśli? – zapytał, stukając palcem w twardą okładkę indeksu. Miesiąc temu skończył trzydzieści siedem lat, wyglądał jednak znacznie młodziej. Pilnował diety, jeździł na rowerze, latem spał zawsze przy otwartym oknie. Trzymał się prosto i zadzierał głowę wysoko do góry. Mężczyzna, który mierzy niecałe sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu, nie może się garbić.

– Nie podobam się panu? – zapytała zmysłowo Pola.

Kwietniowski nie odpowiedział, lecz dziewczyna dostrzegła, jak nieznacznie oblizuje wargi. Ten drań zachęcał ją do dalszej gry. Miał dobrze zapowiadającą się karierę naukową, żonę, a mimo to szukał przygód.

– Nie mogę oblać tego egzaminu – powiedziała cicho. – Chyba wiem, jak pana przekonać do podwyższenia mi oceny.

Kwietniowski dalej milczał. Bawił się, włączając i wyłączając długopis.

– Wstań – mruknął wreszcie, śledząc każdy ruch dziewczyny.

Poli zakręciło się w głowie. Dotknęła jedynego guziczka pod sporym dekoltem zwiewnej kwiecistej sukienki.

– Mam rozpiąć? – zapytała drżącym głosem. – Jeśli zdam egzamin, zrobię, co pan sobie życzy.

– Czy li?

– Wszystko, od czego pana żona dostaje migreny.

Przez twarz wykładowcy przeszedł skurcz.

– Podnieś głowę – nakazał twardym, ostrym tonem.

Pola wykonała polecenie. Walczyła ze wszystkimi siłami, żeby się nie rozplakać.

– Co dalej? – zapytała.

– Popatrz, co stoi na ostatniej półce regału.

– Słucham? – Zmrużyła oczy. Sytuacja stawała się coraz bardziej absurdalna. Coraz bardziej przerażająca.

– Tego regału przy oknie – dodał ze spokojem Kwietniowski. Pokazał palcem zawałony książkami i peerelewski mebel.

Dziewczyna podniosła głowę. Chaotycznie wodziła wzrokiem po grzbietach rozsypujących się podręczników. Wreszcie zobaczyła niewielki przedmiot umieszczony pomiędzy opasłymi tomami *Historii filozofii* Władysława Tatarkiewicza. Poczuli ciarki na plecach. Z wysokości dwóch metrów patrzył na nią obiekt w szerokołątnej lamery. Świecąca na czerwono lampka nagrywania została zaklejona plastrem.

19 czerwca

Karłowice, ulica Konopnickiej

Marlena Patocka uważała, że najczęściej o charakterze kobiety mówi jej torebka. Jeśli jest duża i ciężka, mamy do czynienia z osobą praktyczną, która wyżej niż wygodę ceni fakt, że ma przy sobie otwieracz do konserw, książkę oraz trzy rodzaje pudrów. Drugi typ stanowią dziewczyny z przewieszonymi przez ramię malutkimi dziełami sztuki – stawiają na elegancję, ale gdy partnera rozboli głowa, nie proponują mu na szybko aspiryny, wody do popicia ani cukierka na poprawę humoru.

Patocka należała do pierwszego gatunku kobiet i widziała w tym jeden zasadniczy minus. Znalezienie telefonu, zanim włączyła się poczta głosowa, wymagało zręczności kieszonkowca.

Dzisiaj jednak udało jej się odebrać za pierwszym razem. Dzwonił Nikodem. Był w doskonałym humorze i raczył uprzedzić, że wieczorem będą mieli gości. Z tego jaki był rozmowny, wnioskuje, że zaczął świętować już wcześniej.

– Piątek, piąteczek, piątunio – powtarzał, zanim się rozłączył. Prosił, żeby kupiła alkohol i coś na ząb.

Marlena nie miała pojęcia, dlaczego jej mąż tak lubi weekendy, skoro codziennie śpi do dziesiątej, a wieczorem rzadko kończy na jednej czy dwóch lampkach wina.

Jeszcze dwa lata temu zawsze czekała, aż wróci z pracowni. Każdy dzień tygodnia był dla Patockiej taki sam. Wszystko zmieniło się za sprawą znajomości Nikodema. Została członkiem artystycznej fundacji ojców dominikanów. Księża wspierali młode talenty i organizowali wystawy malarskie o tematyce sakralnej. Marlena odpowiadała za kontakty z lokalnymi mediami, pozyskiwała pieniądze z miejskiej kasy i od sponsorów. Czuła się potrzebna, ważna i doceniana.

Wysiadła z tramwaju numer siedem przy brązowych blokach i weszła do sklepu na starej pętli. Zamiast dwóch butelek wódki kupiła trzy. Zresztą ilekolwiek by ich było, alkoholu zawsze zabraknie. Wzięła też łososia, grzyby w zalewie, cztery porcje gotowego sushi oraz polędwicę z tuńczyka.

Z siatkami pełnymi zakupów przebiegła na czerwonym świetle przez ulicę Kasprowicza. Karłowice pachniały latem, a ptaki nigdzie nie ćwierkały tak cudownie jak tutaj. Właściwie cieszyła się, że nie potrafi jeździć samochodem, w związku z czym czeka ją dziesięćminutowy spacer w kierunku domu.

Minęła przychodnię przy ulicy Lindego i nieczynne kino Ognisko. Za każdym razem, kiedy przechodziła obok zrujnowanego budynku, przypominała sobie czasy młodości. Najpierw świetność kina, do którego zjeżdżali mieszkańcy całego Dolnego Śląska, potem jego powolny upadek, gdy ludzie zaczęli przywozić z RFN pierwsze magnetowidy, i wreszcie koniec, kiedy powstały multipleksy. Stary właściciel walczył do końca. Był dyrektorem, bileterem, sprzątaczem, a czasem nawet sam obsługiwał projektor. Marlena siedziała z koleżankami na schodach kina i zapraszała przechodniów na seans. Jeśli zebrały minimum dziesięć osób,

właściciel zgadzał się puścić wybrany film.

– *To se ne vrati* – powiedziała, wchodząc do domu. Postawiony w latach siedemdziesiątych budynek wyglądał jak kanciaste pudełko, w środku jednak na gości czekała niespodzianka. To peerelowskie brzydactwo miało wyjątkowo bogate i piękne wnętrze. Każde z luksusowo urządzonych pięter pełniło inną funkcję. Na samej górze znajdował się pokój kąpielowy z wanną tak wielką, że można w niej było wykonać kilka ruchów kraulem. Ręcznie malowane płytki zostały sprowadzone z Meksyku. Na spodzie wyglądającej jak miniaturowa fontanna umywalki podpisał się jakiś włoski projektant. Największe wrażenie robił jednak stojący pośrodku łazienki kominek.

– Każdy marzy o kominku w salonie, a ja chcę mieć taki bajer tutaj – tłumaczył Nikodem drapiącemu się po głowie architektowi. – Połączmy ogień i wodę w jeden żywiol.

Piętro zajmowała olbrzymia sypialnia, w której większość mebli stanowiły w jakiś tajemniczy sposób pasujące do siebie antyki. Komody i kryształowe lustra pamiętały smutne czasy powstania listopadowego, a krzesła o rzeźbionych oparciach towarzyszyły Wielkiej Rewolucji Francuskiej.

Na parterze znajdowały się pokój bilardowy oraz połączony z kuchnią salon. Tam wszystkie meble błyszczały nowością i razily w oczy białym lakierem. Białe były podłogi, drzwi, poduszki, sprzęty kuchenne, a nawet telewizor i zestaw muzyczny. Na stoliku z młecznego szkła stała zawsze pełna butelka malibu i sok na bazie ekstraktu z kokosa.

Przed remontem dom należał do rodziców Marleny. Wtedy urządzony był skromnie, lecz z drobnomieszczańską starannością. Ojciec prowadził niewielką cukiernię na ulicy Lindego. W złotych czasach po robione przez niego torty ustawiały się kolejki. Matka zajmowała się domem. Byli szczęśliwi. Rozpuszczona jedynaczka i dumni rodzice. Ojciec nie akceptował jej związku z Nikodemem, ale zacisnął usta, nawet gdy się do nich wprowadził. Pytał tylko z coraz większą rezygnacją, kiedy ich zięć weźmie się do jakiejś poważnej roboty. Potem matka zachorowała. Walka o jej życie trwała cztery lata i pochłonięła wszystkie oszczędności. By pokryć koszty ostatniej operacji w Hamburgu, zastawili dom. Obrazy Nikodema już wtedy sprzedawały się dobrze, ale ojciec nie chciał żadnej pomocy. Twierdził, że poradzi sobie sam. Zmarł trzy miesiące po żonie. Nikodem spłacił jego długi i wykupił dom. Marlena zobaczyła wtedy, jak jej mąż z wrażliwego artysty staje się twardym biznesmenem. W młodości oczy błyszczały mu tak samo jak każdemu marzycielowi, który jest przekonany, że potrafi zadziwić świat. Miał jedno sztruksowe spodnie – wkładał je na uczelnię, randkę i elegancki obiad z przyszłymi miłośnikami. Lubił imprezy, zresztą z wzajemnością. Dawał napiwki barmanom, a następnego dnia nie starczało mu pieniędzy na śniadanie. Nosił długie jasne włosy opadające na ramiona, niedbały zarost i miał seksowny dołeczek na brodzie. Wyglądał jak Kurt Cobain albo i lepiej. Marlena zakochała się w nim bez pamięci. Sama poza urodą niewiele miała do zaoferowania. Skończyła policealną szkołę reklamy i dorabiała u ojca. Jeśli każdy klient, który ją podrywał, wrzuciłby do puszki złotówkę, byłaby bogata. Później zaczęły się kłopoty z hormonami. Przytyła, a jej delikatne rysy zniknęły w fałdach tłuszczu. Nie miała jednak z tego powodu kompleksów, diety omijała szerokim łukiem. Wolała nadwagę niż burczący brzuch. Lubiała gotować, smażyć i piec.

Rozpakowała na marmurowym blacie połędwicę z tuńczyka i obrała cebulę. Mięso poszatkuje i już teraz przyprawi świeżym pieprzem. Jajko i pesto doda tuż przed przyjściem kolegów męża.

Klucz zachrobotał w zamku. Do mieszkania wszedł Nikodem. Roztaczał wokół siebie woń alkoholu, ale nie wyglądał na bardzo pijanego.

– Hej! – krzyknął, machając ręką. Nie zdejmując szmacianych tenisówek, wszedł do kuchni i wypił duszkiem pół butelki wody mineralnej.

– Myślałam, że będziesz później. – Marlena pocałowała go w policzek

– O, tatar! – Nikodem zanurzył palec w surowym mięsie. – Szczęsny pewnie powie, że podobnie podanego jadał w Ameryce Południowej.

– Za to pan pułkownik pomyśli, że je szprotki z puszki – zaśmiała się Marlena, bijąc męża po ręce. – Zostaw, bo dla gości nie będzie.

– Zamówię takie żarełko na wernisaż. – Patocki oblizał usta. – Przyjdzie dyrektor Wydziału Kultury z nową żoną, kardynał też obiecał, że wpadnie, TVP chce zrobić wywiad na żywo. Ratusz będzie należał do mnie – oświadczył, wchodząc po schodach. – Idę na drzemkę. Weekend właściwie się jeszcze nie zaczął, a ja już jestem zmęczony – ziewnęła ostentacyjnie.

Nagle przy stanął i spochmurniał, coś sobie przypomniałszy.

– To ostatnia wystawa, jaką robię z Gorbaczewskim.

– Coś się stało? – zapytała Marlena, szatkując mięso.

– Nic konkretnego. Po prostu facet na kilometr śmierdzi cwaniakiem – westchnął ciężko, znikając za drzwiami sypialni. Z ulgą położył się na olbrzymim łóżku z baldachimem i zaczął chrapać, zanim na dobre zamknął oczy.

19 czerwca

Instytut Historii Kultury

Pola wpatrywała się w czubki swoich błyszczących czarnych szpilek. Wstydziła się zapuchniętej twarzy i rozmazanego makijażu. Siedziała na krześle z pochyloną głową i przeklinała w duchu własną głupotę. Kwietniowski był spokojny i opanowany. Zdemontował ukrytą na regale kamerę i wraz z lablami położył ją na biurku. Bawił się trzymaną w ręku miniaturową kasetą i lustrował dziewczynę bez cienia współczucia.

– Myślałaś, że w ten sposób zdasz egzamin?

– Sądziłam, że pan tego chce – wychlipała cicho.

– Jesteś taka głupia czy po prostu bezczelna?

– Nie wiem, co się ze mną stało... ja do tej pory nigdy... naprawdę...

– Trochę za późno na skruchę – powiedział groźnie Kwietniowski. – Jesteś dorosła i musisz odpowiadać za swoje zachowanie.

Pola bezradnie pokiwała głową.

– Obserwuję cię od dłuższego czasu. – Doktor rozsiadł się w skórzanym fotelu i złożył ręce pod brodą. – Muszę przyznać, że wyróżniasz się wyglądem i zachowaniem. Myślisz, że jesteś lepsza od innych i dlatego wolno ci iść na skróty. Nie myślę się, prawda?

Pola przygryzła wargi. Nie wiedziała, co lepsze: próbować się tłumaczyć czy przyznać mu rację. Doktor jednak nie czekał na odpowiedź.

– Jestem niezłym psychologiem – obwieścił buńczucznie. – Przewidywałem, że stać cię na coś takiego. Dlatego właśnie zamontowałem kamerę.

– Ale po co? – zapytała cicho Pola. – Chce mnie pan jeszcze bardziej poniżyć?

– Zrobiłem to dla swojego bezpieczeństwa. Nie jesteś pierwszą dziewczyną na tej uczelni, która woli pracować inną częścią ciała niż mózgiem.

Pola wreszcie odważyła się popatrzeć na Kwietniowskiego. Wykładowca wstał raptownie zza biurka i podszedł do okna.

– Widzisz, kilka lat temu ktoś puścił wstrętą plotkę, że można u mnie zaliczyć egzamin w zamian za seks – mówił, nie patrząc na Polę. – Jedna ze studentek, która wyleciała po takiej propozycji z sali, chciała się zemścić. Twierdziła, że to ja czyniłem niestosowne propozycje. Władze uczelni stanęły po mojej stronie, ale od tego czasu postanowiłem zabezpieczać się na takie okoliczności. – Wziął do ręki kamerkę i wycelował obiektyw w zapłakaną twarz dziewczyny. – Tak mały drobiazg, a ile może zdziałać.

– Co teraz ze mną będzie? – zapytała Pola. Marzyła, żeby jak najszybciej wyjść z gabinetu i zapaść się pod ziemię.

Doktor stanął obok krzesła. Dziewczyna poczuła zapach płynu do płukania ust.

– A jak myślisz?

– Jeśli pójdzie pan do dziekana, wyrzucą mnie z uniwerku. Dostanę wilczy bilet na wszystkie uczelnie w Polsce – powiedziała cicho.

– Niestety tupet i głupota kosztują. – Kwietniowski rozłożył ręce. – Grozi ci jeszcze wyrok w zawieszeniu, bo sprawa trafi na policję. Mamy tu do czynienia z oczywistą próbą przekupstwa.

Pola pomyślała o palącej się ze wstydu matce i powrocie do rodzinnego Kalisza z etykietką dziwki.

– Proszę... Błagam... Niech pan da mi jeszcze jedną szansę – skamlała ponizona.

Kwietniowski chrząknął, przytykając pięść do ust.

– Myślisz, że na nią zasługujesz?

– Pojawię się we wrześniu i będę znała na pamięć wszystkie lektury – zapewniała gorliwie, kładąc rękę na sercu.

Na twarzy doktora pojawiło się coś w rodzaju dobrotliwego uśmiechu.

– Nie lubię niszczyć ludzi. Dlatego to, co się stało, pozostanie naszą tajemnicą – zdecydował, ścisząc głos. – Idź już – mruknął, szybkim ruchem wpisując do indeksu ocenę niedostateczną.

– Dziękuję – wyszeptala. – Bardzo panu dziękuję. – Czuliła się jak gladiator, któremu po przegranej walce wszechmocny cesarz darował życie.

– Wytrzyj ten makijaż i poproś kolejną osobę – uśmiechnął się Kwietniowski. Wyjął z kieszeni szuflady jednorazowe chusteczki i rzucił na biurko. – Jeszcze ktoś pomyśli, że was tutaj wszyscy stłach biję.

Pola starannie przetarła zaczerwienione oczy. Nie potrzebowała lustra, żeby wiedzieć, że wygląda fatalnie. Ukłoniła się doktorowi i podeszła do drzwi.

– Poczekaj sekundę – zakomenderował Kwietniowski, zanim nacisnęła kławkę. – Masz w domu *Wojnę peloponeską*?

– Nie, ale jeszcze dzisiaj pożyczę.

– Chce ci się szwendać po bibliotekach? – zapytał z troską. – Wpadnij wieczorem do mnie. Dam ci książkę i dokończymy na spokojnie tę rozmowę. Zapamiętasz adres?

– Jasne. – Pola poczuła, jak początkowo uniesiony cesarski kciuk powoli kieruje się ku ziemi.

19 czerwca

Plac Grunwaldzki

Akademik Dwudziestolatka

Łazienka była mała i ciemna. Zwisająca z kinkietu energooszczędna żarówka świeciła sinym, ponurym blaskiem. Póleczka pod lustrem ugięła się pod naporem tanich drogeryjnych kosmetyków. Na zamontowanym przy drzwiach grzejniku wisiały dwa rodzaje bielizny. Czarna, koronkowa w rozmiarze S należała do Poli. Wyszczuplające elastyki w jasnych odcieniach oraz staniki z fiszbinami nosiła jej współlokatorka. Rajewicz od dwudziestu minut stała przed lustrem. Patrzyła na swoje blade policzki i podkrążone od płaczu oczy. Wyglądała jak zjawa, a ten parszywy dzień jeszcze się nie skończył. Za godzinę miała być u Kwietniowskiego. Po co? Trudno było uwierzyć, że chodzi tylko o pożyczony lektury. Gdy wróciła do akademika, sprawdziła na Facebooku profil wykładowcy. Pozował do zdjęć z żoną i synem. W rubryce „zainteresowania” wpisał „jazda na rowerze górskim” i „fotografia”. Sprawiał wrażenie zwyczajnego, trochę zadufanego w sobie przedstawiciela świata nauki. Był kilka razy na stypendiach w krajach Unii Europejskiej. Przyłączył się do ruchu walczącego z bestialskim zabijaniem fok. W rubryce „zespoły” oznaczył, że lubi Milesa Davisa i Justynę Steczkowską.

Przeciętniak w takim ciut lepszym wydaniu, pomyślała Pola, skrapiając płatek kosmetyczny bezzapachowym płynem micelarnym. Powoli zaczęła zmywać resztki makijażu. Piekała ją zaczerwieniona skóra, bolały zatoki i skronie.

– Laska, co ty tam robisz? – usłyszała dochodzący z przedpokojem wysoki głos współlokatorki. – Za godzinę na pierwszym piętrze zaczyna się impreza. Muszę jeszcze umyć włosy i zrobić coś z tym cholernym pryszczem na brodzie. Nikola ostatnio przyszła bez makijażu i dostała od naszych chłopaków ksywę Etna.

– Już wychodzę. – Pola niechętnie otworzyła białe paździerzowe drzwi. – Rób się na bóstwo.

– Ale ty też przyjdiesz, prawda? – zapytała Kaśka, wciskając się do ciemnej łazienki. Ledwo mieściły się w niej dwie osoby.

– Odpada. – Pola pokręciła głową. – Baw się dobrze i nie wracaj zbyt wcześnie.

– Martwisz się tym egzaminem? – dociekała współlokatorka, otwierając butelkę z przeciwłupieżowym szamponem. – Kiepsko wyglądasz. Płakałaś?

– No co ty! Pin-up girls nie są beksami. – Pola spróbowała się uśmiechnąć. – Luzik. Nie zdałam teraz, to zdam we wrześniu.

– Podobno Kwietniowski wcale nie jest taki zły, na jakiego wyglądasz. Przestań już myśleć o głupotach. Zapomnij o wszystkim na imprezie. Zrobimy konkurs w picciu szotów i machniemy biodrem na parkiecie.

– Mam inne plany. – Pola chciała jak najszybciej skończyć tę rozmowę.

– Oho... czyżby randka? – Kaśka nie dawała za wygraną.

– Nie bądź taka cieławska. Myj ten wścibski łeb, bo ci włosy nie zdążą wyschnąć.

– I tak jutro cię ze wszystkiego odpytam! – krzyknęła Kaśka, zamykając drzwi.

Po chwili w łazience rozległ się szum wody i słowa piosenki *Ona tańczy dla mnie*. Pola zacisnęła usta. Lubiła samotność i żałowała, że nie wynajęła kawalerki gdzieś na mieście. Wiedziała jednak, że nie ma prawa narzekać. Jakimś cudem dostała miejsce w jednym z najlepszych akademików we Wrocławiu. Miała do dyspozycji własny pokój oraz wspólną z Kaśką łazienkę i kuchnię. Jak na warunki studenckie były to niemal luksusowe apartamenty. Przerzniętą, dostęp do internetu, wygodne łóżka i brak lokatorów na gapię, takich jak karaluchy czy szczyry. Otworzyła drzwi szafy zrobionej z lichej sklejki i spojrzęła na rząd równo wiszących sukienek. Po raz pierwszy od dłuższego czasu żałowała, że nie ma ani jednej pary spodni. Postanowiła, że na spotkanie z Kwietniowskim włoży sprezentowany przez matkę gruby niemodny sweter, który na co dzień służył jej do sprzątanía. Do tego szarą spódnicę za kolana i znoszone sandały.

Pół godziny później wysiadła z autobusu na Brochowie. Była tu po raz pierwszy w życiu. Włączyła znajdujący się w telefonie nadajnik GPS i wpisała adres, który podał jej Kwietniowski. Powoli ruszyła przed siebie. Minęła najstarszy we Wrocławiu park. W jego centrum wiał się labirynt stworzony z poprzycinanych grabów. W wąskich krętych alejkach łatwo było się zgubić. Obok labiryntu błyszczała w zachodzącym słońcu tafła jeziorka. Pluskały się w nim pstrokate kaczkí. W oddali stukał o szyny pociąg osobowy. Jego tory wyznaczały granice parku. Wokół było spokojnie i romantycznie. Doskonała sceneria dla krwawego mordy – uśmiechnęła się do swoich myśli, przez chwilę zapominając o strachu. Nie ma sensu wpadać w panikę.

Podążając za wskazówkami GPS, weszła na pokrytą kocimi łbami uliczkę. Po lewej stronie znajdowało się pokryte sztuczną trawą boisko piłkarskie, sto metrów dalej mieszkał doktor. Dom został wybudowany niedawno. Szary tynk czekał na pokrycie farbą, na plastikowych oknach błyszczała jeszcze taśma zabezpieczająca ramy. Równy przycięty trawnik był rzadki i porastał mchem, jednak ułożony przy płocie skałnik oraz gęsto posadzone krzewinki sprawiały, że otoczenie wyglądało przyjaźnie. Na ścieżce z betonowej kostki stał młodzieżowy bmx. Wokół pachniało korą drzew oraz wilgocią z pracującego na tyłach domu zraszacza. Widoczek pod tytułem „Drobnomieszczańskie marzenie”, pomyślała Pola, naciskając dzwonek. Wciągnęła do płuc rześkie wieczorne powietrze. Za piętnaście minut będzie stała na przystanku powrotnym do centrum, śmiejąc się ze swoich podejrzeń. Może jeszcze wróci do akademika, a potem załapie się na imprezę? Należy się jej odrobina resetu oraz kilka szklanek whisky, którą regularnie przemycił przez granicę studiujący na czwartym roku etnologii Ukrainiec.

W drzwiach domu pojawił się Kwietniowski. Ledwo go poznała w sportowych szortach i koszulce polo. Przez szyję miał przewieszony ręcznik. Jego jasna skóra była zaróżowiona, włosy mokre.

– Widzę, że trafiłaś bez większych problemów – powiedział, otwierając szeroko furtkę. – Wejdz. Moja żona i syn wyjechali wczoraj na wakacje.

20 czerwca

Karłowice, ulica Konopnickiej

Światło księżycowe odbijało się od chmur. Drzewa w ogrodzie rzucały złowrogi cień. Siedzące w ich konarach ptaki jeszcze smacznie spały. W domu Patockich dawno skończyła się wódka, Nikodem przytargał więc z piwnicy pięciolitrową bańkę taniego czerwonego pinota. Wino przywoził z jakiegoś wakacyjnego wypadu do Chorwacji. Było podłej jakości. Po pierwszym kieliszku Marlena Patocka poszła do sypialni, dyskretnie ziewając. Pozostawieni sami sobie mężczyźni bełkotali, przekrzykując się nawzajem. Sygnał do odwrotu jako pierwszy dał emerytowany pułkownik Zenon Jaszczak. Wstał ze skórzanej kanapy, zataczając olbrzymim ciałem szeroki łuk w kierunku drzwi wyjściowych. Za nim podążył Tadeusz Szczęsny. Doktor był w nieco lepszym stanie. Ciągle próbował się uśmiechać, co w jego mniemaniu było oznaką trzeźwości. W najlepszej formie znajdował się Nikodem Patocki. Fakt ten jednak wcale go nie cieszył.

– Zadzwoń po taryfę i pojedziemy do Pruderii na after party – mrucał, szukając po kieszeniach telefonu. – Walniemy jeszcze lufę, co? – Patrzył zapitym wzrokiem na pułkownika, który w przedpokoju płątał w supełek sznurówek znoszonych czarnych półbutów.

– Koniec batalii, dowódca udaje się na spoczynek – wymamrotał Jaszczak, próbując utrzymać równowagę.

– Tadiu, a ty nie masz ochoty się jeszcze zabawić? – krzyknął Patocki w kierunku otwartych na oścież drzwi wyjściowych. – Halo, panie doktorze!

Szczęsny nie słuchał. Siedział na ganku, bawiąc się upačkanym w sosie jedwabnym krawatem. Ważył w głowie strategiczną decyzję. Czy kroplówkę z glukozy i soli fizjologicznej zaaplikować sobie przed pójściem spać, czy może dopiero rano, gdy poczuje, jak diabli ścisają jego głowę imadłem.

– Dlaczego służba zdrowia mnie nie słucha? – bulgotał Patocki, wytaczając się z domu. – Zapraszam na kieliszek dobrej wódeczki na mieście.

– Odpada. – Doktor zdjął pobrudzony krawat i wsadził go do kieszeni marynarki. – Jutro mam urodziny młodszej córki. Zamówiłem kłowna i dmuchany zamek do ogrodu.

Pod płótem zaparkował stary mercedes z numerami na drzwiach. Na widok taksówki pułkownik ożywił się.

– Nieładnie, panie kierowco! – krzyknął, stając przed maską. – Pięć minut spóźnienia. Kościuszkę spóźnił się pod Maciejowice i Polska zniknęła z mapy. Panu też się nie upiecz. Proszę zapomnieć o napiwku – perorował, grożąc palcem wąsatemu taksówkarzowi i gramoląc się na tylnie siedzenie. Szczęsny zajął miejsce z przodu.

– Najpierw odwieziemy kolegę, potem pojedziemy do mnie – zadysponował, ucinając ten nocny wykład z historii. Zanim auto ruszyło ulicą w kierunku placu Kromera, doktor podjął decyzję. Kroplówkę zrobi sobie dwa razy. Przed zaśnięciem i jutro rano. Ludzie sukcesu nie mogą sobie pozwolić na kaca.

– Dupy nie imprezowicze – mruknął pod nosem Patocki, wchodząc do domu. Dotarło do niego, że jedyne, co może teraz zrobić, to pójść spać. Był jednak na tyle trzeźwy, że wdrapał się na górę, wziął prysznic, włożył pidżamę, a nawet umył zęby. Zszedł do sypialni na paluszkach, żeby nie budzić Marleny. Przykrył się kołdrą i zamknął oczy, ale sen nie nadchodził. Przez głowę przechodziły mu dobre i złe obrazy z młodości. Czasy, gdy był biedny i kładł się do łóżka trzeźwy, bo nie było go stać na kolejne piwo z kolegami. Zawsze kochał imprezy. To dla nich chciał być bogaty. Nie imponowały mu samochody ani egzotyczne podróże, ale luz i rozmach, z jakimi potrafili bawić się ludzie zamożni.

Przy pomniał sobie słowa teścia, który za dużo wypił podczas jednego z ich pierwszych spotkań:

– Co to za zawód, artysta? Malarstwo to hobby dla dziewczynek i niebieskich ptaków. Jesteś jeszcze młody, synku, dobrze wyglądasz. Wyucz się na handlowca albo montera anten satelitarnych. Zawsze możesz też przyjść pomóc do cukierni. Obrazki będziesz malował moim wnukom, jak je w końcu zmajstrujesz.

Dzieci na świat przyszły jednak nie chciały, a wizja pracy u teścia była coraz bliższa. Wszytą zmieniła jedna wielkanocna wizyta w kościele. Patocki stał pod amboną, na świątecznym kacu, obserwując ludzi. W jego artystycznej duszy rodził się bunt. Odziani w łachmany, umęczeni święci smutnym wzrokiem patrzyli z obrazów na wystrojonych i dobrze odżywionych wiernych. Gdy ksiądz czytał ogłoszenia parafialne, Patockiemu przysłała do głowy pewna myśl. Rano pobiegł do swojej pracowni i wziął się do roboty. Pierwszy obraz powstał trzy dni później. Dzieło przedstawiało patrona spraw beznadziejnych, świętego Judę, który grał w rosyjską ruletkę z ubranym w marynarski strój świętym Walerianem. Partii przyglądała się Maria Magdalena, popijająca martini z trójkątnego kieliszka. Kiedy Nikodem obwieścił, że stworzył nowy kierunek o nazwie *modern sacrum*, znajomi stukali się w głowę. W czasach artystów wieszających genitalia na krzyżu jego podejście do świętości nie zrobiło na nikim wrażenia. Galerie nie odpisywały na mejle, a marszandzi rechotali, okazując Patockiemu kompletny brak szacunku. Wszystko zmieniło się pierwszego dnia wakacji. Policja kontrolowała autobusy z dziećmi jadącymi na kolonie, a po mieście przechadzał się wysoki rangą komisarz Unii Europejskiej. Tom Nielsen zwiedzał Wrocław, sprawdzając, jak zostały wydane pieniądze z Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego. Gdy w towarzystwie miejscowych notabli podziwiał wyremontowaną kamienicę na ulicy Kościuszki, z podwórza wybiegł Nikodem Patocki. Łamaną angielszczyzną zaprosił komisarza na kufel piwa do swojej pracowni. Nielsen nie tylko przyjął zaproszenie, ale kupił też dwa obrazy: *Świętą Rodzinę na wakacjach w Łebie* oraz *Pędzącą karetką do chorych błogosławioną Cecylię Borzęcką*. Relacja z wizyty Toma Nielsena u nikomu nieznanego artysty była jedną z pierwszych informacji wieczornego wydania dolnośląskich *Faktów*. Patocki został zauważony. Wykorzystał tę szansę i z miesiąca na miesiąc sprzedawał coraz więcej obrazów. Po kilku latach jego prace stały się modne nie tylko w Polsce, ale i w Europie. Wszyscy pokochali obrotowego malarza. Sielanka trwała i nic nie zapowiadało jej końca. Patocki ziewnął, przewracając się na drugi bok. Dochodziła trzecia. Szczęsny z Jaszczakiem pewnie już dawno śpią. Czas, żeby i on wreszcie odpłynął. Zanim nakrył głowę kołdrą, usłyszał szelest. Podniósł się na łokciach, mrużąc zapuchnięte oczy. Coś jakby kroki na drewnianym parkiecie. Obrócił się zdezorientowany. Marlena spała obok. Podeszedł na palcach do okna sypialni. Może to pijana wyobraźnia płata mu figle? Może to wiatr za oknem targa gałęzie? Wyteżył słuch. Poczuł, że

trzeźwieje. Był pewien, że ktoś chodzi po domu. W szparze pod drzwiami przemknęła smuga latarki. Nieproszeni goście stali na korytarzu. Choć nie należał do strachliwych, poczuł gęsią skórkę na plecach. Skulił się w sobie, zaciskając pięści. Podbiegł do nocnej szafki, gdzie zazwyczaj leżał telefon. Nie było go tam. Został w łazience na wannie. Mógł więc zapomnieć o wezwaniu policji. Zaklął pod nosem, rozglądając się za jakimś ciężkim, poręcznym przedmiotem.

– Co ty robisz? – zapytała Marlena, podnosząc głowę z poduszki.

– Cicho. – Patocki przyłożył palec do ust. – Ktoś jest w domu.

Kobieta przetarła dłonią zaspaną twarz.

– Znowu się nawaliłeś jak świnią – mruknęła.

– Wolałbym, żeby tak było – szepnęła Patocki. Chciał coś jeszcze dodać, ale w tym momencie drgnęła kłamka.

– Jezus Maria! – Marlena zerwała się z łóżka i stanęła za mężem. – Pomocy! – krzyknęła łamiącym się głosem.

– Zamknij jadaczkę! – warknął Nikodem.

Właśnie stracili jedyną przewagę. Bandyty wiedzieli, że gospodarze nie śpią. Atak z zaskoczenia stracił sens. Patocki nie zamierzał czekać na rozwój wypadków. Podbiegł do drewnianej półki, na której stała sporych rozmiarów figurka wyrzeźbionej w brzoju kobiety. Złapał ją i podeszedł do drzwi.

– Macie ostatnią szansę, żeby spierdolić z tego domu! – wrzasnęła. – Policja już tu jedzie, a ja jestem uzbrojony. – Odpowiedziała mu cisza.

– Spłoszyliśmy ich. – Marlena podeszła na palcach do drzwi.

– Oby – mruknął bez przekonania Patocki. Pochylił się i zajrzał w dziurkę od klucza. Latarka zgasła, ale było słychać przyśpieszony oddech intruzów.

– Zatłukę was, gnoje! – krzyknął, otwierając gwałtownie drzwi.

Wpadający przez okno do pokoju blask księżyca rozświetlił na chwilę korytarz. Nikodem zastygł z rzeźbą podniesioną nad głową.

– To ty? – zapytał kompletnie zaskoczony.

20 czerwca

Plac Grunwaldzki

Akademik Dwudziestolatka

Pola weszła do akademika, szurając nogami o posadzkę. Machnęła ręką w kierunku siedzącej w recepcji kobiety. Nie musiała pokazywać karty meldunkowej, wszyscy ją tutaj znali. W windzie nacisnęła guzik z numerem sześć i zamknęła oczy. Marzyła o prysznicu, długim, zimnym, do rana. Zanim weszła do swojego mieszkania, połknęła kolejną tabletkę na uspokojenie. Kupiła dwa opakowania w całodobowej aptece na Wita Stwosza. Na Rynek przyjechała z Brochowa autobusem, potem piechotą dotarła na plac Grunwaldzki. Jacyś studenci sączący piwo pod pubem Alibi myśleli, że jest pijana. Próbowali ją zaciągnąć na imprezę. Poradziła, żeby się odpiępryli. W głosie miała coś takiego, że cała wesoła czereda natychmiast zamilkła. Spojrzała na zegarek. Było dobrze po trzeciej. Niestety nadzieja, że Kaśka została u jakiegoś chłopaka z imprezy, legła w gruzach zaraz po wejściu do mieszkania. Jej współlokatorka przysypiała na pokrytym okruszkami kuchennym stole. Ubrana była jedynie w majtki i stanik, spod którego wylewały się duże, blade piersi. Na brodzie oraz wokół ust miała rozmazaną szminkę. W rękę trzymała butelkę wygazowanej wody mineralnej.

– O, jest i nasza wielka nieobecna – zabelkotała. – Jak było na randce?

– Tłumaczyłam ci, że nie wybieram się na żadną randkę! – Pola zdjęła sweter i rzuciła na oparcie krzesła. – Powiedz lepiej, jak było na imprezie. – Nie zamierzała się nikomu spowiadać ze swoich problemów.

– Kolesie naćpali się jakimś gównem i grali na PlayStation. Ta ruda z filozofii przyniosła bimber na rodzynkach. Wchodził jak złoto, wychodził zresztą też. – Kaśka podrapała się po szyi, zostawiając na skórze grubą czerwoną pręgę. – Strasznie się nastukałam.

– Najlepszym się zdarza. – Pola położyła rękę na kłamce drzwi łazienki. – Idź spać.

– O nie, moja droga – ożywiła się nagle współlokatorka. – Nie zmrużę oka, dopóki nie powiesz mi, gdzie byłaś i z kim.

Pola straciła nadzieję, że Kaśka tak łatwo odpuści. Lepiej mieć to już za sobą.

– Umówiłam się z jednym facetem.

– Wiedziałam! – Kaśka dostała regularnej czkawki. – Brunet czy blondyn?

– Frajer – rzuciła z nienawiścią w głosie Pola. – Idę pod prysznic. Jeśli musisz skorzystać z łazienki, to teraz.

– Luz, spędziłam tam ostatnią godzinę. – Współlokatorka uważnie lustrowała ją wzrokiem. – Płakałaś?

– Skąd. Nie jest tego wart.

– Ta... – rzuciła z przekąsem Kaśka. – Tylko mi tu nie ściemniaj, że ci się oczy spociły. Zdradził cię czy jak? Nie mówiłaś, że ktoś masz.

– Koniec tematu! – krzyknęła Pola. – Zajmij się sobą, wyglądasz jak ściera.

– Wyluzuj – mruknęła urażona dziewczyna. – I nie przejmuj się tak samcami. Nie warto. – Wstała i podpierając ścianę, poczłapała do swojego pokoju. Po chwili odgłos czkawki dobiegający zza drzwi zastąpiło delikatne chrapanie.

– Samcami nie warto się przejmować – powtórzyła Pola, zapalając światło w łazience.

Zdjęła ubranie, nie patrząc w lustro. Odkręciła do oporu wodę i oparła się o zimną szybę kabiny prysznicowej. Wiedziała, że kiedy minie pierwszy szok będzie jeszcze gorzej. Nie mogła sobie na to pozwolić. Była twardą dziewczynką. Cholernie twardą.

Trzy miesiące później

26 września

Szpital Miejski

Trójdzielnie okno wychodziło na ruchliwą ulicę Lipową. Za dnia słychać było odgłosy stojących w korku samochodów, nocą ścigali się na niej motocykliści. Jednak w tej sali nikt nie skarżył się na dochodzące z dworu hałasy. Kobięcy Oddział Intensywnej Opieki Neurologicznej liczył zaledwie trzy łóżka. Nad każdym wisiał rejestrujący funkcje życiowe kardiomonitor oraz uchwyt na kroplówki. Na podłodze stały respiratory i miniaturowe stoliki. Wyłożone kafelkami ściany były żółte, podobnie jak ceratowe pokrowce na materace. Sufit przecinały karnisze zainstalowane w ten sposób, aby podczas reanimacji można było prowizorycznie odseparować pacjenta od reszty sali. Na przeciwległej ścianie, która przylegała do gabinetu pielęgniarek, została zamontowana ciemna szyba. Dzięki niej siostry mogły przez całą dobę doglądać pacjentów, których życie wisiało na bardzo cienkim włosku. Michalina Banach bała się tego miejsca. Już w szkole pielęgniarskiej wykładowcy ostrzegali, że oddział neurologiczny to jedno z najbardziej ponurych miejsc w całym szpitalu. Widzisz puste oczy chorych i przesywa cię dreszcz. Mózg człowieka zajmuje około dwóch procent masy ciała, ale na jego zasilanie wydatkowana jest połowa całej dostarczanej organizmowi energii. Składa się z około stu miliardów komórek które wchodzi w biliary możliwości kombinacji. Jeśli coś na tych poplątanych łączach pójdzie nie tak, masz przechłapanie. Pacjenci leczeni na Oddziale Intensywnej Opieki Neurologicznej rzadko wracali do zdrowia. Nie mogli liczyć na przeszczep, diagnozy mało kiedy były jednoznaczne i pewne. W rozmowach lekarzy z rodziną często pojawiały się takie słowa jak „Bóg”, „opatrzność” czy „loteria”.

Pielęgniarka poprawiła poduszkę pierwszej z trzech podopiecznych. Była to dwudziestoletnia dziewczyna, która pół roku temu zaczęła wieczorowe studia na Akademii Ekonomicznej. Dorabiała sobie sprzątaniem mieszkań. Gdy myła okna u jednej ze swoich klientek, wypadła z drugiego piętra, doznając trwałego uszkodzenia mózgu. W szpitalu lekarze określili poziom jej świadomości na dziesięć punktów w Glasgow Coma Scale. To stan, w którym zaburzenia świadomości są umiarkowane. Człowiek reaguje na bodźce, jest zdezorientowany, ale przytomny.

– Ładny mamy dzisiaj dzień – powiedziała Michalina, patrząc na wymizerowaną twarz pacjentki. Sprawdziła jej pieluszkę. Na szczęście była sucha. Dziewczyna krzyknęła coś niezrozumiałego i próbowała podnieść się na materacu. Bez skutku. Z powodu powtarzających się napadów agresji została decyzją ordynatora przywiązana do łóżka. Obok studentki leżała pięćdziesięcioletnia nauczycielka rosyjskiego. Dwa tygodnie temu dostała zawału pod przyszcicem. W domu były dzieci, które natychmiast wezwały pogotowie. Po pierwszej defibrylacji ratownicy zdołali przywrócić pracę serca i samodzielny oddech. Niestety kobieta nie odzyskała przytomności. Silne drgawki były ostatnią aktywnością ciała, symptomem umierania niedotlenionych komórek. Lekarze próbowali wytłumaczyć dorosłym synom, że ich matka nie

żyje, ale oni wciąż z nadzieją dotykali jej ciepłej skóry. Wkrótce pewnie znajdą jakąś fundację, której pracownicy dadzą im wiarę, że jeszcze nie czas na wyłączenie respiratora. Na widok trzeciej pacjentki, tej z wielką siłą blizną na czole, Michalinie zawsze chciało się płakać. Przed wakacjami czytała o niej w gazetach. Tak brutalne bandyckie napady rzadko się zdarzały we Wrocławiu. Przestępcy włamali się do jej domu. Mąż próbował walczyć i został zabity. Marlena Patocka przeżyła. Rano nieprzytomną kobietę znalazła sprzątaczką. Uraz, którego doznała, spowodował obrzęk mózgu, niedotlenienie, a w efekcie śpiączkę. Na serdecznym palcu prawej ręki błyszczała ślubna obrączka. Nikt jej nie zdjął podczas przyjęcia na oddział i tak już zostało. Michalina dwa razy w tygodniu masowała bezwładne ciało Patockiej. Wtedy na twarzy pacjentki pojawiał się grymas. Był to przerażający odruch bezwarunkowy, który śnił się po nocach nawet doświadczonym pielęgniarkom. Marlena Patocka nie miała rodziny. Odwiedzali ją tylko członkowie kościelnej fundacji ojców dominikanów, w której pracowała. Wszystkie pielęgniarki zakochały się solidarnie w jednym z księży. Miał szerokie barki i gęstą czarną brodę, nosił prosty brązowy habit i skórzaną ramoneskę. Żartował, że słoń nadepnął mu na ucho, dlatego Bóg woli patrzeć, jak jeździ na motocyklu, niż słuchać, jak śpiewa kościelne pieśni.

Może to właśnie za sprawą modlitw ojca Kacpra linia na obrazie elektroencefalografu zaczęła falować. Pierwszy znak, że stan pacjentki poprawia się. Kilka dni później kobieta odzyskała przytomność. Radość lekarzy trwała jednak krótko. Patocka wprawdzie odzyskała świadomość, ale nie władzę nad własnym ciałem. Tylko oczy zaczęły błyszczeć nowym blaskiem. To za ich pomocą mogła komunikować się ze światem. Jedno mrugnięcie oznaczało „tak”, dwa – „nie”.

– Boli coś pani? – zapytała Michalina, wpatrując się w asymetrycznie rozszerzone źrenice.

Powieki zamrugały dwa razy.

– To dobrze – uśmiechnęła się pielęgniarka. – Mam włączyć telewizor?

Jedno mrugnięcie.

Wczoraj oddziałowa wygrzebała z szafy w dyżurce stary kineskopowy odbiornik Michalina ustawiła go na zydelku w nogach łóżka pacjentki. Pokojową antenę wraz ze wzmacniaczem sygnału zamontowała przy oknie. Patocka wyglądała na wdzięczną.

W telewizji zaczynały się właśnie wrocławskie *Fakty*. Lokalna polityka mieszała się z wydarzeniami kulturalnymi. Melodyjny głos prezenterki wypełnił salę i zagłuszył szum urządzeń.

– Kłania się państwu Paulina Wąsińska. Zaczynamy popołudniowy serwis informacyjny. W sali wrocławskiej Akademii Sztuk Pięknych prezydent wręczył medale dla zasłużonych w promocji sztuki...

– Mam dla pani kolację – powiedziała pielęgniarka, podnosząc z metalowego wózka jedną z przygotowanych kroplówek

Zamontowała woreczek na stelażu. Gęsty płyn popłynął przezroczyście rurką w kierunku wenflonu.

– Wygląda pani coraz lepiej – dodała Michalina, wkładając ręce do kieszeni wykrochmalonego fartucha. – Doktor Kaperman powiedział, że niedługo będzie pani mogła zacząć rehabilitację.

Kobieta była pochłonięta tym, co widzi w telewizji. Pielęgniarka zeszła z zasięgu jej wzroku, przestając się uśmiechać. Spisała temperaturę i z ulgą ruszyła w kierunku drzwi. Zanim jednak

przekroczyła próg, usłyszała alarm. Monitor serca Marleny Patockiej ostrzegł przed nagłym skokiem ciśnienia. Przestraszona Michalina podbiegła do łóżka pacjentki. Jej ciało wilo się w konwulsjach, a z wielkich niebieskich oczu cieknęły łzy.

27 września

Komenda Wojewódzka Policji

Inspektor Henry Kolasa wstał, przemaszerował po gabinecie i usiadł z powrotem na miękkim krześle. Niedźwiecki obserwował szefa ze spokojem, co jakiś czas zerkając na zegarek Kolasa milczał już trzecią minutę. W tym czasie sześć razy głęboko westchnął, cztery razy podrapał się po głowie i właśnie zrobił drugą rundę wokół wielkiego jak stół do ping-ponga biurka.

– Cieszę się, że mogłem pana poznać – przemówił wreszcie inspektor, rekapitulując dialog, który toczył w głowie. – Szkoda jednak, że okoliczności nie sprzyjają bardziej sympatycznej pogawędce.

Niedźwiecki bez słowa pokiwał głową. Stał pośrodku urządzonego według zasad feng shui gabinetu i tęsknił za byłym szefem. Komendant Marian Dulemba po sukcesie śledztwa dotyczącego handlu organami przeszedł w zasłużony stan spoczynku. Kupił sobie żaglówkę, z której schodził tylko po to, żeby uzupełnić zapasy whisky oraz włoskich kabanosów. Z Dulembą dało się dogadać, mimo że miał szorstki charakter. Nowy szef rókował znacznie gorzej.

– Niestety bałagan, który zostawił mój poprzednik, kwalifikuje się do postępowania prokuratorskiego – oświadczył Kolasa, bawiąc się srebrnym nożem do otwierania korespondencji.

Oprócz noża po prawej stronie blatu leżało jeszcze czarne pióro Watermana i bibliofilskie wydanie Kodeksu karnego. Biurko zostało ustawione w „kierunku korzystnym dla rozwoju osobistego”, czyli przodem do drzwi wejściowych, za to bokiem do okna.

– Były wakacje – wypalił Niedźwiecki. – W lipcu i sierpniu wykrywalność przestępstw zawsze spada.

– Zapomnę, że pan to powiedział. – Inspektor wbił szkliste oczy w komisarza. – Czy wie pan, z kim przed chwilą rozmawiałem? – zapytał.

– Z kim? – Niedźwiecki spojrział z niechęcią na wielki jak radiostacja, przestarzały telefon.

– Dzwonił zastępca komendanta głównego z War-sza-wy. – Ostatnie słowo inspektor wypowiedział z taką emfazą, jakby chodziło przynajmniej o Nowy Jork – Pytał, czy wiemy już, kto zabił Nikodema Patockiego. Próbowałem mu wytłumaczyć, że jestem tu załedwie od tygodnia i dopiero wdrażam się w nowe obowiązki. Nie zmienia to jednak faktu, że śledztwo zostało kompletnie położone. Harcerze lepiej by to wszystko przeprowadzili.

– Działamy zgodnie z procedurą – tłumaczył cierpliwie Niedźwiecki. – Przesłuchaliśmy świadków, zabezpieczyliśmy ślady. Sprawdzamy paserów, dociskamy informatorów. To najdziwniejsze morderstwo, z jakim kiedykolwiek miałem do czynienia.

– Bo zamiast działać, czekacie, aż sprawca sam wam wpadnie w ręce – przerwał mu Kolasa, prężąc swoje szczuple, dwumetrowe ciało. – A czas gra na waszą niekorzyść.

Sięgnął po leżącą na biurku pękłą teczkę.

– Przeglądałem dziś rano zleczone w tej sprawie ekspertyzy. Nie znalazłem wśród nich wyników badania otoskopowego.

– Czego? – Niedźwiecki z zakłopotaniem podrapał się po rudej szczecinie.

– Mogłem się tego spodziewać – tryumfował inspektor. – Czy pan wie, że przestępcy, zanim wtargną do mieszkania, nasłuchują odgłosów z wewnątrz? Osiemdziesiąt procent napadziarzy zostawia odciski maźlowiny usznej. Niestety wrocławska policja nie ma o tym zielonego pojęcia. Wy dalej tkwicie mentalnie w dwudziestym wieku. Wstyd. – Wchodził na coraz wyższe obroty. Krew napłynęła mu do twarzy, policzki poprzecinały bordowe żyłki.

– W Anglii tworzone są grupy śledczych złożone z policjantów najwyższej klasy, psychologów, behawiorystów. Dobry funkcjonariusz potrafi wytypować przestępcę, jeszcze zanim ten dopuści się zbrodni.

Inspektor gadał dalej, ale Niedźwiecki już go nie słuchał. Myślał o tym, że w krążących po firmie plotkach o nowym szefie nie było ani grama przesady. Jeszcze trochę, a ten urodzony w Wielkiej Brytanii facet spowoduje w Komendzie Wojewódzkiej poważne braki kadrowe. Część oficerów przejdzie na wcześniejszą emeryturę, część będzie widywała swoje rodziny jedynie podczas przepustek z psy chiatryka.

Pierwsze nazwisko Kolasy brzmiało McKenna. Jego ojciec był irlandzkim listonoszem, matka – Polką. Henry od dziecka nie pasował do swoich rówieśników. Gardził sportem, zamiast tego lubił konkretne skrzypcowe, co w przypadku dziesięcioletka było raczej dziwne. W liceum nabrał przekonania, że jest lepszy od swoich kolegów. Zaczął ukrywać proletariackie pochodzenie ojca, chętnie mówił za to o korzeniach matki. Jej rodzina po wojnie uciekła z komunistycznej Polski do Anglii. Słowiański dziadek McKenny miał przed wojną na Podlasiu osiemset hektarów żywej ziemi oraz manufakturę produkującą koce dla wojska. Wojna zabrała mu fabrykę, komuniści – gospodarstwo.

Po ukończeniu studiów prawniczych na Uniwersytecie w Reading McKenna wstąpił do Scotland Yardu. Podczas jednego z pierwszych patroli próbował wylegitymować czarnoskórą kobietę, która w bocznej uliczce sprzedawała podrabiane okulary. Handlarzka błyskawicznie zwinęła koc z towarem i dziarsko ruszyła przed siebie. Kolasa nie podjął pościgu. Uważał się za gentlemiana, a ten – jak wiadomo – nigdy się nie poci. Wrócił więc na posterunek, udając, że jest strasznie zdyszany. Ze szczegółami opowiedział oficerowi dyżurnemu, jak gonił za maratończykiem, który po nierównej walce rozplynął się w zakamarkach Londynu. Sytuacja ta powtórzyła się kilka razy, a jego szefowie byli bliscy decyzji o powołaniu grupy, która zajęłaby się inwigilacją środowisk czarnoskórych biegaczy w Wielkiej Brytanii. Wkrótce McKenna dał się poznać nie tylko jako kiepski sportowiec, ale również miłośnik psychoanalizy. Najbardziej blahe sprawy analizował niczym rozgrywki szachowe. Nie przyjmował do wiadomości, że ktoś ukradł konserwę, bo był głodny. Wszędzie widział drugie dno. Liczył, że któregoś dnia trafi na trop afery, której rozwiązanie zaprowadzi go prosto na okładkę „The Times”. Skończyło się na naganiu z wpisem do akt, gdy połączył uzależnionego od cracku sklepowego złodzieja ze sprawą gwałtów w hrabstwie Essex.

Henry niechybnie skończyłby, prowadząc lekcje z zasad ruchu drogowego w brytyjskich szkołach, gdyby nie uratowała go wielka polityka. W 2004 roku Polska weszła do Unii Europejskiej, a trzy lata później podpisany został układ w Schengen. Przez otwarte granice na Wyspy przyjechały setki tysięcy Polaków, z którymi trzeba było się jakoś dogadać. W tej sytuacji zdolności lingwistyczne wychowanego na Trylogii Sienkiewicza McKenny były

bezcenne. Matka zadbała, żeby Henry wiedział o kraju swoich przodków więcej niż przeciętny mieszkaniec Radomia. Im więcej jego rodaków przyjeżdżało do Anglii, tym bardziej Henry awansował. Nauczył się lepić pierogi, kupił na aukcji kubek z autografem Adama Małysza. Kiedy brytyjskie media zaczęły rozgłaszać plotki, że Polacy zjadają pływające w Tamizie łabędzie, napisał list protestacyjny do redakcji „The Sun”. Tabloid zamieścił przeprosiny na pierwszej stronie, a McKenna uznał to za swój sukces. Zdarzenia, w wyniku których inspektor znowu popadł w niełaskę u przełożonych, owiane są tajemnicą. Wiadomo jedynie, że po gigantycznej awanturze został wysłany na wcześniejszą emeryturę. I kiedy wszyscy myśleli, że odtąd jedynym zajęciem McKenna będzie picie popołudniowej herbaty, ten po raz kolejny wszystkich zaskoczył. Napisał kilka mejli do ważniaków z polskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, oni zaś zadzwonili gdzie trzeba. W ten sposób Henry dostał propozycję pracy w wydziale zabójstw Komendy Wojewódzkiej. Spakował olbrzymią walizkę w szokową kratę, zmienił nazwisko McKenna na panięskie matki i wsiadł do samolotu. Na lotnisku kupił tylko jeszcze przewodnik po Wrocławiu.

Do pracy zabrał się z energią alkoholika, który został testerem w fabryce wódek. Dzisiaj postanowił rozmówić się z Niedźwieckim.

– Czy zostałem dobrze zrozumiany? – zapytał, kończąc monolog o zaletach stosowania metod czerpanych z psychologii w śledztwie policyjnym.

– Tak, panie inspektorze.

– Mów do mnie Henry – rzucił łaskawie Kolasa.

– Jasne – mruknął Niedźwiecki, próbując nadać swemu głosowi choćby odrobinę entuzjazmu.

– Kiedy mogę liczyć na jakieś postępy?

– Jest szansa na przełom już niedługo... Henry...

– Zaistniały jakieś nowe okoliczności? – Kolasa poderwał się z krzesła i oparł żyłaste ręce o biurko.

– Tak. Lekarze zgodzili się na rozmowę z Marleną Patocką.

– Świetnie! – ucieszył się Kolasa. – W takim razie należy ją jak najszybciej przesłuchać.

– Z tym może być pewien problem. – Komisarz spuścił oczy.

28 września

Plac Grunwaldzki

Akademik Dwudziestolatka

Pola Rajewicz całą noc wierciła się w skrzypiącym łóżku. Otulona mokrą od potu kołdrą patrzyła, jak powoli robi się jasno. Cierpiała na bezsenność już od kilku lat, kolejna więc nieprzespana noc nie robiła na niej żadnego wrażenia. Dwa dni temu wróciła z Kalisza do Wrocławia. Nikomu nie powiedziała o tym, co zaszło przed wakacjami, bo jak wytłumaczyć mamie i bogobojnym ciotkom, że najpierw zrobiła z siebie idiotkę, a potem zgwałcił ją wykładowca?

Mgła za oknem stawała się coraz rzadsza. Samochody na placu Grunwaldzkim trąbiły w porannym korku, do przepełnionych tramwajów wciskali się zaspani studenci. Jej współlokatorka nie wróciła jeszcze do Wrocławia, Pola miała więc całe mieszkanie w akademiku tylko dla siebie. Zrzuciła kołdrę na ziemię i wzięła prysznic, nie zamknąwszy drzwi łazienki. Potem nasmarowała kremem napuchniętą od braku snu twarz. Zakropiła pod powieki sól fizjologiczną, pomalowała rzęsy gęstym czarnym tuszem. Wyjęła z szafy ulubioną sukienkę w groszki oraz przedwojenny srebrny wisiołek, prezent od babci. Za godzinę miała zdawać poprawkowy egzamin u Oskara Kwietniowskiego. Doktor pewnie spędził wakacje bardzo pożytecznie. Wykończył dom, a potem zabrał żonę i syna do ciepłych krajów. Być może zapomniał już o Poli i o tym, co wydarzyło się w czerwcu. Po prostu przeleciał głupią studentką, która sama się o to prosiła. Pola wrzuciła do torebki indeks. Zanim zgasiła światło w kuchni, wyjęła z lodówki butelkę z resztką Jasia Wędrowniczka. Spory łyk whisky zamiast śniadania na razie musi wystarczyć. Obróciła w dłoniach pudełko tic taców. Przypomniała sobie ojca, który śmiał się, że od alkoholików zawsze zalatuje miętą. Jeśli policjant zatrzymuje kierowcę i czuje rześki zapach cukierka, bez słowa biegnie po alkomat.

Przed wyjściem raz jeszcze spojrzała w lustro. Zrobiła eksperyment. Zaciśnęła pięści, wbijając paznokcie w skórę, i uśmiechnęła się najszerzej jak potrafiła. Wyszło super. Może wyruszać na spotkanie z Kwietniowskim.

Spacer z placu Grunwaldzkiego na ulicę Szewską zajmuje jakieś dwadzieścia pięć minut. W normalnych okolicznościach Pola zatrzymałaby się jeszcze w Hali Targowej przy ulicy Piaskowej. Kupowała tam codziennie obwarzanka z sezamem. Nie chodziło o smak pieczywa z piekarni na parterze. Hala Targowa przypominała jej ojca. Opowieść o opatulonej kolorową chustką babuleńce, która w latach osiemdziesiątych stała przed głównym wejściem i trzymała w ręku słoik pijawek

– Pjawk! ludzie, kupujcie pjawk! – krzyczała przedsiębiorcza staruszka.

Dziś słoik pełny obsłizgłych krwopijców wyładowałby zapewne w depozycie straży miejskiej. Każdy metr, który zbliżał ją do uczelni, odbierał jej pewność siebie. Z trudem pchnęła ciężkie drewniane drzwi ponurego budynku. W środku pachniało stęchlizną, ze ścian przestronnych korytarzy oblażał tynk. Przed wojną znajdowała się tu siedziba Policji Państwowej. W grubych, zimnych murach niemieccy gliniarze przesłuchiwali najgorszych breslauerских bandytów.

W 1930 roku budynek został przekazany Uniwersytetowi Śląskiemu. Policjantów zastąpili wykładowcy, a oprychów – studenci. Rok akademicki jeszcze się nie zaczął, uczelnia świeciła pustkami. Tylko przy pracującej na pełnych obrotach kserokopiarnie stało kilka osób. Pola nie znała ich twarzy, musieli to więc być przejęci nowymi obowiązkami pierwszorocznicy. Obsługiwała ich smutna blondynka, która przez lata pracy skopiowała pewnie więcej stron, niż spłonęło w Bibliotece Aleksandryjskiej podczas inwazji Juliusza Cezara. Po pierwszej zimowej sesji grupa Poli wymyśliła zawody: kto pierwszy sprawi, że „pani z ksera” wreszcie się uśmiechnie? Wygranych nie było. Główna nagroda – beczka piwa Piast – została wypita wspólnie.

Pola wdrapała się na pierwsze piętro. Mijając sale wykładowe, weszła do skrzydła, w którym znajdowały się gabinety. Z tej strony okna wychodziły na podwórko. Szyby myto raz do roku. Nikt też nie sprzątał gołębników od odchodów z zewnętrznych parapetów. Na pomalowanych olejną farbą drzwiach wisiały karteczki informujące o godzinach konsultacji. Imię każdego wykładowcy poprzedzał ozdobnik Doktor po łacinie oznaczał mistrza, a profesor zwyczajny był ważniejszy od nadzwyczajnego. Szybko można się było w tym wszystkim połapać.

Egzamin poprawkowy zaczynał się równo o dziewiątej. Kwietniowski przyszedł punktualnie. Miał na sobie dobrze skrojoną jasną marynarkę. Był gładko ogolony i uśmiechnięty. Mocna opalenizna sugerowała, że nie spędzał wakacji nad polskim morzem. Pola weszła do sali jako pierwsza. Doktor zachowywał się bardzo naturalnie. Zadał jakieś banalne pytanie o Arystotelesa, nie słuchał nawet odpowiedzi.

– Dobrze. Dziękuję. Trzy plus – oświadczył, przerywając jej w połowie zdania i przesuwał po biurku indeks.

Pola spojrzała na niego, robiąc sztuczkę, którą trenowała rano przed lustrem. Zacisnęła pięści i spróbowała się uśmiechnąć. Wróciły wspomnienia. Gdy wchodziła do domu tego drania, wciąż jeszcze miała nadzieję, że naprawdę chodzi tylko o pożyczenie książki. W salonie na ścianie wisiało rodzinne zdjęcie. On, sympatyczna żona i syn w kimonie judoki. Stali na tle fundamentów domu. Wyglądali na szczęśliwych.

Kwietniowski zaprosił ją do kuchni, zaproponował kawę. Wokół panował idealny porządek. Parapety uginały się od rosnących w doniczkach ziół. Pachniało świeżą bazylią, kolendrą i szalwią. Na lodówce wisiała przyczepiona czarnym magnesem kartka od żony: „Pamiętaj o podlewaniu kwiatów. Lazanie przed zjedzeniem wstaw na pół godziny do piekarnika. Kocham Cię. Ada”.

Pola coś bąknęła, że spieszy się na imprezę, i wtedy nagle doktor przestał być miły. Kazał jej otworzyć torebkę. Sprawdził, czy nie ma dyktafonu. Ostrzegł, że jeśli po tym wieczorze będzie za bardzo rozmowna, to pożałuje. Ma dowód, że to ona go podrywała. Słowo puszczalskiej studentki przeciwko słowu szanowanego wykładowcy. Jemu włos z głowy nie spadnie. Pola wyjdzie na cwaniarę, która chciała zaliczyć egzamin w zamian za seks.

– Mam ochotę cię przelecieć, ale na moich warunkach – powiedział, pokazując palcem, żeby poszła do sypialni. – I nie miej takiej miny. Będzie fajnie. Zobaczysz.

Pola nigdy nie zapomni tego, co działo się później. Do końca życia będzie słyszała jego jęczenie i powtarzane co chwilę pytanie: „Lubisz to, prawda?”. Był zachłanny. Podniecała go

władza oraz poczucie całkowitej bezkarności. Im bardziej płakała, tym mocniej on się nakręcał.

Gdy wreszcie miał już dość, uśmiechnął się. Zaproponował kolację. Żona zostawiła świetną sałatkę z kalafiora. Łaził nago po sypialni, podziwiając swoje odbicie w lustrze. Opowiadał, że trzy razy w tygodniu biega w pobliskim parku i uważa na to, co je. Powinna mu podziękować. Nigdy już nie będzie miała takiego faceta. Nagle szybko się ubrał i kazał jej się wynosić. Na pożegnanie wcisnął do ręki *Wojnę peloponeską*.

– Przecież właśnie po to tu przyszedłeś, prawda? – powtarzał, gładząc obleśnie usta. – Poczytaj. Przyda się na kampanię wrześniową.

Od tego czasu minęły trzy miesiące. Teraz Pola znowu patrzyła Kwietniowskiemu w twarz. Potrząsnęła głową, jakby chciała uwolnić się od złych wspomnień. Schowała indeks i bez słowa podeszła do drzwi gabinetu.

– Może byś chociaż do widzenia powiedziała? – warknął lekko poirytowany. – Masz zaliczoną sesję. Doceń to! I pamiętaj: jeśli będziesz za bardzo rozmowna, to już możesz szukać sobie pracy w budce z hamburgerami. W tym roku nie będziecie już mieli ze mną ćwiczeń, więc to nasza ostatnia rozmowa. Czy to jasne?

– Tak, panie doktorze – odpowiedziała Pola, zatopiona w myślach.

29 września

Szpital Miejski

Aspirant Arkadiusz Zaręba wolałby wyjść na ring z Mikiem Tysonem, niż dać sobie zrobić zastrzyk. Dlatego gdy parkował na otoczonym drzewami parkingu rozklekotaną škodę octavię, z trudem panował nad drżeniem rąk. Komisarz Niedźwiecki, który po rozwiązaniu zagadki łowców skór traktowany był w szpitalu lepiej niż minister zdrowia, nie miał takich dylematów. Szybko wysiadł z auta i nie czekając na swojego partnera, zniknął w czeluściach wielkiego budynku z cegły. Zaręba wyjął z bagażnika służbowego laptopa, założył przepisowo czapkę z orzełkiem i pognął w ślad za cierpiącym na brak empatii szefem.

Szpital wyglądał w środku jak zamek Drakuli. Białe kafle, którymi wyłożony był korytarz, przez ostatnie sto lat przybrały żółty odcień, niczym zepsute zęby. Jediną oznaką nowoczesności był zamontowany w holu telefon na kartę. Przy wejściu do zastawionych łózkami sal stały wózki inwalidzkie oraz przenośne statywy na kroplówki. Pachniało lekami, zupą mleczną i lizolem. Spacerujący po korytarzach pacjenci bez głębszej refleksji czytali wiszące na ścianie wyblakłe plakaty z radami, na które dla nich było już za późno: „Myjąc ręce, zmniejszasz ryzyko zakażenia żółtaczką”. „Pamiętaj o kontroli ciśnienia”.

Niedźwiecki ze spokojem wspinał się po kamiennych schodach na drugie piętro, gdzie czekał na niego w swoim gabinecie ordynator oddziału neurologii, doktor Franciszek Kaperman. Aspirant Zaręba nie miał zbyt zadowolonej miny. Synchronizując swój krok z szefem, szedł dostojnie, kołysząc olbrzymimi ramionami. W młodości trenował trójbój siłowy i choć nie był elegantem, całe jego kieszonkowe pochłaniały wydatki na ciuchy. Sześćdziesiąt osiem centymetrów obwodu w bicepsie to powód do dumy, oznacza też jednak konieczność nawiązania bliskich kontaktów z dobrym krawcem. Zaręba wychował się na blokowiskach Nowego Dworu. Osiedle powstało w latach siedemdziesiątych i było krzykiem mody ery Gierka. Dziesięciopiętrowe bloki z ciepłą wodą w kranach, wygodnymi zsypanymi oraz rzadko psującą się windą. Mit Nowego Dworu upadł dopiero wraz z końcem komunizmu. Z biegiem lat osiedle stało się szarym, niebezpiecznym blokowiskiem. Większość kolegów Zaręby z podwórka wylądowała w więzieniu albo Monarze. On trafił do policji. W lipcu awansował – rozpoczął pracę w Wydziale Zabójstw Komendy Wojewódzkiej. Przydzielono go do pomocy największemu oryginałowi w firmie, komisarzowi Niedźwieckiemu. Miał być jego zbrojnym ramieniem.

Plastikowe drzwi otworzyły się, zanim policjanci zdążyli zapukać. W progu stanął ubrany w biały fartuch człowiek o pewnym spojrzeniu i władczych ruchach. Był łyсы, miał za to kocią brodkę. Jego brwi przy pomiędzy starą szczeroczkę do zębów.

– Witam, komisarzu! Cieszę się, że pana widzę – powiedział doktor, z zapalem potrząsając dłonią Niedźwieckiego i kompletnie ignorując Zarębę. – Proszę za mną – ciągnął, starannie zamykając drzwi swojego gabinetu. Ruszył przed siebie z taką energią, jakby miał sprężyny w nogach.

Ordynator był człowiekiem niezwykle małomównym. Uważał, że sztuczna rozmowa jest dużo

bardziej krępująca niż naturalna cisza. Nie wdawał się w grzecznościowe pogawędki. W szpitalu myślał tylko i wyłącznie o swoich pacjentach. Niedźwiecki o tym wiedział, czekał więc cierpliwie na rozwój wypadków. Zaręba zastanawiał się, jak taki gbur może w ogóle pracować z ludźmi. Po chwili cała trójka pogrążona w myślach o własnych sprawach doszła do znajdującego się na końcu korytarza gabinetu pielęgniarek. W środku było przytulnie. Siostry dbały o stojące w doniczkach fikusy, na ścianach wisiały reprodukcje obrazów Klimta. Pachniało lawendowym odświeżaczem do powietrza. Przy jednym z dwóch biurka młodziutka pielęgniarka notowała coś w grubym zeszycie formatu A4.

– Proszę zostawić nas na chwilę samych, pani Michalino – zadysponował Kaperman.

– Sprawdzę, co się dzieje w trójce – powiedziała kobieta, zamykając zeszyt, po czym wyszła z gabinetu.

Zaręba docenił, że ma ładny uśmiech oraz zgrabne nogi. Niedźwiecki zaś kompletnie zignorował wdzięki dziewczyny. Patrzył wyczekująco na ordynatora. Wczoraj Kaperman zadzwonił do niego i poprosił o spotkanie w szpitalu. Komisarz uznał to za dobrą wróżbę. Czuł, że sprawa napadu na dom Patockich wkrótce trafi do archiwum.

Ordynator splótł dłonie i podszedł do ciemnej szyby, za którą znajdowało się kolejne pomieszczenie.

– To sala intensywnej opieki neurologicznej – tłumaczył. – Pacjenci w najcięższym stanie są dozorowani przez całą dobę.

Niedźwiecki popatrzył zachłannie przed siebie. Na łóżku przy oknie leżała nieruchomo Marlena Patocka. Miała otwarte oczy. Z suchych, popękanych warg sączyła się strużka śliny.

– Tak jak wspominałem przez telefon, nasza pacjentka odzyskała przytomność – obwieścił Kaperman. W jego głosie nie było ani radości, ani satysfakcji. – Jest jednak sparaliżowana – dodał, nie wdając się w szczegóły techniczne. – Na szczęście słyszy i rozumie wypowiedane przez nas słowa. Komunikuje się ze światem za pomocą ruchów powiek – objaśnił, wkładając dłonie do kieszeni fartucha. – Niestety ciągle walczymy z obrzękiem mózgu. Niewiele już możemy jej pomóc albo zaszkodzić, dlatego zgadzam się warunkowo na przesłuchanie. – Na nosie kobiety usiadła mucha. Chodziła majestatycznie, jakby to był deptak w Ciechocinku.

– Przesłuchanie... – mruknął sceptycznie Zaręba, któremu od drastycznych widoków kręciło się w ogoloniej po żołniersku głowie.

– Kontakt z panią Marleną nazywamy komunikacją alternatywną – wyjaśniał ordynator cierpliwym głosem. – Musicie panowie tak zadawać pytania, by odpowiedź na nie brzmiała „tak” lub „nie”.

– Widziałem na filmie, jak sparaliżowany facet porozumiewał się z otoczeniem za pomocą alfabetu Morse’a. Mrugał oczami lepiej niż reflektor na statku – pogrążał się Zaręba.

– Za dużo telewizji pan ogląda – uciął Kaperman ostrym tonem. – I proszę pamiętać, że ja tu dowodzę. Rozumiemy się?

– Oczywiście, doktorze. – Niedźwiecki, kładąc palec na ustach, przypomniał podwładnemu, że milczenie jest złotem.

– Ma pan to, o co posiłem? – zapytał lekarz.

– Tak – Komisarz wskazał na trzymaną przez aspiranta torbę. Sam sięgnął do kieszeni sztruksowej marynarki po miniaturowy przedmiot. – To jest nagranie wczorajszych *Faktów* – powiedział, prezentując błyszczącego pendrive'a.

– W takim razie pozwolą panowie, że zapoznam ich z Marleną Patocką. – Kaperman sięgnął do przeszklonej szafki i wyciągnął trzy fizelinowe maseczki. – Proszę je założyć przed wejściem na salę.

Zaręba otworzył torbę i nacisnął guzik zasilania wysłużonego laptopa. Czarny ekran nabrał kolorów. Z głośniczków rozległ się dźwięk startującego Windowsa.

– Jesteśmy gotowi – powiedział Niedźwiecki, wiążąc z tyłu głowy zgrabną kołardkę.

– To dobrze – pokiwał głową Kaperman. – Mam nadzieję, że drań, który jej to zrobił, trafi jak najszybciej w wasze ręce.

30 września

Brochów

Jesienny ogród wyglądał jak widoczek z obrazów impresjonistów. Trawnik stracił już wprawdzie intensywną zieloną barwę, ale wokół drzew owocowych leżały sterty żółtych, czerwonych i brązowych liści. Zasadzone na tarasie jednoroczne aksamitki przypominały płonące świece. Wokół płotu wily się fioletowe wrzosa. Pachniało ogniskami palonymi na pobliskich działkach.

Natura o tej porze roku jest jak starzejąca się kobieta, pomyślał Kwietniowski. Wie, że wszystko, co najlepsze, właśnie się kończy, dlatego próbuje jeszcze choć przez chwilę oczarować otoczenie.

Doktor otworzył małą butelkę budweisera. Spróbował bez przekonania. Piwo dostarcza pustych kalorii i wydyma brzuch. Dlaczego w Polsce świętowanie zawsze kojarzy się z alkoholem albo żarciem? Nie zamierzał jednak dyskutować z Adą, która postanowiła zorganizować imprezę na cześć Karola. Ich pierworodny właśnie został wicemistrzem Dolnego Śląska w judo w kategorii od jedenastu do dwunastu lat. Pokonał swojego przeciwnika przez ippon. Rodzice tak głośno kibicowali, że stracili głos.

– Moja krew – powtarzał dumny ojciec. – Moja krew.

Ada, która zaczęła łaskawiej patrzeć na uprawiane przez syna sztuki walki, pozwoliła Karolowi zaprosić do siebie wszystkich kolegów. Przyszła też siostra Ady z mężem, jej najlepsza koleżanka oraz teściowa, po którą godzinę temu Kwietniowski musiał specjalnie pojechać. Wszyscy patrzyli z zachwytem, jak Karol demonstruje na trawniku przed domem kolejne sportowe sztuczki. Oskar trzymał się na uboczu i pilnował grilla. Co jakiś czas uśmiechał się do teściowej albo arystokratycznie machał ręką do żony. Lubił taką rodziną, bezrefleksyjną atmosferę.

Szwagier zaferował, że pomoże w przygotowaniu posiłku, Kwietniowski dał mu jednak do zrozumienia, żeby zajął się czymś innym. Był miłym kołesiem, ale kompletnym nieudacznikiem. Pracował już jako handlowiec, konsultant telefoniczny, kierowca i Bóg jeden wie kto jeszcze. Kobiety twierdziły, że jest przystojny, ale on ciągle ładował się w jakieś kłopoty. Oskar, który sięgał mu do klatki piersiowej, zawsze powtarzał Adzie z satysfakcją:

– Co twojej siostrze po takim piękniśniu, skoro mieszkają w wynajętej kawalerce? Żadnych perspektyw, żadnych planów. – W ten sposób utrzymywał ją w przekonaniu, że ma najlepszego męża na świecie.

Obracał właśnie przyrumienioną cukinię, gdy podeszła do niego koleżanka żony.

– Widzę, że o wszystkim pomyślałeś – zagadnęła. – Nie jadam mięsa, ale te warzywa wyglądają świetnie.

– Liczyłem, że ktoś to doceni. – Kwietniowski spojrział na kobietę. Miała ciemne błyszczące oczy i gęste czarne włosy. Na imprezę ogrodową włożyła szpilki. Dobór butów do okazji nie świadczył najlepiej o jej guście, ale Oskarowi wcale to nie przeszkadzało. Zawsze lubił wysokie dziewczyny. W eksponowaniu biustu też nie widział niczego złego. Ciągle kłócił się z Adą, która

najchętniej nosiła ciuchy w rozmiarze większym niż powinna. Jej znajoma nie wstydziła się swojego ciała. Mała czarna podkreślała jej odrobinę zbyt grube uda i duże, jędrne piersi. Całości wizerunku dopełniały długie czerwone paznokcie.

– Niekórzy traktują wegetarian jak niegroźnych wariatów – uśmiechnęła się zalotnie.

Kwietniowski odnotował, że ma żółtawe zęby.

– W lodówce mam jeszcze sosy. Pomóżesz mi je przywieść?

Kobieta kiwnęła głową. Chwilę później stali w połączonej z salonem kuchni. Oskar zaczął wyciągać z lodówki salaterki. Gorączkowo szukał w pamięci jej imienia.

– Masz super syna – powiedziała, siadając na krzesła, które Ada kupiła w sklepie z designerskimi meblami. Oskar nie mógł zrozumieć, jak kawałek giętego plastiku może kosztować osiemset złotych. Doszło do kłótni, którą załagodziła dopiero wizyta dziekana Instytutu Historii Kultury. Profesor zachwyił się krzesłami, wytrącając Kwietniowskiemu wszystkie argumenty z ręki.

Oskar taksował koleżankę żony z coraz większym zapalem. Pakował ze swoim sumieniem, próbując odgadnąć, jak pachnie jej skóra.

– Zawsze mu powtarzałem, że jeśli będzie w życiu ciężko pracował, to osiągnie sukces – oświadczył mentorskim tonem. Kobieta założyła nogę na nogę.

– Kiedyś było mi to na rękę, ale teraz bardzo żałuję, że nie zdecydowałam się na dziecko – powiedziała.

Kwietniowski pokiwał ze zrozumieniem głową. To tłumaczyło, dlaczego ma tak przyzwoitą figurę.

– Jeszcze wszystko przed tobą. – Uśmiechnął się, dosypując sproszkowanego czosnku do sosu jogurtowego. Zapach przyprawy pobudził do pracy szare komórki. Przypomnił sobie imię rozmówczynie. Agata.

– Nie masz przypadkiem jakiegoś wina? – zapytała.

– Coś się znajdzie. – Doktor wyjął z lodówki butelkę białej Sophii. Dla niego wszystkie wina smakowały tak samo. Dlatego kupował najtańsze. Wygrzebał z dużej, zaopatrzonej w spowalnicze szuflady otwieracz. Aglomerowany korek wyszedł zadziwiająco łatwo.

– To za przyjęcie! – Agata obróciła w dłoni wypełniony po brzegi słomkowym płynem kieliszek

– Twoje zdrowie! – Kwietniowski podniósł do góry butelkę z resztką piwa.

Dziewczyna zaczęła go intrygować. Patrząc w jej czarne oczy, czuł się jak turysta, który podróżuje po dalekich arabskich krajach.

– Dlaczego nie przyszedł z mężem? – Zadał pytanie, na które doskonale znał odpowiedź. Agata rozwiodła się pół roku temu. Od tego czasu kiepsko sobie radziła w życiu.

Kobieta nie zdążyła odpowiedzieć. Do kuchni wtargnęła Ada.

– A, tu się schowaliście! – Kiwnęła ostrzyżoną na zapalną głową.

– Wyprawa po sosy. – Kwietniowski wskazał na salaterki.

– Masz gościa – obieściła.

Doktor odłożył piwo na blat i wbił zdziwione spojrzenie w żonę.

– Jakiego znowu gościa?

– Młoda dziewczyna. Czeka przy furtce. Twierdzi, że była z tobą umówiona.

– Ze mną? To jakaś pomyłka.

– Pewnie potrzebuje wpisu do indeksu. Nie wypada, żeby tak tam stała.

Oskar bez słowa wyszedł z domu. Idąc ścieżką w kierunku furtki, szykował wiązanek dla intruza, który zakłóca jego domowy mir. Serce zabiło mu mocniej, gdy zobaczył, że na chodniku stoi Pola.

– Czego chcesz? – warknął.

– Ostatnio był pan bardziej gościnnie – powiedziała Rajewicz, pokazując idealnie równe zęby.

Oskar poczuł, że się czerwieni.

– Spokojnie, panie doktorze, przyszedłem tylko oddać *Wojnę peloponeską*. Może przyda się w tym roku jakiejś innej dziewczynie.

– Nie zadzieraj ze mną – ostrzegł ją, przybierając surową minę.

Pola sięgnęła do przyozdobionej zdjęciem Marilyn Monroe torebki. Wyjęła oprawioną w papier grubą książkę.

– Przeczytałam od deski do deski – powiedziała. – Faktycznie szalenie wartościowa lektura. Otworzyła mi oczy na wiele spraw. Tukidydes bardzo ciekawie opisał to, jak ludzkie zachowania zmieniają się podczas wojny. Walka wymusza na nich niemoralne zachowania. Jeśli chcieliby postępować zgodnie z zasadami, skazywaliby się na porażkę.

– Jak widzisz, jestem teraz zajęty. – Kwietniowski przycisnął książkę do piersi i zamknął furtkę.

– Urodziny żony? – Pola stanęła na palcach, zaglądając przez płot. – A może syna?

– Nie twój interes.

– Ma pan rację. Nie mój. – Spuściła z zakłopotaniem oczy.

– I nie przychodź tu więcej!

Dziewczyna poprawiła spadający na czoło czarny loki dygnęła jak pensjonarka.

– Do widzenia, panie doktorze.

– Nigdy tu nie wracaj – wycedził Kwietniowski, zadowolony, że nie stracił panowania nad sobą. Gdy myślni był już z powrotem w domu, zobaczył, jak w kierunku furtki idzie Ada.

– Wszystko w porządku? – zapytała, patrząc z zainteresowaniem na gościa.

– Tak. Moja była studentka przysłała oddać książkę. – Oskar podniósł tomik na wysokość oczu.

– Pola Rajewicz – przedstawiła się dziewczyna. – Właśnie wróciłam z wakacji i chciałam mieć czyste sumienie. To była lektura obowiązkowa. Pan doktor był tak dobry, że mi ją pożyczył.

– Masz chody u mojego męża – uśmiechnęła się Ada. – On traktuje książki jak relikwie. Bardzo niechętnie się z nimi rozstaje.

– Tym bardziej doceniam ten gest. Doktor Kwietniowski jest wspaniałym wykładowcą – powiedziała Pola, podkreślając każdą sylabę słowa „wspaniały”.

– Cieszę się, że mogłem pomóc. – Oskar chciał jak najszybciej skończyć tę rozmowę. –

Przepraszam, ale jak pani widzi, mamy imprezę rodzinną. – Odwrócił głowę w stronę ogrodu i zobaczył, jak szwagier polewa mięso na grillu piwem z puszki.

– Nasz syn został dzisiaj wicemistrzem Dolnego Śląska w judo – pochwaliła się Ada.

– Naprawdę? – Pola podniosła brwi najwyżej jak potrafiła. – Uwielbiam judo. Mój ojciec trenował, starszy brat też.

– A może wejdzie pani na kawałek tortu? – Kwietniowska patrzyła na dziewczynę z coraz większą sympatią.

– Z przyjemnością poznam przyszłego olimpijczyka. – Pola z entuzjazmem wkroczyła na brukowaną ścieżkę i zgrabnie wyminęła gospodarza.

Oskar przerażony patrzył, jak Pola przybija piątkę z jego synem i przyjaźnie żartuje z Adą. Ciarki przechodziły mu od pięt aż do czubka wysokiego czoła.

1 października

Mirków koło Wrocławia

Marszałek Olaf Gorbaczewski przetarł zaspane oczy. Czuł nieprzyjemny ucisk w okolicach skroni i pulsującą za uchem żyłę. Położył stopy na zimnej posadzce i ostrożnie wstał z łóżka. Ziewając, pogłaskał wystający brzuch i popatrzył na śpiącą żonę. Jej bujne piersi o ciemnych brodawkach unosiły się miarowo z każdym oddechem. Przesunął rękę w kierunku jej ud, ale po chwili przywołał się do porządku.

Wystarczy, pomyślał, wychodząc na korytarz. Seks z żoną dzień po dniu to prawie perwersja. Ostrożnie domknął uchylone drzwi pokoju syna. Miał nadzieję, że pięcioletek nie słyszał, co dzieło się nocą w sypialni rodziców. Opróżniona wieczorem butelka czerwonego wina sprawiła, że zachowywali się z Grażyną jak para nastolatków na rozbieranej randce. Olaf rzadko pił, dlatego nawet niewielka ilość alkoholu skutkowałą niezaskutkowanym kacem i snem do nieprzyzwoicie późnej godziny.

Poszedł do łazienki. Z dna kosza na brudną bieliznę wyjął opakowanie ibuprofenu. Żona chowała przed nim leki w różnych nietypowych miejscach. Gorbaczewski bez skutku tłumaczył, że nie jest lekomanem. Po prostu gdy boli głowa albo wątroba, to nie ma sensu wierzyć w babcine zabobony, wlewać w siebie ciepłego mleka, spacerować po parku albo parzyć jakichś paskudnych ziółek. Popił wodą z kranu dwie tabletki i z ulgą przyklnął oczy. Za dziesięć minut będzie się czuł jak nowo narodzony.

Narzucił na plecy niebieski szlafrok frotté i poczłapał do kuchni. Postawił na czarnym lakierowanym blacie puszkę kawy espresso. Laminowane fronty mebli wyglądały na drogie, a kosztowały mniej od porządnego drewna. Stojąca na środku wyspa też podtrzymywała wrażenie luksusu, podobnie jak dwudrzwiowa lodówka i szlifowane kafle. Na parapecie stała kolekcja sześciu rzeźbionych przedwojennych młynków do kawy. Ich obecność była dla gości sygnałem, że Gorbaczewscy nie tylko są majątni, lecz także szanują tradycję.

Dopiero w tym roku udało im się wreszcie skończyć budowę domu. Miał tylko jedno piętro i mały ogród, ale za to okna sypialni wychodziły na las i brzeg jeziora. Kiedyś Gorbaczewski marzył o wielkiej rezydencji, ale kryzys sprawił, że interesy zaczęły iść kiepsko. Dodatkowo zrobił kilka nierozsądnych ruchów na giełdzie i stracił większość oszczędności. Teraz powoli wszystko wracało do normy, a dom w Mirkowie był przemyślaną i rozsądną inwestycją.

Zanim w powietrzu rozszedł się cudowny zapach kawy, mężczyzna miał już w głowie gotowy plan dnia. Najpierw pojedzie na akademię sztuk pięknych i podpisze umowę-zlecenie z pewnym dobrze rokującym rzeźbiarzem. Potem wyskoczy do Karczmy Lwowskiej na tłusty rosół. Wieczorem zabierze Grażynę do kina.

Wyjął z lodówki kawałek ciasta i sprawdził palcem konsystencję kremu.

– Dobre – kiwnął głową, cmokając ze zjawstwem.

Gdy wyciągał ze zmywarki widelczyk, usłyszał dzwonek

– Pewnie listonosz – mówił do siebie, idąc do przedpokoj.

Gdy zobaczył, że na ganku stoi dwóch ponurych facetów, ogarnął go niepokój.

– Pan Olaf Gorbaczewski? – zapytał wyższy. Miał szerokie bary i krótkie włosy cieniowane na wzór amerykańskich marines. Niższy nosił za to rudą brodę.

– Tak, to ja – odpowiedział niepewnie gospodarz.

– Komenda Wojewódzka Policji – mruknął brodac, prezentując policyjną legitymację. – Nazywam się komisarz Niedźwiecki, a to aspirant Zaręba. Możemy wejść?

– Proszę – rzucił automatycznie Gorbaczewski. – Coś się stało?

– Zaraz wszystko wyjaśnimy – uspokoił go komisarz.

– Chodźcie do pokoju. – Gorbaczewski wskazał ręką na salon i położył palec na ustach. – Tylko cicho. Żona śpi. Chyba wiem, po co przyszliście – powiedział, odyskując pewność siebie.

Dwa tygodnie temu pod supermarketem jakiś facet w granatowym fiacie wymusił pierwszeństwo, a potem uciekł, zostawiając Gorbaczewskiego ze stłuczonym reflektorem. Policja nie dawała większych szans na znalezienie sprawcy. A tu proszę. Wystarczy dostać medal od prezydenta, a już lokalni gliniarze traktują cię jak VIP-a.

– Namierziliście go? – zapytał, przyglądając się komisarzowi Niedźwieckiemu. Facet wyglądał bardziej na malarza abstrakcjonistę niż oficera policji.

– Namierzyliśmy... kogo?

– No, tego gościa, co mi rozwalił furę i zwiął. – Marszand podrapał się po głowie. – Nikt mnie nie chciał słuchać, kiedy mówiłem, że trzeba przejrzeć nagrania z monitoringu.

– Nie jesteśmy z drogówki. – Aspirant Zaręba pokręcił wygoloną głowę. Wyciągnął z czarnej kamizelki złożoną na cztery „Gazetę Wrocławską” i położył ją na solidnym drewnianym stole. – To pan jest na tym zdjęciu? – Postukał palcem w kolorową fotografię opatrzoną tytułem: *Prezydent Wrocławia wręcza medale zasłużonym dla kultury.*

– Oczywiście! – rozpromienił się Gorbaczewski. – To wielki zaszczyt i dowód uznania dla mojej pracy z młodymi artystami.

Wziął do ręki gazetę. Z zainteresowaniem przeczytał kilka pierwszych zdań. Po chwili jednak wrócił do rzeczy wistoci.

– Jeśli chcieliście mi pogratulować, wystarczyło wysłać mejla na służbowy adres – powiedział, podnosząc wzrok – O co tak naprawdę tutaj chodzi?

– Marlena Patocka odzyskała przytomność – powiedział Niedźwiecki, patrząc w oczy marszanda.

– Dalej nie wiem, co to ma wspólnego ze mną – wycedził powoli Gorbaczewski.

– Twierdzi, że to pan zabił jej męża.

– To jakiś żart!

– Mamy nakaz doprowadzenia pana celem przeprowadzenia okazania. – Zaręba podał Gorbaczewskiemu kartkę gęsto zapisaną maszynowym drukiem.

Marszand automatycznie wziął pismo do ręki. Niewiele z niego rozumiał. Pieczętki i litery skakały mu przed oczami.

W drzwiach stanęła Grażyna. Popatrzyła ze strachem na policjantów.

– Co się tutaj dzieje? – zapytała, podciągając cienką nocną koszulę pod samą szyję. Gorbaczewski bezradnie popatrzył na żonę.

– Ktoś próbuje mnie zrobić w morderstwo.

1 października

Instytut Historii Kultury

Kwietniowski podszedł do okna. Popatrzył na stojących wokół dziedzińca studentów. Palili papierosy, pokazywali sobie coś na komórkach, co chwilę wybuchali rubasznym śmiechem. Nie wyróżniali się niczym specjalnym. Romantyczni humaniści przedkładający wiedzę nad pieniądze albo wieczni imprezowicze, którzy po każdej sesji stali z podaniami przed dziekanatem.

Dla niektórych studia były drogą do awansu społecznego. Chcieli się jakoś ustawić i zdobyć pierwszy w rodzinie tytuł magistra. Kwietniowski przy pomnił sobie starszą kobietę, która kilka lat temu podeszła do niego na korytarzu. Przedstawiła się jako matka jednego z jego studentów. Pytała, kiedy jest pierwsza wywiadówka. Syn twierdził, że w szkole wyższej nie ma wywiadówek, ale ona mu nie wierzyła. Bała się, że jej latorośl bez ojcowskiego pasa zejdzie na manowce. Twierdziła, że jej syn był gotów zrobić wszystko, żeby tylko nie pomagać w gospodarstwie. Nawet zdać na studia.

Kwietniowski tęsknił za czasami, kiedy wykładowca był praktycznie bezkarny. Mógł oblać całą grupę albo odwołać zajęcia bez podania powodu. Mógł zrobić egzamin w knajpie albo zaliczyć wszystkim tym, którzy mają parzyste numery indeksów. Zmiany przyszły wtedy, gdy polskie uczelnie zaczęły starać się o akredytacje i granty. Trzeba było mieć wyniki, ze wszystkiego się tłumaczyć i wypełniać tony formularzy. Młodzież też stała się bardziej pewna siebie i wymagająca. Gdy coś im nie pasowało, potrafili napisać skargę do dziekana albo obsmarować wykładowcę na forum „Gazety Wyborczej”.

Sporo dzieciaków zaczęło też dorabiać. To według Oskara było źródłem największego absurdu. Pracowali, żeby mieć pieniądze na studia, ale w ten sposób przestawali mieć czas na naukę. Kończyło się dziekanatami, powtarzaniem roku albo usunięciem z listy studentów. Dziewczyny radziły sobie lepiej. Były bardziej ambitne i poukładane. Niektóre z nich potrafiły również umiejętnie zarządzać swoimi wdziękami. Oskar miał w przeszłości kilka przelotnych romansów. Pierwszy raz zdradził Adę, kiedy urodził im się syn. Ich pożycie seksualne było w kompletnej ruinie. Zrobił mały skok w bok z pewną abiturientką, która gdy zdjęła wełnianą spódnicę, okazała się całkiem atrakcyjną kobietą. Po tym incydencie obiecał sobie, że już nigdy do tego nie dopuści. Niestety dobre wspomnienia kazały mu spróbować jeszcze raz, a potem jeszcze raz. Prawie wpadł, gdy jedna z dziewczyn się w nim zakochała. Pozbawił ją złudzeń, a ona zaczęła rozgłaszać na uczelni, że proponował jej zaliczenie w zamian za seks. Kwietniowski wszystkiego się wyparł, a dziewczyna rzuciła studia. To był jednak sygnał ostrzegawczy. Zaczął nagrywać egzaminy. Podrywał tylko te studentki, na które miał jakiegoś hała. Dlatego pozwolił sobie na zabawę z Polą. Myślał, że będzie jadła mu z ręki, ale ta gówniara rozpoczęła jakąś dziwną grę. Miała chęć zakłócić jego mir domowy, bawić się z jego synem, opowiadać Adzie, jakim jest świetnym wykładowcą, śmiać się z żartów durnego szwagra. Nie robiła żadnych aluzji do wspólnej nocy. Była tak miła, że aż mdliło. W końcu wyszła, szepcząc mu na pożegnanie do ucha:

– Jutro o trzy nastęej w parku przy moście Piaskowym obok przy stani. Przyjdź, nie pożałujesz.

Oskar całą noc zastanawiał się, co zrobić z tą niespodziewaną propozycją. Postanowił dać gówniarze nauczkę.

– No to zaczynamy zabawę – wyszeptał pod nosem, patrząc na zegarek – Zdjął z oparcia krzesła marynarkę i zamknął gabinet na oba zamki. Wychodził z uczelni odprowadzany ukłonami studentów. Najgłośniejsze „dzień dobry” pochodziło z ust tych, którzy egzamin u niego mieli jeszcze przed sobą.

Kwietniowski wolnym, spokojnym krokiem przeszedł ulicą Szewską w kierunku placu Nankiera. Minął Studium Języków i najstarszą we Wrocławiu budowlę – Domek Romański. Doszedł do bulwaru Dunikowskiego. Tej nazwy używali tylko urzędnicy i członkowie Towarzystwa Przyjaciół Wrocławia. Dla starych bywalców był to park z „górką pedałów”. Latem spotykali się na niej wrocławscy geje. Dilerzy sprzedawali tam marihuanę. Ze względu na specyficzną topograficzną całość to wesołe towarzystwo widziało policjantów już z daleka. Pola stała samotnie przy przystani, oparta o barierkę. Na widok Kwietniowskiego uśmiechnęła się jak do starego przyjaciela.

– Nie dasz mi buziaka na powitanie? – zapytała.

– Co? – Oskarowi zrobiło się chłodno. Czyżby ta cwaniara się w nim zakochała?

– Żartowałam. – Podniosła wysoko głowę. – Na samą myśl o tym, że się do mnie zbliżasz, chce mi się rzygać. Masz miłą żonę. Co ona w tobie widzi?

Kwietniowski zacisnął usta. Popatrzył dookoła, sprawdzając, czy tej dziwacznej rozmowie nikt się nie przysłuchuje.

– Przyszedłem, żeby panią ostrzec – powiedział, poprawiając kołnierzyk starannie wyprasowanej przez Adę koszuli. – Jeśli jeszcze raz usłyszę jakąś seksualną aluzję, zgłoszę sprawę do rady wydziału. Nie życzę sobie również nachodzenia mnie w domu. Mówi coś pani słowo stalking?

Pola oblizła koniuszkiem języka spierzchnięte wargi. Były pokryte szminką w kolorze jaskrawej czerwieni, najmocniejszą, jaką znalazła w sklepie.

– Stalkerka i gwałcieł. Dobrana para.

Kwietniowski poczerwieniał. Wyglądał, jakby miał zaraz rzucić się na Polę z pięściami.

– Słuchaj, dziewczynko. Dam ci ostatnią radę. Zapomnij o moim istnieniu, bo gorzko tego pożałujesz.

Pola odwróciła się w kierunku Odry. Wycieczkowy stateczek „Gucio” walczył z silnym prądem. Na pokładzie pod czerwonym daszkiem siedzieli japońscy turyści z przyklejonymi do dłoni aparatami fotograficznymi. Nad brzegiem rzeki biesiadowały grupki studentów świętujących rozpoczęcie roku akademickiego. Schowani w krzakach, pili piwo, kontrolując sumiennie, czy na horyzoncie nie pojawia się patrol straży miejskiej. Cała okolica tętniła życiem, radością, zabawą.

– Wszystko jasne? – zapytał Kwietniowski, biorąc jej milczenie za dobrą monetę.

– Jak słoneczko – powiedziała Pola, odwracając się w kierunku doktora. – Ale pod jednym warunkiem – dodała.

– Żadnych warunków – warknął Kwietniowski.

– Nie ty będziesz o tym decydował – oznajmiła bez emocji.

Wiatr przegonił ostatnie chmury. Do parku na chwilę znów wróciło lato. Kwietniowski uśmiechał się ironicznie, ale Pola była pewna, że nareszcie zaczął ją traktować poważnie.

1 października

Szpital Miejski,

Oddział Intensywnej Opieki Neurologicznej

Przygotowanie do okazania wiązało się z nie lada kłopotami. Trzeba było werbować kolegów z komendy albo krążyć po ulicach, zaczepiając na przykład wszystkich niskich szczupłych blondynów. Dzisiaj aspirant Zaręba poradził sobie koncertowo. Po piętnastu minutach miał do dyspozycji trzech mężczyzn o zbieżnym rysopisie. Całe towarzystwo zostało zapakowane do srebrnego fiata ducato, a następnie przewiezione do Szpitala Miejskiego, gdzie miało się odbyć najdziwniejsze w historii polskiej kryminalistyki okazanie.

W pokoju pielęgniarek stało w równym rzędzie czterech gentlemanów. Pierwszym z nich był ubrany po cywilnemu posterunkowy Jarosław Michalski. Obok policjanta prężył się pracujący w stołówce komendy kucharz Adam Trzciniński. Trzecie miejsce zajmował czerwony ze złości Olaf Gorbaczewski. Pod ścianą stał jeszcze zatrzymany do wyjaśnienia drobny złodziej, który spędził ostatnią noc w policyjnym areszcie.

Na Oddziale Intensywnej Opieki Neurologicznej stało chwilowo tylko jedno łóżko. Jego oparcie podniesiono w ten sposób, że przypięta pasami Marlena Patocka znajdowała się w pozycji siedzącej. Przy łóżku kręcił się technik policyjny z dużymi słuchawkami Sennheisera na uszach. Ustawiał parametry ekspozycji profesjonalnej kamery HD. Obiektyw o stałej ogniskowej pięćdziesięciu milimetrów skierowany był na twarz świadka. Doktor Kaperman podał pacjentce przez kropłówkę środek uspokajający i poprawił umieszczony na palcu czujnik saturacji.

– Macie pięć minut – powiedział, patrząc na Niedźwieckiego. – Zastrzegam sobie prawo do przerwania przesłuchania, jeśli uznam, że stan zdrowia Marleny Patockiej zacznie się pogarszać – dodał, obserwując wskazania kardiomonitora.

Rozbłysnął monitor policyjnej kamery. Siedzący w łóżku pod oknem protokolant uniosł ręce nad klawiaturą. Niedźwiecki zaciągnął zamontowane w oknie żaluzje i popatrzył w przestraszone oczy kobiety.

– Możemy zacząć? – zapytał.

Jedno mrugnięcie.

– Rozpoczynamy okazanie w sprawie zabójstwa Nikodema Patockiego i ciężkiego okaleczenia Marleny Patockiej – obwieścił głośno i dobitnie komisarz. – Proszę o zapalenie reflektorów w sali pielęgniarzkiej.

Jasny strumień światła filmowych jarzeniówek oświetlił czterech mężczyzn stojących po drugiej stronie szyby. Wszyscy trzymali w rękach kartki z nabazgranymi flamastrem numerami. Co chwilę wycierali z czoła kropelki potu. W tafli szła, za którą leżała Marlena Patocka, widzieli jedynie swoje odbicie. Efekt lustra fenickiego został osiągnięty dzięki znacznej różnicy natężenia światła w obu pomieszczeniach.

– Działamy według wcześniej ustalonej metodologii przesłuchania, na którą zgodzili się obecni przy czynnościach ordynator Oddziału Neurologii Franciszek Kaperman oraz nadzorujący śledztwo prokurator Mikołaj Rapacki. – Komisarz popatrzył w skupieniu na Marlenę Patocką. – Świadek odpowiada poprzez mrugnięcie powieką.

Jedno mrugnięcie oznacza „tak”, dwa – „nie”. Wszystkie pytania będą miały formę zamkniętą jak podczas badania na wykrzywczu kłamstw.

Podkrążone oczy Marleny Patockiej chłonoły każdy szczegół. Nienaturalnie rozszerzone źrenice nie przestawały się poruszać nawet przez moment. Kobieta była przykryta kołdrą aż po szyję. Nieruchome ręce leżały wzdłuż ciała. Doktor Kaperman zwiększył ilość podawanego przez rurkę tracheotomijną tlenu i zwilżył wacikiem suche wargi pacjentki.

– Za szybą, w pokoju, jest czterech mężczyzn. Czy widzi ich pani? – zapytał Niedźwiecki, gdy lekarz wrócił na swoje miejsce.

Jedno mrugnięcie okiem.

– Czy w którymś z nich rozpoznaje pani napastnika, który w nocy z dziewiętnastego na dwudziestego czerwca włamał się do domu i zamordował pani męża? – kontynuował, wpatrując się z napięciem w nieruchomą twarz Patockiej.

Jedno mrugnięcie okiem.

– Czy jest to człowiek, który trzyma kartkę z numerem jeden? – Niedźwiecki wskazał na posterunkowego.

– Nie.

– Z numerem dwa?

– Nie.

– Z numerem trzy?

– Tak

– Czy jest pani pewna?

– Tak

– Proszę zaprotokołować, że świadek jednoznacznie wskazał Olafa Gorbaczewskiego – zady sponował Niedźwiecki.

Oczy Patockiej zrobiły się wilgotne. Skóra nabrała różowego koloru. Pacjentka wyglądała tak, jakby zaraz miała wstać i pójść do domu, tymczasem z głośnika kardiomonitora rozległ się wysoki, nieprzyjemny dźwięk. W kilka sekund wskazania pulsu oraz ciśnienia zwiększyły się prawie dwukrotnie. Kaperman podniósł rękę, dając znak, że nie pozwala na dalsze pytania. Zanim technik zgasił ustawione na statywach lampy, Gorbaczewski zgniótł trzymaną w rękę kartkę z numerem i rzucił ją ze złością na ziemię. Podbiegł do szyby i zaczął walić w nią pięścią. Miał przekleństwa, wyrażając wszystkim dookoła. Zaręba obezwładnił go po krótkich zapasach. Sprawnym ruchem założył mu kajdanki na przeguby wykręconych dłoni. Marszand wierzgał nogami, kopał. Znieruchomiał dopiero wówczas, gdy aspirant złapał go za kark i uniósł wysoko sępane z tyłu ręce. Zastosowany przez policjanta chwyt unieruchomił agresora od pasa w górę. Każde szarpnięcie powodowało potworny ból.

Mimo próśb lekarzy na korytarzu zebrało się sporo pacjentów. Tego dnia na oddziale

neurologicznym został zużyty cały zapas środków uspokajających.

1 października

Bulwar Dunikowskiego

– Zrobisz coś dla mnie i będziemy kwita – powtórzyła Pola, bawiąc się przypiętą do torebki maskotką.

– A żebyś wiedziała, że zrobię – zagroził Kwietniowski. – Złożę skargę na ręce dziekana i powiadomię o wszystkim policję.

Odwrócił się do dziewczyny plecami. Wiedział, że przyjscie tutaj było błędem. Takim samym jak próby negocjacji z domorosłymi szantażystami. Zadarł wysoko brodę i ruszył w kierunku placu Nankiera. Przy parkingu Instytutu Filologii Polskiej Pola go dogoniła.

– Odprowadzę pana na uczelnię, doktorze – krzyknęła, próbując za nim nadążyć.

– Wiesz, ile możesz stracić, jeśli skończy się moja cierpliwość? – zapytał.

– Studia, po których mogę być co najwyżej kelnerką, i reputację, która nigdy nie była specjalnie dobra – odpowiedziała bez wahania dziewczyna, gdy mijali liceum sióstr urszulanek.

W niewielkim szkolnym ogródku rozsiadły się na ławce zakonnice. Zakasały szare habity i wygrzewały się w jesiennym słońcu. Doktor pomachał im przyjaźnie. W każdy piątek prowadził u sióstr wykłady z filozofii starożytnej. Uchodził za bardzo lubianego i popularnego pedagoga.

– Żał mi cię – powiedział Kwietniowski, nie przestając się uśmiechać do zakonnice. – Jesteś bezczelną, pretensjonalną gówniarą.

Pola nie wyglądała na obrażoną.

– Kiedy wyszłam od pana z domu, czułam się potwornie ponizona – powiedziała ze spokojem. – Myślałam, że będę miała doła przez najbliższe dwadzieścia lat. Na szczęście wytłumaczyłam sobie, że tak właśnie miało być. Tamtej nocy staliśmy się współnikami.

– Rada wydziału zadecyduje, co z tobą zrobić. Twój tupet nie ma granic. – Doktor znowu dziarsko ruszył przed siebie.

Na Szewskiej prawie wpadł pod cichobieżny tramwaj. Motorniczy wymachiwał pięścią, krzycząc obelgi, przy których słowo „idiota” brzmiało jak komplement. W normalnych okolicznościach Kwietniowski spisałby numery pojazdu i złożył doniesienie do MPK. Dzisiaj jednak skulił się w sobie, a potem przeprosił. Za dużo tych awantur jak na jeden dzień.

– Może jednak mnie wysłuchasz? – zapytała Pola.

– Cokolwiek powiesz na mój temat, będzie kłamstwem. Tobą powinien zająć się psychiatra albo sąd. Żegnam!

– Niech pan nie idzie do instytutu – ostrzegła go Pola.

Kwietniowski przy stanął. Zamrugał zdziwiony mi oczami.

– Dlaczego?

– Chcę panu pokazać pewną obrzydliwą rzecz.

Sprawnym ruchem sięgnęła do błyszczącej torebki i wyciągnęła strunowy woreczek Twarz

Kwietniowskiego w jednym momencie stała się biała. Oparł się o witrynę sklepu z kapeluszami, czując, że z trudem oddycha.

– Zwariowałaś? – wyduł przez zaciśnięte gardło.

– Dzięki panu, mistrzu – powiedziała Pola, machając woreczkiem.

– Zabrałaś prezerwatywę? – głos Kwietniowskiego wyrażał bezgraniczne zdziwienie.

– Dziwna pamiątka ze wspólnie spędzonej nocy, prawda? Na pewno przed przyjazdem żony starannie posprzątał pan dom. Ciekawe, czy zaniepokoił pana brak jednej użytej gumki?

– Oddaj to – warknął doktor, wyciągając przed siebie rozczapierzoną dłoń.

Pola cofnęła się o krok i schowała zawiniątko za plecami. Z budynku wyszło dwóch studentów pierwszego roku. Przeżuwając pączki, pokłonili się w pas Kwietniowskiemu i zniknęli za zakrętem.

– Co chcesz zrobić? – zapytał speszony doktor.

– Czekaj na moje instrukcje. Spotkamy się niedługo, żeby uzgodnić, co będziesz musiał zrobić, żeby twoje DNA nie było tematem kolejnej rady wydziału.

2 października

Komenda Wojewódzka Policji

Inspektor Henry Kolasa pewnym wzrokiem patrzył przed siebie. Unosił wysoko kolana, jakby maszerował na defiladzie. Wypastowane buty z wysokimi cholewami stuknęły o wytartą posadzkę niczym damskie obcasy. Jego mundur lśnił czystością, a koszula była nieskazatelnie biała – jeśli w niebie pada śnieg, z pewnością ma właśnie taki odcień. Wypolerowane guziki odbijały światło zawieszonych pod sufitem jarzeniówek.

– Jeszcze mu tylko kwiatka w kieszonce brakuje – mruknął pod nosem Zaręba, który wraz z Niedźwieckim podążał za szefem w kierunku znajdującego się na ostatnim piętrze pomieszczenia szumnie zwanego pokojem przesłuchań. Była to niewielka sala, rzadko zresztą używana. Zaaranżowano ją, bo wymagał tego regulamin, ale dochodzeniowcy z Komendy Wojewódzkiej woleli spisywać zeznania w zaciszach swoich gabinetów, dlatego na ogół stała pusta. Czasem służyła jako graciarnia, czasem przespał się tam jakiś nietrzeźwy funkcjonariusz.

– Pozwoliłem sobie wprowadzić pewne zmiany – powiedział Kolasa, wyjmując z kieszeni spodni pęk kluczy. – Nie poznacie panowie starego pokoju przesłuchań – obwieścił, z dumą uchylając drzwi.

Gdy Zaręba i Niedźwiecki weszli do środka, zbaranieli. Swojska kanciapa wyglądała jak scenografia z amerykańskich filmów. Ściany zostały pomalowane na białą, a z podłogi zniknęły wszystkie graty. Całość wyposażenia stanowiły dwa plastikowe krzesła i sterylne biurko, nad którym wisiał zegar. Przy zastłoniętym żaluzjami oknie cicho działał klimatyzator.

– To się nazywa porządek – mruknął bez cienia szacunku Zaręba.

– To się nazywa psychologia, aspirancie – pouczył go łaskawie inspektor. – Przesłuchiwanego nic nie może rozpraszać. Jedną osobą, na której ma być skupiony, to ja.

Kolasa otworzył szufladę biurka i wyciągnął specjalnie zawczasu przygotowaną grubą teczkę. Na jej okładce widniał napis „Olaf Gorbaczewski”.

– Aż tyle na niego mamy? – zapytał zaskoczony Zaręba.

– W środku jest makulatura, ale on nie ma o tym pojęcia. Niech myśli, że wiemy o nim więcej niż jego żona. Proszę przyprowadzić klienta – zakomenderował inspektor, siadając na krześle.

– Kogo? – zgłupiał aspirant.

Kolasa liczył na to pytanie. Znowu mógł błysnąć wiedzą.

– Nie powinniśmy dzielić ludzi na świadków, poszkodowanych i oskarżonych – obwieścił. – Z naszego punktu widzenia wszyscy są tylko klientami, których trzeba profesjonalnie i sprawnie obsłużyć.

Gdy skłówany Zaręba wyszedł z pokoju, Kolasa popatrzył dobrotliwie na Niedźwieckiego.

– Stań pod ścianą. Patrz i się ucz – powiedział.

Po chwili do pokoju w asyście aspiranta wszedł skuty kajdanami Gorbaczewski. Był blady,

a jego artystyczny wąsik wisiał smutno pod długim nosem. Kolasa uśmiechnął się szeroko na jego widok

– Dzień dobry, panie Olafie – zaprzyjaźniał się nieszczerze inspektor. – Kawy, herbaty? A może ma pan jakieś inne życzenia? – Wskazał mu wolne krzesło.

– Chciałbym pójść do domu.

– Nie tak prędko, panie Olafie. Najpierw chcemy wiedzieć, co pan robił w nocy z dziewiętnastego na dwudziestego czerwca.

– Spałem – odpowiedział szybko marszand.

– Tak dobrze pan to pamięta? Nie musi się pan chwilę zastanowić?

– Zawsze w nocy śpię. Taki mam zwyczaj. Od trzeciego roku życia.

– Wiemy, że kłócił się pan z malarzem o pieniądze. Wiemy również, że miał pan spore długi.

– Nie zabiłem Nikodema Patockiego! – krzyknął Gorbaczewski. – Ktoś chce mnie zrobić.

– Wszystko po kolei, panie Olafie. Wszystko po kolei – ciągnął niezrażony Kolasa, uśmiechając się nieprzerwanie. Wyglądał jak pracownik banku, który chce sprzedać staruszcze nieprzyzwoicie wysoko oprocentowany kredyt.

– Nie zabiłem Nikodema Patockiego – powtórzył marszand.

– Wiemy, że chciał zrezygnować z pana usług. Oskarżał pana o nieuczciwość. Co pan powie na te zarzuty? – dociękał Kolasa, stukając długim palcem w leżącą na biurku teczkę.

– Różnie między nami bywało – bronił się Gorbaczewski – ale nie jestem mordercą. Marlenie Patockiej coś się pomyliło. Sami widzieliście, w jakim jest stanie.

Kolasa zmarszczył czoło. Jego twarz przybrała surowy wyraz. Płynnie przeszedł do kolejnego etapu przesłuchania.

– Masz ostatnią szansę, by urwać kilka lat z wyroku. Mnie jest wszystko jedno, czy dostaniesz dwadzieścia pięć, czy piętnaście lat. Pomyśl o swojej rodzinie!

Niedźwiecki przyglądał się rozmowie z coraz większym znużeniem. Kolasa doskonale odrobił zadanie domowe ze szkoleń metodą FBI, czuć to było w powietrzu. Pracująca pełną parą klimatyzacja podniosła temperaturę o kilka stopni. Sztuczka polegała na tym, żeby podejrzany myślał, że poci się z powodu własnych kłamstw, a nie upału. Dodatkowo wielki zegar ścienny chodził dwa razy wolniej, niż powinien, aby jeszcze mocniej zdezorientować podejrzanego.

Te wszystkie triki nie robiły jednak wrażenia na Gorbaczewskim, który skutecznie zamknął się w sobie. Przystał interesować się otoczeniem. Siedział ze spuszczoną głową i powtarzał w kółko to samo zdanie. Kolasa natomiast dwoił się i troił. Zadawał pytania otwarte, zamknięte, bezpośrednie, selekcyjne. Obserwował reakcje. Raz był miły, potem surowy, czasem nieprzewidywalnie abstrakcyjny – wszystko na nic.

W pomieszczeniu zaparowały szyby. Pod pachami ubranego w gruby mundur Henry'ego pojawiły się mokre plamy. Inspektor wiercił się na krześle, wyglądał, jakby walczył z rozstrojem żołądka. Wreszcie zapomniał o swojej angielskiej flegmie i walnął pięścią w stół.

– Zabiłeś go! – krzyknął jak furiat. – Powiedz to! Był pazernym na kasę dupkiem. Zasłużył

sobie na karę. Prawda?

Gorbaczewski nie odpowiedział. Kiwał się na stołku jak w chorobie sierocej. Kolasa z arsenału sztuczek zostało już tylko zaproponowanie aresztantowi strzału „z liścia”. O metodach przymusu bezpośredniego oraz torturach amerykańscy oficerowie mówili rzadziej i tylko na zamkniętych spotkaniach.

– Może już wystarczy na dziś? – zaproponował komisarz, wcielając się w rolę dobrego policjanta.

– Niech będzie. – Kolasa popatrzył na Gorbaczewskiego świdrującym wzrokiem. – Lepiej żebyśmy się dogadali po dobroci, panie Olafie – zaproponował, zabierając ze stołu spreparowaną teczkę, po czym z ulgą opuścił pomieszczenie.

Niedźwiecki oparł się o świeżo pomalowaną ścianę. Poczł, jak ogarnia go satysfakcja. Za dwa tygodnie ten finezyjny pokój przesłuchań zamieni się z powrotem w graciarnię. To jest stary dobry Wrocław, a nie jakaś zapiaszczona baza w Guantanamo.

2 października

Siedziba sądu rejonowego

To był jeden z ostatnich ciepłych dni tej jesieni. Usytuowane od południa wielkie okna zmieniły salę rozpraw w szklarnię. Oskarżony miał na sobie bawełnianą koszulkę polo i dobrze znosił wysokie temperatury. Martwił się jednak tym, co słyszał od bardziej doświadczonych kolegów. Spocony wysoki sąd wydaje bardziej surowe wyroki. Chłopak z niepokojem obserwował ubraną w ciężką togę sędzię. Kobieta była mniej więcej w wieku jego matki, ale i tak musiał przyznać, że jest atrakcyjna. Miała niebieskie oczy, dołeczki w kącikach ust, lekko zadarty nos oraz długie jasne włosy. Siedziała sztywno na krześle obłożonym zielonym płótnem i z uwagą słuchała mowy końcowej oskarżyciela. Prokurator Igor Walasek był strasznym gadułą. Swoje wystąpienie ozdobił przeróżnymi dygresjami na temat stanu współczesnej moralności. Po kilku minutach gędzenia wreszcie przeszedł do rzeczy.

– Mam nadzieję, że pokazałem Wysokiemu Sądowi, jak znaczny jest stopień zdegenerowania tego młodzieńca – mówił, wymachując trzymanym w ręku długopisem. – Przeszłości dokonywane były w czynie ciągłym, umyślnie, w zamiarze bezpośrednim kierunkowym. Dlatego żądam kary roku bezwzględnego pozbawienia wolności. W więzieniu oskarżony będzie miał czas, żeby przemyśleć swoje zachowanie – dodał mentorsko, siadając na drewnianej ławie.

Przez moment zapanowała cisza, którą wypełniało stukanie w klawiaturę. Protokolantka skończyła notować mowę. Sędzia Aleksandra Litwa mogła udzielić głosu adwokatowi.

– Proszę, aby Wysoki Sąd wziął pod uwagę, że mój klient, Sebastian Kuryłko, jest jeszcze człowiekiem młodym, nieukształtowanym – tłumaczył, nie patrząc na chłopaka. – Wyrok w zawieszeniu pozwoliłby mu znaleźć pracę i skończyć szkołę – stwierdził, zamykając leżącą przed nim tekturową teczkę.

– Czy oskarżony chce coś dodać? – zapytała Aleksandra Litwa.

– Tak, Wysoki Sądzie. – Sebastian prawie stanął na baczność. – Proszę o szansę na powrót do normalnego życia. – Starał się, aby jego twarz wyrażała skruchę. Miał szczęście, że odpowiadał z wolnej stopy i nie został tutaj doprowadzony prosto z aresztu. Trudno zrobić na kimkolwiek dobre wrażenie, gdy siedzi się w kajdankach między dwoma policjantami.

– Pięć minut przerwy – zarządziła Aleksandra Litwa. – Potem zostanie ogłoszony wyrok

Zaszurały drewniane ławy. W sali zostały tylko sędzina i młoda protokolantka. Kilka lat temu byliby tu jeszcze ławnicy, ale ostatnio znacznie ograniczono ich udział w sprawach karnych. Większość sędziów przyjęła tę nowelizację kodeksu z ulgą. Ławnicy zazwyczaj przysypiali na rozprawach albo ukradkiem rozwiązywali krzyżówki. Choć zdarzali się też ludzie zaangażowani w swoją pracę, a na dodatek doświadczeni i mądrzy. Takich zawsze warto było posłuchać. Głos ludu brzmiał czasem wyjątkowo rozsądnie. Gdy zabrakło ławników, podczas tak zwanej narady nie było się nawet do kogo odezwać. Litwa pośliniła palec i otworzyła akta oskarżonego. Chłopak dostał pierwszy wyrok za kradzież, gdy skończył osiemnaście lat. Był to wyrok w zawieszeniu. Przez następne pięć lat był grzeczny albo nie dał się złapać. Aż do teraz. Skoro policja udowodniła

mu „prywatyzację” ośmiu rowerów, to można zakładać, że ukradł ich ze dwa razy więcej. Sędzia wzięła do ręki notatkę kuratora z wywiadu środowiskowego. Matka ciężko uzależniona od alkoholu, ojciec nieznan. Ulotnił się, zanim chłopak przyszedł na świat.

– Sebastian Kuryłowicz – przeczytała na głos.

Mecenas Konopka nie potrafił nawet poprawnie wymówić jego nazwiska. Pewnie przeglądał akta chwilę przed wejściem na salę. Kiedyś ktoś zgrabnie powiedział, że adwokat z urzędu jest na rozprawie tak samo przydatny jak kwiatek w doniczce.

– Dostanie rok w zawieszeniu – orzekła sędzia, patrząc na protokolantkę. – Może pani ogłosić koniec przerwy.

Litwa poprawiła wiszący na jej szyi ciężki złoty łańcuch. Bez niego orzeczenia wydawane w imieniu Rzeczypospolitej Polskiej są nieważne. Przeczytała wyrok, obserwując, jak surowy prokurator Walasek marszczy czoło. Sebastian Kuryłowicz wyglądał za to na całkiem zadowolonego. Przyjął wymiar kary z godnością i spokojnie wyszedł z sali.

– Jest dobrze – mruknął do siebie, idąc korytarzem. Bez problemu będzie mógł wykonać najdziwniejszą robotę w swoim życiu. Taką, która nareszcie ustawi go wysoko w bandyckiej hierarchii.

3 października

Karłowice, ulica Konopnickiej

„Niż znad Skandydawii sprowadzi do Polski opady” – ostrzegął poprzedniego wieczora w telewizji nieomylny Jarosław Kret i jak zwykle miał rację. We Wrocławiu od rana było wilgotno i zimno. Komisarza Niedźwieckiego bolała już od ziewania szczęka. Zaspanymi oczami patrzył na wychowanego w Anglii Kolasę. Inspektor w taką niżową pogodę był w swoim żywiole. Z samego rana zamówił samochód i kazał się zawieźć do domu Patockich. Chciał, jak to ujął, poczuć zgromadzone tam negatywne emocje. Na miejsce przybył też prokurator Rapacki, którego kondycja psychiczna niebezpiecznie balansowała na granicy depresji. Jego przystojna twarz poszarzała. Aby usunąć rysujące się pod oczami worki, musiał stosować specjalne sztyfty. Schudł dziesięć kilogramów i większość kupionych w czasach świetności markowych koszuł wisiała na nim jak pokutny worek. Powodem tego stanu rzeczy były złośliwe prawa natury, o których dzieci uczą się na lekcjach wychowania seksualnego. Jeśli mężczyzna i kobieta idą do łóżka, mogą być z tego kłopoty. Po dziewięciu miesiącach śliczna aplikantka zapomniała o karierze sędzi, a Mikołaj Rapacki, zamiast pielęgnować sportowe pasje, odpowiadał codziennie na egzystencjalne pytania: Jak długo można funkcjonować bez snu? Jak to możliwe, że dziecko, które praktycznie nie je, robi tyle kłup? Czy, do cholery, istnieje podgatunek facetów, którzy nie nadają się na ojców?

W całej tej sytuacji Rapacki zachował jednak sporo zdrowego rozsądku. Nie zanudzał kolegów opowieściami o kolkach małego Tymona, jego pierwszych gestach czy stanie apetytu. Darował sobie nagrywanie telefonem komórkowym filmików oraz szczegółowe opowieści z sali porodowej. Zrobił za to pępekłowe, po którym w Almie zabrakło oryginalnej meksykańskiej tequili.

W tym momencie jednak prokurator wolałby słuchać płaczu swojego dziecka niż angielskiego akcentu Henry’ego Kolasy, który chodził po mieszkaniu malarza z natchnioną miną bioenergoterapeuty. Niedźwiecki podążył za nim jak cień. Komisarz trzymał pod pachą akta i był gotowy odpowiedzieć na każde, nawet najdziwniejsze pytanie.

– Noc była gorąca – tłumaczył przełożonemu szczegóły zbrodni. – Mordercy weszli przez uchylone okno w pokoju bilardowym – mówił, dotykając palcem szyby, na której zostały jeszcze resztki fluorescencyjnego proszku służącego do zdejmowania odcisków palców. – Prawdopodobnie nic nie zginęło, więc założyliśmy, że nie był to napad rabunkowy – dodał.

– Po pierwsze, to nie jest stół do bilardu, ale do snookera. – Kolasa z zazdrością popatrzył na piękne zielone płótno i specjalne popielniczki do cygar. – A po drugie – dodał z wyższością – nie jest tajemnicą, że artyści najliczniej zasilają szarą strefę. Część obrazów sprzedają bez rachunku. Dlatego często trzymają pieniądze w skarpecie, przez co łatwo stają się ofiarami rabusiów.

– Rabuś – mruknął pod nosem Rapacki. – Kto dziś używa takich słów?

– Mówił pan coś, prokuratorze? – zapytał Kolasa wysokim, nieprzyjemnym tonem.

Obydwaj panowie nie polubili się od pierwszego wejrzenia.

– Tylko tyle, że pana rozumowanie nie jest pozbawione logiki – powiedział Rapacki, posyłając mu przyznanie zarezerwowane dla pacjentów zakładów psychiatrycznych.

– Przepytaliśmy wszystkich byłych klientów Patockiego – dodał szybko Niedźwiecki. – Twierdzą, że w ostatnich czasach nic od niego nie kupowali. Nawet jeśli malarz chowałby w domu jakąś gotówkę, to złodzieje szukaliby jej na osłep. W domu tymczasem panuje prawie idealny porządek. Szuflady nie zostały splądrowane, szafy są pozamykane.

Kolasa łaskawie kiwnął głową na znak, że zgadza się z tokiem rozumowania komisarza.

– Kto znalazł zwłoki? – zapytał, podziwiając swoje odbicie w olbrzymim lustrze wiszącym w przedpokoju.

– Sprzątacza. – Niedźwiecki dyskretnie zapuścił żurawia w akta. – Nazywa się Nadia Kostomienko. Przyszła o dziewiątej rano, miała własny klucz. Zaniepokoili ją cisza. Patocka zawsze wstawiała wcześniej i oglądała powtórki seriali z całego tygodnia. Nadia, zanim zaczęła sprzątać kuchnię, poszła do sypialni. Tam znalazła swoich pracodawców i zadzwoniła po nas.

– A dzień wcześniej była impreza, tak? – dedukował Kolasa, patrząc na stojące w kuchni puste butelki po wódce oraz talerzyki z zaschniętym jedzeniem.

– Do Patockiego przyszli znajomi: pułkownik Zenon Jaszczak i doktor Tadeusz Szczęsny. Zeznali później, że gospodarz czuł się ewidentnie niedopity. Chciał jechać do miasta, ale pułkownik i doktor nie mieli na to ochoty. Wrócili do domu jedną taksówką. Kierowca najpierw odwiózł Jaszczaka, który mieszka przy placu Kromera, a potem ruszył na Krzyki, do domu doktora Szczęsnego. – Inspektor dał znak, aby cała trójka przeszła na pierwsze piętro, do sypialni. Obok łóżka widać było obrysowane kredą miejsce, w którym upadł Patocki. Dalej leżało przewrócone podczas walki zabytkowe krzesło.

– Ludwik XIV – mruknął Rapacki, patrząc na rzeźbione nogi.

– Zna się pan na antykach? – zapytał Kolasa. W jego głosie sły chać było ton uznania.

– Skąd! Dla mnie każdy stary kłamot to Ludwik XIV.

– Gorbaczewski musiał mieć przynajmniej jednego współnika – zrećhnie zmienił temat Niedźwiecki. – Świadczy o tym użycie różnych narzędzi zbrodni. Malarz został zamordowany nożem, a jego żonę uderzono tępy m narzędziem w czaszkę.

Niedźwiecki okrążył łóżko, markując zadawanie ciosów.

– Marlena Patocka straciła przytomność już po pierwszym uderzeniu. Prawdopodobnie zabójcy myśleli, że nie żyje. Jej mąż otrzymał dwa płytkie ciosy w okolice klatki piersiowej i trzeci, zabójczy, w tętnicę szyjną. Noż, jeśli ktoś umiejętnie usunął z niego krew, jest nie do namierzenia.

– Dziwi mnie fakt, że Gorbaczewski nie założył maski. Precyzyjnie szykuje napad, a potem nie chce mu się nawet naciągnąć na głowę kominiarki? – Kolasa założył ręce z tyłu jak Napoleon. – To przeczy podstawowym zasadom behawioryzmu przestępcy.

– Nie, jeśli szedł zabić – odpowiedział Niedźwiecki. – To kolejny dowód, że mamy do czynienia z mordercami, a nie złodziejami.

– Ja sobie jeszcze pogawędzę z tym Gorbaczewskim. Pogubi się w krzyżowym ogniu pytań i będzie śpiewał jak kanarek – oznajmił buńczucznie Kolasa, wychodząc z sypialni. – Czas na oględziny ogrodu – obwieścił. Zbiegł po schodach i maszerując przez doświetlany luksferami przedpokój, wyszedł z domu.

Trawnik porósł wysokimi, rozłożystymi chwastami. Pod drzewami gnily jabłka, a wodę w oczku pokrywał zielony kożuch. Złote rybki pływały brzuchami do góry.

– Gdzie czekali sprawcy? – zapytał inspektor.

– Prawdopodobnie w krzakach. – Niedźwiecki wskazał rosnące pod płotem gęste tuje. – Technik znalazł tam połamane gałązki i wygniecioną trawę.

– Żadnych odcisków butów?

– Niestety. – Komisarz pokręcił głową.

– Szłoda, poznalibyśmy chociaż ich wzrost – zasępił się Kolasa.

– Obwód stopy razy trzy? – mruknął Rapacki.

– Widzę, że odrobił pan lekcję z technik śledczych – pochwalili go łaskawie inspektor.

– Ta wiedza jest teraz w czytankach dla dzieci – machnął ręką prokurator.

Niedźwiecki nie słyszał dalszego ciągu rozmowy. Wyjął z kieszeni wibrujący telefon.

– Słucham – powiedział, odchodząc na bok.

Rozmowa była krótka. Komisarz kiwał głową, co chwilę potakując. Kiedy odłożył aparat, wyglądał na człowieka, który przed chwilą otrzymał solidną porcję złych wiadomości.

– Z kim gadałeś? – zapytał konfidencjonalnie Rapacki.

– Mówi ci coś nazwisko Dulkiewicz? Mecenas Jacek Dulkiewicz?

Prokurator gwizdnął pod nosem.

– Patron spraw beznadziejnych – powiedział.

– On we własnej osobie. Chce się spotkać za pół godziny, aby, jak stwierdził, uchronić wymiar sprawiedliwości przed kompromitacją. Wracamy na komendę.

3 października

Komenda Wojewódzka Policji

Komisarz podszedł do zakurzonego okna w momencie, gdy ciemna gwiazda wrocławskiej palestry, mecenas Jacek Dulkiwicz, wysiadł na policyjnym parkingu z nowiutkiego jeepa cherokee. Adwokat był w świetnym humorze, co było widać nawet z wysokości trzeciego piętra. Otworzył drzwi pasażerze, założył na głowę skórzany kapelusz i dziarsko ruszył w kierunku ceglano-gmaszyska.

Niedźwiecki ze złością patrzył, jak mecenas nadskakuje nowej klientce. Coś jej tłumaczył, machając grubym paluchem. Każde jego słowo kosztowało Grażynę Gorbaczewską co najmniej złotówkę, ale były to dobrze wydane pieniądze. We Wrocławiu przestępca, których łapano na miejscu zbrodni z dymiącym pistoletem w dłoni, mieli dwa wyjścia. Mogli przyznać się do winy, licząc na ugodę z prokuratorem, albo zastawić pod hipotekę swój dom i zdobyć numer tego faceta, wiecznie pozującego na kowboja. Gdyby Dulkiwicz żył na początku naszej ery, prawdopodobnie doprowadziłby do niewinnienia Chrystusa. Oczywiście pod warunkiem, że Zbawiciel i jego rodzina mieliby zakopany pod stajenką worek srebrników. Jeśli zostałby też poproszony o konsultację przy tworzeniu dziesięciu przykazań, do każdego prawa dołączony byłby gruby tom interpretacji oraz wykładni.

Mecenas byłby kompletnie nieprzewidywalny w swojej przebiegłości. Potrafił wpaść do sądu i zaproponować darmowe usługi drobnemu bandzirowi, na którym już wszyscy postawili krzyżyk – prokurator zacierał ręce nad wygraną sprawą, sędziemu nie chciało się nawet czytać akt, a policji prowadzić rzetelnego postępowania dowodowego. Dulkiwicz bezlitośnie obnażał indolencję ślepej Temidy, której w głowie licznik zakończonych spraw tykał tak szybko, że jej pracownicy zapominali o podstawowych procedurach.

– Nie ma ludzi winnych, są tylko źle bronieni – powtarzał Dulkiwicz oszołomionym nagłym zwrotem akcji przestępcom, po czym odchodził powoli sądowym korytarzem, niczym niezłomny bohater starych westernów.

Gdy stanął w drzwiach gabinetu Niedźwieckiego, wyszczerzył się tak szeroko, aż było mu widać migdałki. Za jego plecami chowała się żona marszanda. Była ładną kobietą, ale o dość pospolitej urodzie, duży m nosie i szerokich ramionach.

– Cześć, Niedźwiedź. Co słychać? – rzucił niedbale Dulkiwicz, dotykając opuszkami palców szerokiego runda kapelusza. Zawsze od razu przechodził na „ty” i jak każdy dobry prawnik zadawał tylko te pytania, na które doskonale znał odpowiedź.

– Po staremu – rzucił bez entuzjazmu komisarz. Jedyнным przewiskiem, jakiego dorobił się do tej pory, było określenie Rudy. Tak mówili do niego koledzy w podstawówce, w liceum i na studiach. Niedźwiedziem nazywała go tylko żona, i to w sytuacjach intymnych, ale o tym ten cholerny kowboj raczej nie mógł wiedzieć. – Co cię do nas sprowadza? – zapytał, nie tracąc zimnej krwi.

Był przygotowany, że mecenas użyje wszystkich sztuczek ze swojego arsenału. Kiedyś

podczas rozprawy wytknął jednemu ze świadków, że śmierdzą mu nogi. Skonsternowany sędzia zarządził godzinną przerwę. Po tym czasie Dulkievicz wrócił na salę z nową energią, a przesłuchiwany przez niego delikwent kompletnie pogubił się w zeznaniach.

– Zaszły nowe okoliczności – oświadczył Dulkievicz, rzucając torbę ze świńskiej skóry na biurko komisarza. – Zrobisz nam coś do picia czy będziemy tak gadać o suchym pysku?

– Na parterze jest automat z kawą – wtrącił złośliwie Rapacki, którego obecność została przez mecenasa zignorowana. – Może skoczysz i przyniesiesz wszystkim małe espresso?

– Coś w złym humorze jest dziś nasza prokuratura – odciął się Dulkievicz. – Wyglądasz na niewyspanego. Oczy masz podkrążone, skórę szarą. Zapach pieluch nie służy? Niedobrze. Mężczyzna powinien spłodzić syna. Nie martw się – poklepał Rapackiego po ramieniu – zawsze przecież jest szansa, że jeśli chodzi o inteligencję, dziecko wda się w matkę.

– Dosyć tego! – Niedźwiecki wszedł między Dulkiewicza a Rapackiego. – Jutro rano jest posiedzenie arestowe. Jeśli nawet pojawiły się nowe dowody, to radzę je przygotować w formie zażalenia.

– Nie wierzę! – Dulkievicz pokręcił okrągłą głową. – Naprawdę chcecie wsadzić niewinnego człowieka do więzienia? Jego krzyk będzie wam się śnił po nocach – ostrzegął z oburzoną miną adwokat.

– Co to za nowe okoliczności? – westchnął Niedźwiecki.

– Mąż mojej klientki ma alibi. – Dulkievicz wskazał na Gorbaczewską. Kobieta stała pod ścianą i bawiła się guzikami niemodnej dwurzędowej marynarki. Była podejrzenie spokojna. Niedźwiecki mógł iść o zakład, że przed wejściem na komendę mecenas kazał jej wyłopać butelkę nervosolu.

– Spędziliśmy tę noc razem – oświadczyła pewnym głosem Grażyna. – Olaf nie mógł tego zrobić.

Niedźwiecki zacisnął usta. Popatrzył na mecenasa i docenił zalety jego wiecznie czerwonej twarzy. Po tym skubańcu nawet nie było widać, kiedy się rumieni. Bez słowa podszedł do szafy pancерnej. Wyciągnął obwiązaną sznurkiem teczkę.

– Tutaj jest pani zeznanie złożone pod przysięgą. – Przewertował kartki i po chwili wyciągnął jedną z nich. – Pozwoli pani, że odczytam?

Nie czekając na odpowiedź, dobitnie wyrecytował każde słowo:

– „Nie pamiętam, co działo się w nocy z dziewiętnastego na dwudziestego czerwca. Nie wiem, czy mój mąż był wtedy ze mną”.

– Wystarczy – przerwał Dulkievicz. – To zeznanie jest funta kłaków warte. Wyciągnęliście biedną kobietę z domu, zatrzymaliście jej męża, przesłuchaliście bez adwokata i liczyliście, że to wszystko ujdzie wam płazem?

Niedźwiecki oparł się o parapet, na którym stał wielki, kłoczasty kaktus. Jego wyobraźnia podsuwała mu zbrodnicze scenariusze, w których główną rolę odgrywał mecenas oraz jego wszędobylski tyłek.

– Rozumiem, że nagle przypomniała sobie pani, co robiła ponad trzy miesiące temu? – Ciężar prowadzenia rozmowy przejął Rapacki. W słowie „nagle” wybrzmiewały ironia i niedowierzanie.

– To czysty przypadek, w zasadzie zbieg okoliczności.

– Uprzedzam z góry, że alibi dawane przez rodzinę, i to jeszcze w tak dziwnych okolicznościach, nie jest zbyt wiele warte – ostrzegł ją Rapacki.

– Ale ja mam dowód!

– Dowód? – powtórzył zbity z tropu prokurator.

– Sprzątałam szufladę męża i znalazłam to... – Gorbaczewska wyjęła z kieszeni dwa kartoniki i położyła na biurku.

Komisarz i prokurator pochylili się nad blatem tak szybko, że o mało nie zderzyli się głowami. Kolorowe tekturki były biletami na organizowaną w nocy z dziewiętnastego na dwudziestego czerwca wrocławską noc muzeów. Niedźwiecki nie wierzył w przypadki. Żona marszanda kłamała, a całość wymyślił ten cholerny adwokat. Znając życie, plan nie miał słabych stron. Dulkiwicz ustalił, co działo się w dzień morderstwa we Wrocławiu, a potem wygrzebał spod ziemi jakieś stare bilety. Dzisiaj rano w policyjnym areszcie widział się z Gorbaczewskim, więc zdążył go we wszystko wtajemniczyć. Na pewno kazał mu zostawić na jednym z kartoników odciski. Wszystko to grubymi nićmi szyte, ale w tej sytuacji żaden sędzia nie da aresztu. Gorbaczewski wyjdzie na wolność i spokojnie będzie mógł pozacierać ślady.

Pozostała mu ostatnia sztuczka.

– Proszę usiąść, pani Grażyno – powiedział ciepło, podsuwając stojące obok biurka drewniane krzesło.

– Dziękuję – wymamrotała zaskoczona Gorbaczewska.

Jedna z nóg stołka była spiłowana. Mebel chybotął się, wyprowadzając przesłuchanych z równowagi.

– Spotkaliście jakichś znajomych w tych muzeach? – zagaił sympatycznym tonem komisarz.

– Niestety nie. – Kobieta rozłożyła ręce.

– To chyba nie ma znaczenia – wtrącił Dulkiwicz. – Mój klient jest niewinny. Nie musisz mi nawet stawiać flaszki za to, że po raz kolejny uratowałem niewinnego człowieka przed wymiarem niesprawiedliwości.

– Czyli jest pani gotowa zeznać pod przysięgą, że dwudziestego czerwca, z soboty na niedzielę, spędziła pani całą noc z mężem? – Niedźwiecki wziął do ręki długopis, jakby chciał dopisać nowe informacje do starego protokołu.

– Oczywiście.

– A pamięta pani, co robiliście w niedzielę rano, po powrocie z nocy muzeów?

– Tak – odpowiedziała po chwili wahania Gorbaczewska. – Byliśmy na mszy o dziewiątej. Pamiętam nawet, jak Olaf przysypiał w kościelnej ławce.

– Dosyć tego! – huknął mecenas. – To już nie należy do sprawy. Proszę natychmiast zwolnić Olafa Gorbaczewskiego z waszej katowni! – mówiąc to, założył kapelusz i ruszył w stronę drzwi.

– Nie mogę tego zrobić – uśmiechnął się Niedźwiecki.

– Dlaczego? – Adwokat przy stanął. Gorbaczewska zbladła.

– Bo pańska klientka kłamie. Prokurator będzie świadkiem, że właśnie pogryzła swojego męża.

Rapacki gorliwie pokijał głową, choć nic z tego nie pojmował. Mecenas po raz pierwszy od czasów matury zapomniał języka w gębie.

– Pytając o noc zabójstwa, pozwoliłem sobie na drobną sztuczkę – ciągnął Niedźwiecki.

– Zasugerowałaś mojej klientce odpowiedź! – wrzasnął Dulkwicz, który właśnie zrozumiał tani, ale skuteczny podstęp. – Zwykła pomyłka wywołana stresem – dodał, uderzając pięścią w biurko. Paździerzowy blat stęknął tylko, nie dając pożądanego efektu.

– Mielicie zbyt mało czasu na dogranie szczegółów – uśmiechnął się złośliwie komisarz. – A pani poniosła wyobraźnia.

– Mówię prawdę – powiedziała z trudem Gorbaczewska. Jako ostatnia jeszcze nie połapała się w podstęp komisarza.

– Morderstwa, owszem, dokonano dwudziestego czerwca, ale to była noc z piątku na sobotę. Nie mogliście rano pójść do kościoła.

Żona marszanda poruszyła bezgłośnie ustami. Popatrzyła z nadzieją na milczącego adwokata. Alibi było przygotowane doskonale – pod warunkiem, że świadek wypadnie wiarygodnie. Gorbaczewska już podczas pierwszego przesłuchania wyszła na kłamczuchę.

– Rozmawiamy dalej? – zapytał Niedźwiecki. – Jeśli tak, proszę zorganizować opiekę dla swojego syna, bo zajmie się nim opieka społeczna. Zobaczy go pani dopiero za trzy lata. Tyle grozi za składanie fałszywych zeznań.

Dulkwicz popatrzył gniewnie na komisarza, myśląc o tym, że Niedźwiecki łeb ma wprawdzie rudy, ale za to podniebienie bez wątpienia czarne.

4 października

Siedziba sądu rejonowego

Następnego dnia Olaf Gorbaczewski opuścił pomieszczenie dla osób zatrzymanych. W skutych kajdanami rękach trzymał reklamówkę. Były w niej szczoteczka do zębów, pasta i książka, które nawet nie otworzył. Gdy poprosił adwokata o coś do czytania, ani przez chwilę nie spodziewał się, że ten przyniesie mu kryminał. Gdy siedzisz w celi z dwoma złodziejami, którzy patrzą na ciebie z podziwem, bo jesteś podejrzany o zabójstwo, ostatnią rzeczą, na jaką masz ochotę, jest powieść o dzielnych policjantach.

Otoczony konwojem Gorbaczewski ruszył ulicą Druckiego-Lubeckiego w kierunku znajdującego się naprzeciwko fosi sądu. Dzwoniący kajdanami delikwent w towarzystwie mundurowych budził na ulicy sensację. Żądni wrażeń obywatele wpatrywali się w jego twarz i próbowali z niej wyczytać, co takiego przeszkobił. Gorbaczewski starał się iść z podniesioną głową. Udawał, że cała sytuacja nie robi na nim żadnego wrażenia. Stojąc na przejściu dla pieszych, uśmiechnął się do młodej, ładnej kobiety. Dziewczyna odwzajemniła uśmiech. Kajdanki to jeden z najbardziej seksownych rodzajów biżuterii.

Gdy wszedł do ceglanego gmachu sądu, poczuł ulgę. Tutaj nikogo nie dziwił widok eskortowanych więźniów. Wytatuowani goście puszczaali do niego oko, a kręcący się wokół jak głodne kruki adwokaci starali się fachowym spojrzeniem oszacować, ile może być warta jego sprawa. Gorbaczewski miał nadzieję, że cały ten cyrk zaraz się skończy. Grażyna wynajęła najlepszego adwokata we Wrocławiu. Mecenas przyszedł do niego z gotowym alibi. Wszystko było dopracowane, przemyślane, wręcz idealnie skrojone. Żona znalazła bilety i nagle wszystkim wróciła pamięć. Gorbaczewski nie mógł zabić Patockiego, gdyż całą noc wraz z ukochaną Grażyną hulała po mieście, podziwiając sztukę przez duże S.

Gdy na korytarzu zobaczył mecenasa Dulkiwicza, poczuł niepokój. W twarzy tego brzydziejego brata Clint Eastwooda nie dostrzegał już takiej pewności siebie jak wcześniej. Widok zapłakanej żony utwierdził go w przekonaniu, że coś poszło nie tak

– Przepraszam. Nie dałam rady – powiedziała cicho Grażyna, całując go na powitanie.

– Alibi nieaktualne. Ale nie pękamy. Walczymy dalej – szepnęła mu do ucha Dulkiwicz, gdy wchodził do ułokowanej w podziemiach ciemnej sali, z której przez zakratowane okno można było oglądać nogi przechodniów.

Zaspany dowódca eskorty wskazał Gorbaczewskiemu pomalowaną olejną farbą ławeczkę z prawej strony pomieszczenia. Marszand usiadł na niej, czując, jak krew uderza mu do głowy. Koszula – ta sama, w której trzy dni wcześniej wyszedł z domu – zrobiła się nagle za ciasna.

Za stołem ustawionym na piętnastocentymetrowym podeście siedział sędzia. Była ładna i zdecydowanie za młoda, żeby decydować o jego przyszłości. Naprzeciwko siedział prokurator. Wysoki, opalony, z czarnymi włosami spiętymi w kucyk. Wyglądał na niewyspanego.

– Otwieram posiedzenie aresztowe – rzuciła Aleksandra Litwa. – Na czas jego trwania można rozluźnić podejrzanego – dodała, przeglądając leżące na stole akta. – Czy prokuratura podtrzymuje

wniosek?

– Tak, Wysoki Sądzie. – Prokurator Rapacki kiwnął głową, podnosząc się na łokciach.

– Co na to obrona? – Sędzia przeniosła wzrok na Dulkiwicza.

Mina ubranego w wełnianą togę mecenasa mówiła wszystko. Od czasów procesu Giordana Bruna nie było drugiego równie niewinnego człowieka jak Olaf Gorbaczewski.

– Wnoszę o oddalenie wniosku – oświadczył, patrząc z czułością na swojego klienta. – Mamy mrugnienie okiem ciężko chorej kobiety przeciwko słowu szanowanego przedstawiciela świata sztuki.

– Lekarze potwierdzają, że pani Marlena Patocka, pomimo paraliżu ciała, jest w pełni władz umysłowych – wtrącił Rapacki. – Ich opinia jest załączona do akt.

– Wysoki Sądzie! – huknął Dulkiwicz. – Na posiedzeniu aresztowym nie ma wprawdzie zwyczaju przeprowadzania postępowania dowodowego, ale mieliśmy zbyt mało czasu, żeby przygotować właściwą linię obrony. Dlatego pozwolę sobie odczytać pewną ulotkę i poproszę o dołączenie jej do akt.

Mecenas wyjął z torby dwie identyczne karteczki zapisane drobnym drukiem. Jedną położył przed sędzią, drugą podniósł na wysokość oczu.

– Zespół majaczeniowego zaburzenia postrzegania rzeczywistości, zła ocena rzeczywistości, dezorientacja – recytował dramatycznym tonem, robiąc pauzy po każdym słowie. – To tylko część działań niepożądaných jednego z siedmiu leków, które trzy razy dziennie przyjmuje świadek

– Pan mecenas grzebał w przyszpitalnym śmietniku? – zapytał Rapacki, zastanawiając się, co jeszcze kryje przepastna torba Dulkiwicza.

– To skandal i arogancja, Wysoki Sądzie! – krzyknął teatralnie Dulkiwicz. – Prokuratura już skazała mojego klienta, choć nie został ustalony motyw ani narzędzie zbrodni. Jedyne, co mamy, to zeznanie otumanionej lekami psychotropowymi kobiety. – Stuknął palcem w zmarszczone czoło. – Co ja mówię?! Przecież to nawet nie zeznanie, ale jakaś szpitalna pantomima!

Rapacki nie tracił pewności siebie.

– Podobne ostrzeżenia znajdują się nawet na ulotce ibupromu. Czy jeśli wziął pan rano tabletkę na ból głowy, to znaczy, że mówi bez sensu? A może właśnie pod wpływem tej pigułki próbował pan sprokurować fałszywe alibi?

– Kolejne pomówienie i kolejne kłamstwo! – krzyknął Dulkiwicz, zaciskając pięści. – Żona mojego klienta jest w ciężkiej depresji i po prostu pomyliła daty.

– Wysoki Sądzie, wiemy, że Nikodem Patocki chciał skończyć współpracę z Olafem Gorbaczewskim. Marszand był mu winny sporą sumę pieniędzy. Podejrzany nie ma też alibi na noc zabójstwa. Za to sześć lat temu groził śmiercią jednemu ze swoich klientów, za co dostał wyrok w zawieszeniu. Dlatego, mając na uwadze zagrożenie wysoką karą i podejrzewając ryzyko mactwa, proszę o przychylenie się do wniosku aresztowego.

Sędzia ze spokojem wysłuchała mowy prokuratora i popatrzyła na adwokata.

– Czy pan mecenas chce coś jeszcze dodać? – zapytała.

– Tak, Wysoki Sądzie – powiedział Dulkiwicz, przeglądając z rozrządzeniem wyjęty z torby

błyszczący tablet. – Zanim mój klient trafi do aresztu, proszę, aby wszyscy obejrzeli pewien film.

4 października

Brochów

Oskar Kwietniowski wszedł do domu. Nie zdejmując butów, usiadł na masywnej skórzanej kanapie. Serce waliło mu jak po domięśniowym zastrzyku adrenaliny. Bolał go brzuch, przez zacisnięte gardło z trudem połykał powietrze. Po plecach spływały mu strużki potu, w ustach czuł suchość. Popatrzył na zegarek O dwunastej powinien zacząć zajęcia, ale wiedział, że tego dnia nie będzie w stanie ich poprowadzić. Zadzwoił do działanatu i wymiga się jakąś nagłą niedyspozycją żołądkową. Drżącą ręką chwycił pilota, włączył wiszący na ceglanej ścianie telewizor. Trafił na kanał sportowy. Pogłodził odbiornik i wbił wzrok w ekran. Liczył, że w ten sposób uda mu się zagłuszyć myśli.

Na pierwszym piętrze zaskrzyphiały schody. Po chwili do salonu weszła Ada. Miała na sobie żółte gumowe rękawice i spadające jeansy, które dodatkowo rujnowały jej zaniedbane pośladki. Pachniała jakimś gryzącym nozdrza środkiem chemicznym.

– Od kiedy to interesują cię konkursy jeździeckie? – zapytała.

Kwietniowski milczał. Uśmiechnął się sztucznie, szukając w głowie jakiejś sensownej odpowiedzi. Ada przestała zwracać na niego uwagę. Zdjęła ochronne rękawice i skupiła się na oglądaniu swoich wysuszonych dłoni.

– Nareszcie doczyściłam ten zaschnięty silikon w łazience – obwieściła z zadowoleniem w głosie. – Gdybym wiedziała, gdzie schowałeś klucze, to sitko w kranie też bym wymieniła.

– Przecież obiecałem, że zrobię to w sobotę – warknął Kwietniowski. Ada nie wyglądała jak perfekcyjna pani domu. Była nudna, mało zmysłowa, w łóżku zasypiała, zanim zdążył zgasić światło. Mimo to nie chciał jej stracić.

– Chciałam pomóc – powiedziała lekko urażona.

– Przepraszam. Dałem sobie dziś w kość na joggingu.

– Właśnie widzę, że ledwo żyjesz. – Ada skarciła go wzrokiem. – Mówiłam ci, żebyś nie przesadzał z tym bieganiem. Nie masz już dwudziestu lat.

– Nie musisz mi ciągle o tym przypominać. – Kwietniowski zdjął adidas i zaniósł je do przedpokoju. – Przestań mi, do cholery, matkować!

Oczy Ady zaszyły łzami. Odwróciła się na pięcie i wybiegła z salonu. Oskar poszedł do kuchni, nalał sobie szklanek wody mineralnej i wypił duszkiem. Usiadł na blacie, próbując uspokoić oddech. Dwie godziny temu okłamał żonę, że idzie biegać. Wszystko po to, aby uzgodnić z tą beczelną gówniarą, co ma zrobić, żeby odzyskać pamiętkę po wspólnie spędzonej nocy. Pola Rajewicz nie zamierzała odpuścić. Była zdrowo szurnięta.

– Najgorsze, co mógłbym zrobić, to wpaść w panikę – mruknął, wychodząc z kuchni. – Przynajmniej żonę muszę mieć po swojej stronie.

Ada podlewała stojące w sypialni paprotki. Jedną ręką trzymała plastikową konewkę, drugą wycierała czerwone oczy.

– Przepraszam – powiedział Oskar, przytulając się do niej. – Nie wiem, co mi odbiło.

– Masz jakieś kłopoty? – zapytała, dotykając wierzchem dłoni wilgotnych policzków.

Tak Pewna gówniara postawiła mi bardzo ciekawe warunki. Jeśli ich nie spełnię, wylecę z uczelni i przestaniemy spłacać raty za dom, w którym cię ostatnio zdradziłem, wyrecytował w myślach Kwietniowski.

– Stało się coś? No powiedz wreszcie! – dociskała Ada, biorąc milczenie męża za zły znak – Jesteś chory? A może boisz się redukcji etatów? Masz jakieś przecieki o tym, kogo chcą zwolnić? Teraz wszyscy martwią się niższym demograficznym. Nawet u nas.

Ada pracowała na pół etatu w bibliotece uniwersyteckiej. To zajęcie doskonale pasowało do jej charakteru i temperamentu.

– Mnie nie ruszą. Bez obaw. To zwykłe jesienne przemęczenie – powiedział Kwietniowski z udaną nonszalancją w głosie. – Do tego nie mogę się dogadać z dziekanem. Twierdzi, że oblewam zbyt wielu studentów. Niedługo będę musiał zaliczać ćwiczenia za to, że dzieciaki wiedzą, jak się nazywam.

– Ostatnio czytałam list jakiegoś studenta w gazecie. – Ada cmoknęła go w czoło. – Bidak żalił się, że recenzentka na obronie pracy magisterskiej zadawała mu trudne pytania. Podobno przeżył stres i rozważył serię wizyt u psychologa.

– To było nieludzkie! – Oskar parsknął śmiechem, przytulając żonę. – Robię sobie dzisiaj wolne, więc jeśli masz dla mnie jakieś zadania, to mów śmiało.

– Świetnie. Odbierzesz Karola ze szkoły – ucieszyła się Ada. – Ja w tym czasie przygotuję dla moich chłopaków jakiś fajny obiad. Może pizzę?

– Brzmi super.

– Tylko przebierz się. – Zdecydowanym ruchem złapała za suwak zamka sportowej kurtki. – Zaraz zrobię pranie. Do jutra będziesz miał wszystko suche.

Oskar cofnął się jak oparzony.

– Sam ją zaniosę do łazienki.

– Jak sobie ży czysz. Tylko nie spóźnij się po młodego. – Ada posłała mu ciepły uśmiech.

Kryzys został zażegnany.

Kwietniowski wyszedł z sypialni i zamknął się w przylegającej do niej łazience. Usiadł na trójkątnej wannie z hydromasażem, powoli zdjął przeпоcny dres. Zanim wrzucił bluzę do pralki, wyciągnął z kieszeni złożoną na cztery karteczki z napisanym odręcznie adresem. Świsstek palił go w dłoniach. Oskar przez moment walczył ze sobą, czyby go nie podrzeć i nie spuścić w toalecie. Wiedział jednak, że nie może tego zrobić. Ta dziewczyna była dla chora z nienawiści do świata. Jeśli czegoś szybko nie wymyśli, będzie musiał zapłacić bardzo wysoką cenę za tamtą chwilę przyjemności.

4 października

Siedziba sądu rejonowego

Obraz nagrany komórką był nieostry i prześwietlony. Jednak to, co najważniejsze, zostało zarejestrowane. Marlena Patocka wyla się na łóżku w potwornych skurczach. Wystająca z ust rurka nie nadążała z odprowadzaniem śliny, jej nadmiar ciekł po bladej jak pergamin brodzie. Oczy nie reagowały na zadawane zza kadru pytania. Film kończył się stopklatką ze zbliżeniem na opuchniętą twarz pacjentki. Na górze ekranu widniała dzisiejsza data.

– Czy mam jeszcze raz odtworzyć nagranie? – zapytał grobowym głosem Dulkiwicz.

– Nie ma takiej potrzeby – powiedziała Litwa, uciekając wzrokiem w leżące na sędziowskim stole aka.

– To manipulacja – powiedział szybko Rapacki. Żadne bardziej merytoryczne stwierdzenie nie przyszło mu do głowy.

Dulkiwicz nie odpowiedział. Uwielbiał te chwile, kiedy zostawał pierwszoplanowym aktorem sądowego przedstawienia. W ekstazę wprawiały go zaskoczona mina prokuratora i tracąca pewność siebie sędzia. Chciał, żeby konsternacja trwała jak najdłużej. Bez pośpiechu wyłączył tablet i schował go do torby. Wiedział, że wygrał.

– Skąd pan ma to nagranie? – Rapacki rozpiął guziczek zapiętej pod szyję togi.

– A jakie to ma znaczenie? – Mecenas rozłożył ręce. Nie zamierzał tłumaczyć się z tego, że dzisiaj o szóstej rano był w szpitalu, gdzie przekupił jedną z pielęgniarek, wręczając jej grubą kopertę. Kobieta miała poczekać na atak drgawek Marleny Patockiej, a potem włączyć kamerę w swoim telefonie. Dulkiwicz miał sporo szczęścia, bo mejl z załączonym filmikiem dotarł już w trakcie rozprawy.

Rapacki nie dawał za wygraną. Próbował jeszcze nieporadnie kopnąć silniejszego przeciwnika w kostkę.

– Zakładam, Wysoki Sądzie, że nagranie zdobyte zostało nielegalnie – mówił z oburzeniem. – Oskarżenie nie miało czasu zweryfikować jego autentyczności. Żądam powołania biegłego do zbadania tego skandalicznego filmu i kieruję sprawę do Rzecznika Dyscyplinarnego Rady Adwokackiej.

Dulkiwicz nie przejął się groźbą.

– Wysoki Sądzie – zaczął uroczyście – pan prokurator bawi się w uszczypliwości. Idzie na skróty, próbując pogryźć mojego klienta. W tle tej maszyny sądowej mamy dwie tragedie: dramat pana Olafa Gorbaczewskiego i nieszczęście znajdującej się na granicy śmierci kobiety. W obu przypadkach policja oraz prokuratura zachowują się jak stalinowskie służby, które mawiały, że jeśli dobrze powąchać, to wszędzie śmierdzi – perorował, kiwając z oburzeniem głową. – Komisarz Niedźwiecki urządził najdziwniejsze w świecie okazywanie, prokurator Rapacki zaś nie zadał sobie trudu, aby głębiej wejść w sprawę. Przepraszam za te słowa, ale ciśnię mi się na usta tylko jedno zdanie: jaki świadek, taki morderca – rzekł, spuszczać oczy.

– Wysoki Sądzie – wtrącił żarliwie Rapacki – czego ma dowieść to przedstawienie? Obserwowałem okazanie w szpitalu. Z całą odpowiedzialnością mogę powiedzieć, że w jego trakcie Marlena Patocka była poczytalna. Jednak to nie moje zdanie się tutaj liczy – powiedział, wyjmując z teczki dokument lekarski – ale opinia specjalistów z dziedziny neurologii i traumatologii. To oni podpisali się pod oświadczeniem, że świadek oskarżenia był podczas okazania w pełni władz umysłowych.

– Wysoki Sądzie – nie ustępował Dulkiewicz – ordynator, który dopuścił do tej farsy, powinien zostać zawieszony w obowiązkach! – W oczach adwokata pojawił się gniew. – Jednaknie o tym tu teraz debatujemy. Na razie proszę o oddalenie wniosku o aresztowanie mojego klienta. Nie ma żadnych przesłanek, żeby ten humanista, człowiek kultury i sztuki trafił za kraty, gdzie rządzą bandyckie reguły i siła.

Na dźwięk ostatnich słów Gorbaczewski zrobił smutną minę. Wyglądał jak porzucony w lesie cocker spaniel. Aleksandra Litwa spojrzała na niego uważnie i poprawiła wiszący na szyi łańcuch.

– Po wysłuchaniu obu stron – powiedziała dobitnie – sąd nie przychyła się do wniosku prokuratury. Sąd nakłada na Olafa Gorbaczewskiego środek zapobiegawczy w postaci dozoru policyjnego. Do czasu rozprawy oskarżony nie może opuszczać kraju i raz w tygodniu będzie meldował się na właściwym dla niego komisariacie policji.

Uderzenie młotką w drewnianą podłogę zakończyło niestandardowo przedłużone posiedzenie. Marszand odetchnął z ulgą nie mniejszą niż siedzący po obu jego stronach konwojenci. Gorbaczewski sprawiał wrażenie, jakby chciał rzucić się adwokatowi na szyję. Zamiast tego podał mu po męsku rękę. Chwilę później wyszedł na korytarz bez kajdanek. Ulga, która malowała się na jego twarzy, mówiła wszystko.

– Wolny! – krzyknęła żona, nie kryjąc wzruszenia.

– Jest jeszcze sprawiedliwość na tym świecie – mruknął Gorbaczewski, całując ją namiętnie. – Mam dozór policyjny – dodał, machając lekceważąco ręką.

Sielankę przerwał wychodzący z sali Jacek Dulkiewicz. Odciągnął swojego klienta na bok i konfidencjonalnie ściszył głos.

– Wie pan, że Niedźwiecki się wścieknie? – zapytał.

– To jego problem – powiedział bez troski marszand. – Z panem u boku krzywda mi się nie stanie.

– Dobra, dobra – mruknął zadowolony z siebie Dulkiewicz. – Mimo wszystko radzę zachować savoir-vivre człowieka, na którego gliny zagięły parol. Zalecam unikanie szemranych przyjaciół oraz powściągliwość podczas rozmów telefonicznych. Reasumując: niech pan prowadzi życie nudniejsze niż rybka w akwarium, a włos panu z głowy nie spadnie.

– Mówi pan tak, jakbym jednak był winny – wtrącił Gorbaczewski.

– Tylko pan wie, jak jest naprawdę – wzruszył ramionami Dulkiewicz. – Mnie to guzik obchodzi. Gdybym chciał dociekać prawdy, zostałbym filozofem, a nie adwokatem.

4 października

Biestryków pod Wrocławiem

Silniki elektryczne obsługujące bramę wjazdową szumiały delikatnie. Dulkwicz lubił ten dźwięk. Kojarzył mu się z władzą i pieniędzmi. Jego jeep wjechał na wielkie, wyłożone naturalnym kamieniem podwórko i zatrzymał się przed wybudowaną na wzgórzu rezydencją. Dom zaprojektowano z rozmachem. Miał cztery podpierane kolumnami tarasy wychodzące na cztery strony świata. Na parterze od południa pyszniła się oranżeria, od wschodu w basenie o kształcie wielkiego jaja szumiała błękitna woda. Każdy detal (łącznie z różowym kolorem elewacji) był starannie przemyślany. Całość otoczona została idealnie przyciętym trawnikiem, na którym rosły zielone mrozoodporne palmy.

W części północnej hektarowego ogrodu architekci zaprojektowali dwa budynki użytkowe. Pierwszy to garaż, w którym bez problemu mieściły się wysokie terenowe samochody, w drugim znajdowała się największa duma Dulkwicza – stajnia z siedmioma jasnymi, przestronnymi boksami. Nad jednym z boksów wisiało czarno-białe zdjęcie seniora rodu pozującego w mundurze kawalerzysty. Hieronim Dulkwicz brał udział w wojnie obronnej 1939 roku, a nawet dostał za to medal. Jego doskonale zachowane siodło stanowiło rodzinną relikwię. Do czasu, gdy tuż przed śmiercią dziadek zdradził swoją największą tajemnicę.

– Wyrzucić to siodło na śmietnik. Całe życie go nienawidziłem – oświadczył, po czym z rozbrajającą szczerością wyznał, że nie potrafi jeździć konno.

Oddział kawalerii, w którym służył przed wojną, miał bardzo specyficzny system szkolenia. Hieronim codziennie meldował się w stajni, gdzie dostawał szczotkę, kopystkę i jasny rozkaz od dowódcy: „Wyczyścić konia!”. W południe do stajni wpadał rotmistrz Florian Kleczewski. Był to człowiek oschły i surowy. Brał udział w Bitwie Warszawskiej i przyjaźnił się z generałem Wieniawą-Długoszewskim. Zawsze nosił idealnie białe rękawiczki, którymi przeprowadzał inspekcję. Zazwyczaj kończyło się tak, że dziadek dostawał w twarz, a rotmistrz wychodził ze stajni, mówiąc, że jeszcze nie czas na przejażdżki. Wojna zastała więc Hieronima Dulkwicza w stanie kompletnej nieprzydatności bojowej, ale za to z czystym koniem.

Jacek wszedł do rezydencji, rzucając skórzaną kurtkę i kapelusz na marmurowe kafle. Klasnął, by włączyć światło w salonie, a potem za pomocą iPhone'a podniósł automatyczne żaluzje w oknach. Niestety w ofercie projektu inteligentnych domów nie było opcji robienia drinków. Amerykańską whisky Dulkwicz musiał sobie nalać sam.

Czynność tę powtórzył trzykrotnie, po czym wyszedł z domu. Czuł, jak alkohol rozplywa się błogo po jego żołądku. Uchodziło z mecenasa napięcie. Pojedynkę, który stoczył z komisarzem Niedźwieckim i prokuratorem Rapaćkim, był jak walka o mistrzowski pas w wadze ciężkiej. Wczoraj leżał na deskach. Pomysł z fałszywym alibi okazał się kłapą. Niepotrzebnie zaufał żonie Gorbaczewskiego. Odegranie roli w dobrze wyreżyserowanym teatryku ją przerosło, a komisarz doskonale to wyczuł. Na szczęście nokautujący cios należał do Dulkwicza. Marlena Patocka na filmie wyglądała jak zombie. To wystarczyło, żeby wszystkie ekspertyzy lekarskie przestały mieć

znaczenie. Jeśli sędzia jest kobietą, trzeba grać na emocjach. To zawsze się sprawdza.

Zdjął wielką kłódkę strzegącą dostępu do stajni, a następnie rozbroił alarm. Detektor ruchu był nowym środkiem ostrożności – polecił go zamontować po tym, jak ktoś tutaj buszował jakiś czas temu. Złodziejaszek musiał wejść do ogrodu przez jedną z dziur, które systematycznie robiły w płocie szukające pożywienia sarny. Na szczęście intruz nie skrzywdził koni i ukradł tylko kilka mało znaczących drobiazgów. Dulkiwicz otworzył boks, w którym mieszkał jego najlepszy przyjaciel, Demostenes. Koń małopolski półkrwi arabskiej. Ta rasa nie należała do najbardziej wykwintnych na świecie, ale mecenasa mało to obchodziło. Szanował Demostenesa za wytrzymałość, siłę i inteligencję. Twardy sukłsyn. Tak samo jak on. Wziął do ręki gumowe zgrzebło i zaczął czesać jasnobrązową sierść. Kiedy chodził do podstawówki, wszyscy kibicowali Indianom – on wolał kowboi. Zakładał na głowę kapelusz matki i markował przed lustrem pojedynki rewolwerowców. Wyobrażał sobie, że strzela do kumpłi. Chciał być duży, silny i wszystkim dokopać. Ojciec, który należał do PZPR i był radcą prawnym w przedsiębiorstwie budowlanym, zawsze się z niego śmiał.

– Zabiorę cię do fabryki – obiecywał. Miał nalaną twarz, przypominał postać złośliwego ducha z bajki. – Zobaczysz, gdzie kończą takie osiłki. Wszyscy siłacze, mój drogi, harują z łopatą przy betoniarce. A ja sobie na to wszystko patrzę z okna przytulnego biura. Trzeba mieć tu – mówił, stukając się w okrągłą czaszkę.

Ojciec był gruby, łysy i cierpiał na przewlekłą łuszczycę. Jacek nie chciał go słuchać, wiedział swoje. Zapisał się na siłownię. W trzecim tygodniu treningów wypadł mu dysk. Potem przyszedł czas na karate, boks, a nawet tai-chi. Zawsze kończyło się kontuzją, gipsem lub przynajmniej zwolnieniem lekarskim.

Pod koniec liceum zaczął się dobrze uczyć. Słowa ojca były jego ostatnią nadzieją. Potem studia prawnicze, aplikacja, praktyka, wreszcie własna kancelaria. Wszędzie liczyły się układy, znajomości ojca, pieniądze, kombinatorstwo. Dopiero na końcu nauka. Ludzie, którzy na studiach prawniczych myśleli inaczej, nie dochodzili nawet do aplikacji. Kończyli z tytułem magistra, pisząc za najniższe stawki jakieś umowy dla firm pośrednictwa pracy. Dulkiwicz szybko się połapał, o co chodzi w świecie Temidy. Pojęcia takie jak prawda, sprawiedliwość czy uczciwość były kotwicami, które trzymały człowieka w miejscu. Wszyscy, którzy mieli trochę oleju w głowie, kombinowali. Od studenta po prokuratora generalnego.

Pogrążony w myślach, nie zauważył, że za oknem zaczęło robić się szaro. Nalał koniom wody, sprawdził, czy mają w żłobach jedzenie i zamknąwszy stajnię, poszedł do domu. Światła na wszystkich piętrach były pozapalane. Jego żona w rozrzutności była konsekwentna aż do bólu. Nie chciało jej się oszczędzać nawet energii.

Dulkiwicz zdjął w wielkim holu ubłocone buty i wszedł do salonu. Mirka leżała na kanapie. Oglądała jakąś polsatowską telenowelę.

– Gdzie byłeś? – zapytała, nie odrywając wzroku od telewizora.

– W stajni.

– Mogłeś zostawić jakąś kartkę. Wszystko dobrze?

– Same sukcesy – odpowiedział, a w jego głosie pobrzmiwała rutyna. – Co u ciebie?

– Zapisalam się na zajęcia jogi.

Na ekranie pojawiły się napisy końcowe. Mirka wreszcie zdecydowała się popatrzeć na Dulkiewicza.

– Źle wyglądasz – oceniła. – Mierzyłeś ciśnienie?

– Tylko nie rób ze mnie emeryta – pogroził jej palcem.

– Za dużo pracujesz – mruknęła, wstając z łanapy. – Idę się wykąpać.

Dulkiewicz pomachał jej na pożegnanie. Gdy ma się o dwadzieścia pięć lat młodszą żonę, w temperaturze rozmów małżeńskich można zamrażać paliwo lotnicze. Byli jednak udaną parą. Nawet jeśli Mirkę łączyły nieco zbyt zażyłe stosunki z jej trenerem tenisa.

Podszedł do dębowego barku w kształcie globusa. Wyciągnął z niego pełną butelkę trunku spod znaku swojego imiennika, Jacka Daniela. Wypił dwa solidne łyki, przymykając oczy. Dzięki ci, Boże, za alkohol.

– Tyle razy powtarzałam, żebyś nie chlał prosto z gwinta! – Usłyszał za plecami głos żony, która zdążyła się już rozebrać i stała owinięta ręcznikiem w drzwiach salonu. – Kiedy ostatni raz byłeś w teatrze? Ciągłe tylko zadajesz się z tymi swoimi bandytami!

– Moi klienci jadają sushi i płacą mi właśnie za to, żeby nikt ich tak nie nazywał, kochanie! – odparował Dulkiewicz.

– Za dużo ostatnio pijesz. – Mirka tupnęła kształną nogą.

– Wyszłaś z łazienki, żeby mnie pouczyć?

– Nie. – Złagodniała pod wpływem ostrego tonu. – Zapomniałam ci powiedzieć, że kiedy wjeżdżałam przez bramę, przyglądał mi się jakiś dziwny facet.

– Jaki facet? – Dulkiewicz wyprostował ramiona.

– Skąd mogę wiedzieć? Gdy go zobaczyłam, próbował się schować. Przestraszył mnie.

– Pójdę zobaczyć, czy jeszcze gdzieś się tu nie kręci.

– Uważaj na siebie. – Mirka przesłała mu całusa. Po chwili, zanurzając się w gęstej pianie, zapomniała o całej rozmowie.

Dulkiewicz nie czuł strachu, gdy uzbrojony w myśliwską strzelbę maszerował wokół płotu swojej posiadłości. Jego ranczo leżało na uboczu. Do bramy wjazdowej prowadziła wąska ścieżka obsadzona świerkami. Wyszedł na zewnątrz, oświetlając okolicę mocną, żołnierską latarką. Było cicho i spokojnie, tylko jego kroki chrzęściły na żwirze. Odetchnął z ulgą. Pora wracać do domu. Umyć Mirce plecy, a potem zacieśnić znajomość z kolejnym Jackiem Danielsem, knując, jak wyciągnąć z aresztu syna prezesa firmy deweloperskiej. Wracając z Ekwadoru, chłopak zapomniał zadeklarować dwóch kilogramów czystej jak tyłek dziewicy kokainy.

Zgaszenie latarki i opuszczenie strzelby było błędem. W świetle księżycy zobaczył zarysy postaci zbliżającej się do niego.

– Czego chcesz? – zapytał, chowając głowę w ramionach.

– Przyszedłem pana zabić – powiedział intruz, podchodząc tak blisko, że mecenas poczuł zapach gryzącej w nozdrza wody kolońskiej.

4 października

Rynek

Niedźwiecki minął przeszkoną fontannę na wrocławskim Ryнку i wszedł do biblioteki, która zajmowała całą neorenesansową kamienicę Pod Złotą Palmą. Pusta szatnia i cisza w przestronnym holu przypominały, że to dopiero początek roku akademickiego. Studenci, zamiast siedzieć nad książkami, wypełniali znajdujące się w centrum miasta knajpy.

Komisarz czuł się w bibliotece znacznie lepiej niż na komendzie. Lubił zapach starego papieru, kurzu i farby drukarskiej. Jego nieżyjący już ojciec był prawdziwym gliną. Niedźwiecki wdał się natomiast w matkę, która uczyła plastyki. Był pacyfistą, odróżniał błękit pruski od paryskiego i lubił poezję futurystów. W młodości o mały włos zostałby mistrzem Polski juniorów w tenisie ziemnym. Broń parzyła go w ręce, a znajomy grafik załatwiał mu od czasu do czasu marihuaną. Kiedy palił z Julką, żona żartowała, że w świetle prawa powinien założyć jej kajdanki i zaprowadzić na komendę. Czasem spełniał pierwszą z tych sugestii.

Gdy rozpoczął pracę w pionie kryminalnym Komendy Wojewódzkiej, nikt nie wróżył mu zawrotnej kariery. Śmiano się, że jest nieślubnym dzieckiem porucznika Columbo. Niepozorny brodacznoszący sandały i grube sztruksy. Szybko okazało się, że nie należy go lekceważyć. Natura wynagrodziła pokrytą rzadkimi rudymi włosami głowę upierdliwie aktywnym zmysłem obserwacji. Rok temu w jednym z mieszkań przy ulicy Robotniczej umarła na zawał kobieta. Chorowała na serce od wielu lat. Lekarz pogotowia nie widział w jej śmierci nic podejrzanego. Złamany mąż płakał jak bóbr. Sprawa wydała się nie mieć drugiego dna. Jednak Niedźwiecki przypilnował, aby zrobiono sekcję zwłok. Badanie wykazało, że stężenie azotanów, czyli leków rozszerzających naczynia krwionośne, kilkunastokrotnie przekraczało normę. Mąż już podczas pierwszego przesłuchania przyznał się do zabójstwa.

– Co zrobiłem nie tak? – zapytał, podpisując zeznanie.

– Zapomniał pan kupić kwiaty.

– Słucham?

– Dzień przed śmiercią pańska żona skończyła pięćdziesiąt lat. Gdy przyjechałem do waszego domu, nie zauważyłem nawet jednej róży wazonie. Nie kochał pan jej, więc od razu zapaliła mi się ostrzegawcza lampka.

Sprawa morderstwa Patockiego była znacznie trudniejsza. Komisarz miał przeciwko sobie zabójcę, którego sprawnie ochraniał lądjak w prawniczej tozde – mecenas Dulkiwicz.

Czekając na zamówione gazety, Niedźwiecki podszedł do stojącego w kącie czytelnika komputera. Otworzył przeglądarkę i wpisał hasło Nikodem Patocki. Sieć okazuje się czasem lepszą bazą wiedzy o człowieku niż policyjne akta. Lokalni dziennikarze bywają niewiele gorzej poinformowani niż policjanci, a przy tym potrafią pisać zwięźle i przejrzyście.

Krótką lekturę archiwalnych tekstów utwierdziła komisarza w przekonaniu, że Patocki nie był ulubieńcem krytyków sztuki. Zarzucano mu koniunkturalizm, braki warsztatowe i to, że poszedł na

artystyczne skróty. Pod kiepskimi recenzjami z wystaw znajdowały się niecenzuralne wpisy internautów: „Frajder od świętych obrazków, moja córka maluje lepiej” – pisał użytkownik o nicku Leonardo. „Jak można kupować takie bzdury?” – denerwował się internauta podpisany Jadzior.

Komercyjne podejście do malarstwa i wykorzystywanie symboli religijnych budziło w ludziach emocje, ale żeby zrozumieć źródła frustracji krytyków, trzeba było wejść na strony domów aukcyjnych. Patocki sprzedawał się świetnie. Jego obrazy uznawano za niezłą lokatę kapitału. Świat sztuki rządził się swoimi prawami.

– Zamówiona przez pana prasa – wyszeptła drobna bibliotekarka, zdejmując z terkoczącego wózka gazety wydane między dwudziestym drugim czerwca a trzydziestym lipca.

Niedźwiecki uśmiechnął się do młodej dziewczyny i poszedł do przydzielonego mu biurka. Wziął do ręki „Dziennik Wrocławski”, który ukazał się w kioskach dwa dni po zabójstwie Patockiego. Znajdujący się na pierwszej stronie artykuł redaktor Migdał zatytułował *Zbrodnia na Karłowicach*. Tekst był krótki i zawierał tylko kilka suchych faktów. Bandyci weszli do domu przez uchylone okno około trzeciej nad ranem. Patockiego znaleziono martwego dwa metry od łóżka. Marlena Patocka przeżyła, ale jest w stanie krytycznym. Rzecznik policji oraz dyrektor szpitala odmawiają jakichkolwiek komentarzy.

W kolejnych wydaniach gazety przewijały się tylko zdawkowe informacje. Pierwszy ciekawy artykuł pojawił się dopiero tydzień później. Redaktor Migdał dotarł do jednego z uczestników poprzedzającej napad imprezy, pułkownika Zenona Jaszczaka. Świadek nie miał zbyt dużo do powiedzenia. Wszyscy byli pijani, ale Patocki najmniej. Chciał jeszcze jechać do miasta. Nic nie zwiastowało tragedii. Zarówno pułkownik Jaszczak, jak i drugi gość – doktor Tadeusz Szczęsny – byli poza wszelkim podejrzeniem. Nie mieli motywu ani możliwości, by zabić Patockiego.

Dziennikarz podkreślał, że malarz był osobą kontrowersyjną. Ze względu na porywczy charakter niewielu ludzi darzyło go sympatią. Inaczej miała się sprawa z Marleną Patocką – kobieta była powszechnie lubiana i pracowała w fundacji kościelnej.

Policjanci konsekwentnie odmawiali informacji na temat postępów w śledztwie. Niedźwiecki sam doskonale wiedział dlaczego – po prostu nie mieli nic do powiedzenia. Setki przesłuchań nie przyniosły żadnych rezultatów. W końcu media przestały interesować się śmiercią Nikodema Patockiego. Szpalty gazet zapełniły się bardziej aktualnymi informacjami.

Rozczarowany komisarz odsunął od siebie papierowy stosik. Otworzył notes i punkt po punkcie spisał kolejność czekających go zadań. Nie stać go już na popełnianie kolejnych błędów, takich jak przedwczesne aresztowanie Gorbaczewskiego. Trzeba jeszcze raz przesłuchać wszystkich świadków oraz potencjalnych współników mordercy. Zacznie od najłatwiejszej rozmowy. Sprzątaczką Patockich nie wniesie pewnie wiele nowego do sprawy, ale zostanie zachowany porządek chronologiczny. To ona pierwsza zobaczyła martwego malarza, a na dodatek ma wobec Niedźwieckiego dług wdzięczności.

4 października

Biestryków pod Wrocławiem

Dulkiewicz myślał, że chwilę przed śmiercią człowiek czuje strach. To nieprawda. Adrenalina zmieszana z hormonem stresu – kortyzolem – wyłącza wszystkie zmysły. Na przerażenie jest już za późno. Chcesz tylko, żeby nie bolało. Zamykasz oczy i czekasz na ostateczny cios. Mijają sekundy, ale nic się nie dzieje. Nie pada strzał, ostrze noża nie wchodzi pod żebro. Zaczynasz słyszeć bicie własnego serca. Powraca świadomość. Złóżysz się na to, że jesteś tchórzem. Nie potrafiłeś stawić czoła niebezpieczeństwu i właśnie prawie zesrałeś się w gacie.

Tego dnia mecenas wiele się o sobie dowiedział i jedno stwierdził już na pewno: jego niedoszły zabójca bał się bardziej niż on. Kiedy ochłonął, opowiedział za to arcyciekawą historię. Dulkiewicz zaprosił go do stajni. Siedzieli na wyciosanej z drewna ławce. Harcerska finka, która miała pozabawić mecenasa życia, była wbita w oparcie. Obok stała opróżniona do połowy butelka wódki.

– Co pan jej zrobił? – zapytał Kwietniowski, łapczywie połykając kolejną porcję alkoholu.

Doktor miał rumiane policzki i błyszczące oczy. Ubrany był w sportowy dres. Z kieszeni jego bluzy wystawała narciarska kominarka. Nie wyglądał na profesjonalnego zabójcę, bardziej przypominał członka gangu Olsena.

– Skoro miałeś mnie zabić, to chyba możemy przejść na ty – powiedział Dulkiewicz. Nakłamał Mirce, że przyszedł do niego zrozpaczony klient, któremu policja aresztowała żonę.

– Jeśli w jutrzejszej gazecie nie będzie informacji o twojej śmierci, Pola Rajewicz mnie zniszczy – powiedział łamiącym się głosem Kwietniowski.

– Naprawdę może ci narobić koło pióra? Ma na to pomysły? – dociękał Dulkiewicz.

– Tak – przyznał po chwili wahania doktor.

– Bzyknąłeś ją?

– Nie twój interes.

– Dobra, dobra, już się nie denerwuj. Całe szczęście, że zamiast machać tą śmieszoną kosą, zdecydowałeś się ze mną dogadać.

Doktor odwrócił głowę i popatrzył na mecenasa z powagą.

– Co jej zrobiłeś, że tak cię nienawidzi? – zapytał.

Dulkiewicz podniósł z ziemi źdźbło siana i włożył do ust. Nazwisko Rajewicz otworzyło w jego głowie szufladkę z aktami sprawy sprzed kilku lat. Było tak bogaty dzieciak ze Śląska dostał od ojca sportowe audi. Prezent ten oblał z kolegami i wracał do domu na ostrej bani. Jak twierdził biegly, popylał około dwustu kilometrów na godzinę. Na zakręcie zniosło go na lewy pas. Kierowca tira, żeby uniknąć zderzenia, zjechał z drogi i władował się w drzewo.

– Co jej zrobiłeś? – powtórzył doktor.

– Byłem obrońcą chłopaka, przez którego zginął ojciec Poli.

– Fabrykowałś dowody?

– Nie! – krzyknął Dulkiewicz. – To policjanci wszystko spaprali. Chromatograf w laboratorium, do którego zawieźli krew dziecka, nie miał atestu. Ja za to udowodniłem, że Józef Rajewicz podczas wypadku gadał przez telefon. Mój klient wyszedł na wolność, a sąd uznał winę obu kierowców. Tutaj kończy się cała historia.

Kwietniowski pokręcił z niedowierzaniem głową.

– To się nie trzyma kupy – powiedział. – Pola powinna chcieć najpierw zabić tego gościa, a dopiero później ciebie.

Dulkiewicz zdjął kapelusz i przetarł pijaną twarz.

– Chłopaczek pół roku później sam sobie wymierzył sprawiedliwość. Gdzieś pod Katowicami wpadł w poślizg i przygruchotał w barierkę. Miał w sobie więcej wody niż utopiona w gorzale gąbka.

Mecenas poczuł, jak drętwią mu nogi. Wstał z ławeczki i wyszedł na ogród. Pachniało chlorem z basenu. W lesie za płotem pohukiwała sowa. Obok niego stanął Kwietniowski. Cały się trząsł. Nie z zimna. Ze strachu.

– Ona nie odpuści i, do cholery, ma mnie w garści – szeptał, bojąc się własnych słów. – Zniszczy moją karierę naukową i rodzinę.

– Przestań jęczeć i zacznij myśleć. – Mecenas oparł się o drewnianą framugę dwustronnych drzwi. Kładąc dłonie na połączanej kłamrze skórzanego paska, wyglądał prawie jak Tommy Lee Jones w *Trzech pogrzebach Melquiadesa Estrady*. – Pola Rajewicz wypowiedziała nam wojnę i najwyraźniej nie chce brać jeńców. Ale to my mamy w odwodzie armaty, a ona co najwyżej pistolet na kapiszony. Nasza droga mścicielka pożałuje dnia, w którym wymyśliła ten chory plan.

7 października

Rynek,

kawiarnia Literatka

Nic taknie podnosi ciśnienia jak widok awizo w skrzynce. Marzenie o ciepłym obiedzie rozwiewa się za sprawą nabazgranego przez listonosza koślawym piśmem kwitka. Gdy docierasz na pocztę, ustawiasz się w kolejce szczęśliwców trzymających w rękach podobne karteczki. Wszystko po to, aby dowiedzieć się, że dostałeś mandat, nie zapłaciłeś podatku, zostałeś wezwany do sądu lub w inne równie sympatyczne publiczne miejsce.

Nadia Kostomienko nie miała takich problemów. Po prostu nie była nigdzie zameldowana. W ustaleniu miejsca jej pobytu nie pomagał także fakt, że pracowała na czarno, a wiza turystyczna w jej paszporcie dawno straciła ważność. W wyniku tej ostatniej okoliczności kobieta została zmuszona do opanowania sztuki polegającej na unikaniu kłopotów i nierzucaniu się w oczy. Każdy kontakt z policją albo służbami celnymi mógł się skończyć podróżą w jedną stronę na wschodnią Ukrainę, gdzie mieszkali jej bezrobotni rodzice i chory na stwardnienie rozsiane brat.

Nadia miała długie jasne włosy, czarny pieprzyk nad prawym łącikiem wydatnych ust oraz zbyt poważne jak na jej wiek oczy. Mimo drobnej postury i szczupłych, delikatnych dłoni potrafiła wywieźć z ogródka taczkę pełną ziemi, przesunąć szafę albo wdrapać się na dach, by wyczyścić rynnę. Przez ostatnie pięć lat pobytu w Polsce opiekowała się tylko jednym domem. Państwo Patoccy dobrze płacili i nie byli przesadnie wymagający. Kiedy przed wakacjami znalazła ich w kałuży krwi, miała do wyboru uciec albo wezwać karetkę. Strach przed policją i deportacją był silny, ale dziewczyna nie zastanawiała się długo. Wybrała numer alarmowy i czekała na rozwój wypadków. Policja oraz pogotowie przyjechały piętnaście minut później. Dla Patockiego nie było już ratunku, ale jego żona jeszcze oddychała. W całym mieszkaniu zaroilo się od gliniarzy. Część miała mundury, część nosiła niemodne grube marynarki. W głowie Nadii migąły obrazy aresztu deportacyjnego, złośliwych uśmiechów napuchniętych od alkoholu ukraińskich milicjantów i widok zapłakanej matki, która bez jej pensji nie będzie w stanie związać końca z końcem.

W pewnym momencie podszedł do niej rudy cywil. Nadia, zanim podała mu paszport, zdążyła się jeszcze w duchu przeżegnać. Gliniarza jednak nie interesowały przeterminowane pieczętki. Pytał tylko o Patockich. Jak długo ich znała? Czy zwróciła uwagę na cokolwiek niepokojącego? Kostomienko odpowiadała zdawkowo, myśląc tylko o jednym. Za chwilę poczuje na skórze zimny metal kajdanek

Komisarz zawiózł ją na plac Muzealny, gdzie spisał zeznania i jeszcze raz przejrzał paszport.

– Deportujecie mnie? – zapytała łamiącym się głosem.

Gliniarz popatrzył na nią uważnie. Miał inteligentne spojrzenie i jakiś rodzaj ciepła w oczach.

– Uratowała pani życie swojej pracodawczyni – powiedział, oddając dokumenty. – Proszę na siebie uważać i zostawić mi swój numer telefonu. Jest pani wolna.

Od tego dnia minęło sporo czasu. Nadia znalazła nową pracę, ale obraz leżących w kałuży krwi Patockich snił jej się prawie codziennie. Dzisiaj te wspomnienia wróciły ze zdwojoną siłą. Ten dziwny policjant zadzwonił do niej i poprosił o rozmowę. Sam zaproponował, żeby spotkali się poza komendą. Umówili się na Rynku, w kawiarni o dźwięcznej nazwie Literatka.

Nadia zjawiała się punktualnie, weszła do środka i nieśmiało rozejrzała się po przytulnym wnętrzu. Była na mieście po raz pierwszy od roku. To i tak nieźle. Białorusinka, z którą mieszkała, nawet nie widziała jeszcze Rynku. Oszczędzała każdy grosz i twierdziła, że nie ma sensu tracić energii na zwiedzanie. Starówka jak starówka, a bilet na tramwaj kosztuje.

Widok książek na parapetach i półkach sprawił, że Nadia poczuła się nieswojo. Skończyła przecież na Ukrainie filologię. Marzyła, że zostanie nauczycielką. Praca w Polsce miała tylko być na jakiś czas. Rozpięła jasną puchową kurtkę i podciągnęła elastyczne spodnie. Przypomniała sobie słowa babci, która gdy Nadia jako nastolatka zaczęła wychodzić z domu, rzekła:

– Jak idziesz między ludzi, włóż najlepsze majtki. Pamiętaj o tym, niuniu.

Bogobojna babcia nie myślała o rozbieranych randkach. Chciała, by jeśli jej wnuczkę potrąci samochód, w szpitalu lekarze zobaczyli, że pochodzi z dobrego domu. Jak ładować się w jakąś aferę, to tylko w porządnej bieliźnie.

W największym pomieszczeniu można było palić, więc większość gości tonęła w obłokach dymu. Dyskretne światło z zamontowanych na ścianach lampek sprawiało, że dookoła było na swój sposób dekadencją. W rogu stał globus. W jego sąsiedztwie przy niewielkim stoliku siedział komisarz. Pił kawę i jadł lody z ciepłym musem malinowym. Na palcu jego prawej ręki błyszczała złota obrączka. Nadia poczuła delikatne ukucie w sercu. Szansa na to, by spotkanie miało charakter towarzyski, spadła do zera. Dziewczyna zamówiła u jednej z trzech stojących za barem kelnerek wodę mineralną i skromnie usiadła na wolnym krześle.

– Dziękuję, że pani przysła – powiedział Niedźwiecki, pochłaniając ostatnią łyżeczkę deseru.

– Nie wiem, czy będę w stanie jeszcze w czymkolwiek pomóc – zmartwiła się Nadia. – Ostatnio powiedziałam panu wszystko, co wiem.

– Tym razem to nie jest oficjalne przesłuchanie, tylko zwykła rozmowa. Niech pani zamówi sobie taki deser.

– Dziękuję, nie lubię słodyczy – zaczerwieniła się Nadia.

– Zazdroszczę – pokiwał głową komisarz, po czym przeszedł do meritum. – W sprawie zabójstwa pani pracodawcy pojawiły się nowe okoliczności, dlatego muszę jeszcze raz przesłuchać wszystkich świadków. Mam jednak prośbę. Proszę opowiedzieć wszystko, co pani pamięta, ale w taki sposób, jakby relacjonowała to pani koleźce.

Nadia zaczęła mówić. Ze wszystkich sił chciała przypomnieć sobie jakiś nowy szczegół, który zadowoliłby komisarza. Niestety wiedziała, że jej obserwacje nie były wiele warte. Miała swój klucz, którym otworzyła zamek. Zaskoczyła ją cisza. Rano zawsze grał u Patockich zamontowany w łazience sprzęt dolby surround albo hałasował telewizor. Tego ranka szumiały tylko włączone klimatyzatory.

Kiedy Nadia zaczęła opowiadać o tym, jak pełna złych przeczuć ruszyła schodami w kierunku sypialni, Niedźwiecki przestał jej słuchać. Cały czerwony zerwał się z fotela.

– Wiem, co przeoczyłem! – krzyknął. – Dziękuję!

Pocałował dziewczynę w czoło, a potem wybiegł z lokalu na Rynek. Gdy mijał przeszkloną fontannę, zanurzył rękę w zimnej wodzie i dotknął rozpalonych skróni.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Nadia uśmiechnęła się do siebie, obserwując przez szybę radość policjanta.

Szkoda, że ten dziwny facet nosi obrączkę.

7 października

Komenda Wojewódzka Policji

Kolasa złożył usta w dzióbek. Z isticie angielską flegmą wodził surowym wzrokiem za komisarzem Niedźwieckim, który małymi kroczkami wte i wewte przemierzał trasę między oknem a drzwiami. Gabinet inspektora w minionym tygodniu wzbogacił się o puszysty czerwony dywan i zawieszoną pod sufitem klatkę, w której siedziała napuszona papuga. Patrząc na ptaka, Niedźwiecki nabierał przekonania, że nie tylko psy upodabniają się do swoich właścicieli.

– Jak można prawie rozwiązać zagadkę? – zapytał protekcyjnie Kolasa, gładząc równo przycięte baczki. – Albo wiesz, kto zabił Patockiego, albo nie. Z punktu widzenia logiki trzecia możliwość nie istnieje.

– Brakuje mi jeszcze jednego elementu, ale krąg współników Gorbaczewskiego możemy zawęzić do dwóch osób.

Kolasa zamilkł. Ciężko wzdychając, wyjął z szuflady kilka ziaren i zaniósł je papudze. Siedząca na trapezie białogłowa nimfa przełykała z apetytem kolejne porcje pszenicy, gdacząc coś po swojemu.

– Rzucasz podejrzenia na znanych i szanowanych w tym mieście ludzi – powiedział, patrząc z zachwytem na papugę. – Na takie persony trzeba mieć dowody, a nie tylko przecucia. – Odwrócił się, zamylając klatkę. Nimfa zareagowała na to głośnym skrzeczeniem.

– Zrobiliśmy błąd, formułując wstępne założenia – tłumaczył cierpliwie Niedźwiecki.

– I wpadłeś na to w kawiarni, przesłuchując sprzątaczkę? – Kolasa pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Morderca wszedł przez okno. Tak?

– Odpuść proszę te retoryczne pytania.

– Przyjeliśmy w śledztwie, że to Patoccy zostawili je otwarte. Noc była ciepła, nawet parna. Zawsze to kilka stopni w domu mniej.

– Takie są prawa fizyki – uśmiechnął się pobłaźliwie inspektor, rozsiadając się za biurkiem.

– Tyle że w noc zabójstwa w całym domu pracowały klimatyzatory. Otwieranie okien nie miało najmniejszego sensu.

Błada twarz Kolasy okryła się rumieńcem. Z jednej strony czuł zakłopotanie, że sam na to nie wpadł, z drugiej nie zamierzał chwalić podwładnego. Ostatni numer miesięcznika „Psychologia” poświęcił całe trzy strony tematowi manipulowania ludźmi. Pracownicy, którzy słyszą za dużo komplementów, zaczynają się zachowywać tak, jakby zjedli wszystkie rozumy. Uważają, że wyższa instancja nie jest im już do niczego potrzebna.

– Dlatego uważam, że w zbrodnię musi być zamieszany któryś z uczestników imprezy – dodał komisarz. – A ten zbiór ogranicza się do dwóch osób: doktora Tadeusza Szczęsnego i pułkownika Zenona Jaszcaka.

– Może przyпадkiem jeszcze jakiś motyw wpadł ci do głowy? – zapytał Kolasa. – Zakładam,

że nie chodziło o ciepłą wódkę.

Inspektor uśmiechnął się, zadowolony z własnego żartu. Niedźwiecki pomyślał, że ten przerośnięty Herculeś Poirot mógłby ze swoimi dowcipami poprowadzić *Familiadę*. Zamiast jednak podzielić się tą refleksją, pokiwał głową na znak, że rozumie szefa.

– Bez motywu będziemy kręcić się w kółko – przyznał pokornie.

– Dlatego zalecam zachowanie daleko idącego spokoju – doradził łaskawie Kolasa. – Doceniam jednak, że od kiedy przejąłem sprawę, pojawiają się nowe tropy.

– Nazwałbym to przełomem – rzucił koniunkuralnie Niedźwiecki.

– Przełom, przełom – powtórzyła papuga, machając skrzydłami.

Kolasa wyłonywał w swojej głowie jakiś skomplikowany proces myślowy. Nagle schował ręce pod biurko i zmarszczył brwi.

– Jak wygląda mój zegarek? – zapytał.

– Słucham?

– Jestem w komendzie od dwóch tygodni – mówił inspektor, trzymając dłonie na kolanach – i stwierdzam, że moi funkcjonariusze są całkowicie pozbawieni zmysłu obserwacji. Jeśli nauczymy się uważnie patrzeć dookoła, żadna sprawa nie będzie miała dla nas tajemnic.

W gabinecie zapanowała cisza. Nawet papuga zastygła w bezruchu, obserwując pojedynek dwóch wielkich umyśłów. Niedźwiecki wbił wzrok w czerwony włosy dywan. Zastanawiał się, czy można by było zawiązać w niego inspektora w ten sposób, żeby nie wystawała głowa.

– Nie ma o czym mówić – rzucił łaskawie Kolasa. – Wracaj do pracy i melduj mi o wszystkim. – Wyciągnął ręce spod blatu, machając niedbale na pożegnanie.

– Poczekaj! – krzyknął Niedźwiecki, nie podnosząc wzroku. – Twój zegarek to Philippe Patek Koperta żółta, złota, pasek czarny, prawdopodobnie ze skóry aligatora. Automat, jedno pokrętko, model z lat osiemdziesiątych.

Inspektor znieruchomiał. Popatrzył na przegub swojej dłoni i zamrugał nerwowo powiekami.

– Prowadziłem kiedyś sprawę przemytników takich cacek. Trochę się od nich nauczyłem – dodał bez fałszywej skromności komisarz.

– Bravo! – rzucił łaskawie Kolasa. – Choć to było łatwe zadanie. Taką perłę trudno przeoczyć. Ale czuję, że się polubimy.

Niedźwiecki jeszcze przez chwilę walczył ze sobą, ale zasady BHP, a konkretnie rozdział „Współpraca z szefem”, nie pozwoliły mu dokończyć ekspertyzy. Czasomierz miał porysowane szkiełko, a to świadczyło, że zegarek był kupioną w tureckim targu podróbką za kilkanaście euro.

7 października

Plac Grunwaldzki

Akademik Dwudziestolatka

Pola z ulgą wracała do akademika. Pogrążona w myślach, nie zwróciła uwagi na wielki terenowy samochód, który zaparkował tuż przed wejściem do budynku.

– Pola Rajewicz? – zapytał kierowca, wychodząc z auta.

– Tak – odpowiedziała mechanicznie dziewczyna. – A kto pyta? – Odwróciła się i głos zamarł jej w gardle.

– Chyba musimy pogadać – warknął grubas ubrany w skórzaną marynarkę z klapami z wzorem amerykańskiej flagi.

– Pan mecenas... – uśmiechnęła się ironicznie. – Dawno się nie widzieliśmy.

– Wydoroślałaś – powiedział Dulkiwicz, lustrując Polę od stóp do głów. – Jesteś ładną kobietą. Niepotrzebnie się tak mocno malujesz.

– Przyszedł pan błagać mnie o wybaczenie?

– Słuchaj, mała, ja też nie marzyłem o tym spotkaniu. – Mecenas cmoknął, jakby kawałek kurczaka wszedł mu między zęby. – Przyszedłem cię ostrzec, żebyś na drugi raz próbowała sparingów raczej z kimś w swojej lidze. Wiesz, ile możesz dostać za próbę zlecenia zabójstwa? Masz do wyboru zapomnieć o mnie albo pójść siedzieć na kilka lat – powiedział takim tonem, jakim lekarz informuje pacjenta, żeby nie tracił czasu na kłótnie z rodziną i odpuścił sobie budowę domu na Mazurach. – Jeśli będziesz coś kombinowała, następnym razem spotkamy się na sali sądowej. Ja będę świadkiem oskarżenia, a ty zamiast tej zwiewnej kiecki włożysz na siebie mało twarżowy zielony drelich. Czy to jasne?

Popatrzył na Polę, robiąc jedną ze swoich wyćwiczonych min, i nie czekając na odpowiedź, wolnym krokiem ruszył w kierunku auta. Był przekonany, że wybił tej głupiej pannicy z głowy żenującą rodzinną wendętę. Gdy otwierał drzwi, poczuł jej oddech na plecach.

– Jesteś obrzydliwym wieprzem, który już niedługo usmaży się w piekło – cedziła przez zacziśnięte zęby dziewczyna. – Nie boję się ciebie, nie boję się więzienia! Przestań mi grozić i zacznij się modlić! Czy to jasne? – powtórzyła kwestię Dulkiwicza. W jej głosie slychać było ironię.

Mecenas cofnął się zaskoczony. Grozili mu już mafiosi, seryjni mordercy i notoryczni idioci. Nigdy nie robiła tego jednak drobna dziewczynka ze śmieszna farbowaną grzywką i przypiętą do torebki maskotką.

– Czego ty chcesz? – zapytał.

– Żeby mój ojciec żył.

– Ja go nie zabiłem!

– Ale zrobiłeś z niego przestępcę! – wykrzywiła usta Pola. – Jego morderca wyszedł na wolność, a moja matka spędziła rok w psychiatryku. Musieliśmy sprzedać dom! – wycedziła. – Rozumiesz, co zrobiłeś, cholerny dupku?

Dulkiewicz przez moment poczuł zawroty głowy. Szybko jednak przywołał się do porządku. Chyba wiedział, gdzie tę małą boli.

– Ile chcesz? – zapytał tonem dobrego wujka. – Mogę pomóc, choć nie czuję się winny. Po prostu żal mi ciebie.

Pola oparła się plecami o terenowe auto. Jesienny podmuch wiatru podniósł jej sukienkę nad kolana. Mecenas zanotował w myśli, że ma bardzo zgrabne, choć nieco kościste nogi.

– Mogę ci udzielić bezwrotnej pożyczki. Powiedzmy dwadzieścia tysięcy. Co ty na to?

– Mało – rzuciła chłodnym tonem Pola.

To się gówniara potrafi targować. W dzisiejszych czasach dzieciarnia nie ma żadnych ideałów. Dobrze, że sam nie dorobił się potomka. Miałby na drugie imię bankomat.

– To ile ma być? – zapytał zdezorientowany. Marzył, żeby jak najszybciej zatopić się w skórzanym siedzeniu i przekroczyć o kilka kilometrów dozwoloną prędkość po drodze na ranczo.

– A na jaką sumę mnie wyceniasz? – zapytała łagodnie.

– Nie wiem. Powiedz – Dulkiewicz dokonywał w myślach prostych obliczeń matematycznych. Godzina jego pracy to trzy stowy. Jeśli laska podbije stawkę dwukrotnie, będzie musiał przez miesiąc harować za darmo.

– Niech pomyślę – ściszyła głos, zbliżając usta do jego ucha.

Adwokat odruchowo nachylił głowę. Poczul zapach delikatnych kwiatowych perfum.

– Nie jestem tania – dodała.

– No, mów.

Ta gra zaczęła się Dulkiewiczowi podobać, ale utrata czujności była błędem. Zanim zdążył uchylić głowę, poczuł, jak mazista substancja zalewa mu lewe oko i zaczyna sływać po policzku.

– To jest początek twojego końca, suko! – krzyknął, odskakując jak oparzony. Próbował wytrzeć twarz rękawem skórzanej marynarki. Efekt był odwrotny do zamierzonego, gdyż tylko rozcierał spienioną ślinę po twarzy.

– Moja cena to twoje życie – powiedziała Pola, obracając się na pięcie.

7 października

Ulica Krzycka

Policjanci stali przed okazałą poniemiecką willą w samym sercu południowej dzielnicy Wrocławia. Dom był zadbane, a trawnik gładko przycięty. Ilość oraz stan kwiatów i rozłożystych krzewów sugerowała, że ogrodem zajmował się nie gospodarz, lecz wynajęty w tym celu profesjonalista. Do budynku przylegał spory garaż. Niedźwiecki dostrzegł tam zaparkowane bmw serii 7. Policjanci z drogówki niechętnie zatrzymywali takie auta do kontroli drogowej. Ich kierowcami byli najczęściej pyskaci prezesi albo biznesmeni, którzy zanim zgasili silnik, dzwonili po swojego adwokata.

Komisarz musiał po raz trzeci nacisnąć dzwonek, nim w drzwiach pojawiła się surowa postać Tadeusza Szczęsnego. Mężczyzna miał na sobie spodnie od garnituru i białą wyprasowaną koszulę.

– On tak chodzi po domu, do cholery? – szepnęła Zaręba.

– Bądź miły – zdążył go pouczyć Niedźwiecki, zanim doktor dotarł do furtki.

– To panowie dzwonili do mnie dzisiaj rano? – zapytał gospodarz niskim, pewnym głosem.

– Komisarz Niedźwiecki. – Policjant podniósł na wysokość oczu legitymację służbową.

– Rozmawialiśmy przed wakacjami – zauważył Szczęsny. – Wchodźcie panowie, tylko ostrzegam: mam mało czasu i jeszcze mniej do powiedzenia.

Doktor wprowadził policjantów do salonu, który wręcz emanował majestatem. Wszystko było albo drogie, albo piękne, albo stare.

– Kawy, herbaty? – zapytał, zapadając się w zamuszowym fotelu.

– Zajmiemy tylko chwilę – mruknął Niedźwiecki, podchodząc do wielkiego stołu. Musiał w ciągu sekundy podjąć decyzję, na którym z dwunastu krzesel chce usiąść. Wybrał to stojące najbliżej fotela doktora.

– A może ciasta? – uśmiechnął się Szczęsny. – Pani Irena zrobiła świetny sernik

– Nie zapyta pan, co nowego ustaliliśmy? – wyпалиł Zaręba.

Doktor uśmiechnął się, odsłaniając białe zęby i zdrowe dziąsła. Jego szczupła pięćdziesięcioletnia twarz pozbawiona była jakichkolwiek zmarszczek. Regulował brwi, używał drogich kosmetyków dla mężczyzn i dwa razy w tygodniu odwiedzał saunę.

– Jestem po prostu cierpliwy, aspirancie – powiedział, z dumą lustrując wiszące na ścianach dyplomy. Szczęsny miał specjalizacje z ginekologii, chirurgii plastycznej oraz certyfikaty ukończenia wielu zagranicznych kursów.

– Pani Patocka odzyskała przytomność i złożyła obszernie zeznania – rzucił komisarz, uznając, że wieszanie w salonie tych wszystkich napuchniętych od pieczętek certyfikatów jest przejawem przewlekłej odmiany narcyzmu. – Widziała twarz jednego z morderców.

Na gładkiej twarzy Szczęsnego nie drgnął nawet najmniejszy mięsień.

– Cieszę się – pokławił z uznaniem głową. – Myśl, że takie gnidy chodzą po ulicy, napawa mnie

przerażeniem.

– Jak dobrze znał pan Patockiego? – zapytał Niedźwiecki.

– Był moim kumplem, to wszystko – powiedział Szczęsny po chwili milczenia. – Raz do roku jeździliśmy na wspólne nurkowanie. Wpadaliśmy też do siebie na wódkę. Lubilem Nikodema, bo miał gest i dystans do siebie. Nie był egzaltowanym artystą, który ciągle mówi o swoich stanach emocjonalnych albo marudzi, że gawiedź go nie rozumie. Ceniłem nasze spotkania, choć zawsze mu powtarzałem, że za dużo pije.

Stojący w łacie zegar wybił godzinę szesnastą.

– Po co tak naprawdę panowie przyszli? – zapytał wreszcie Szczęsny, patrząc wymownie na wskazówkę przesuwającą się po cyferblacie.

– Szukamy współnika mordercy – rzucił Zaręba.

– U mnie w domu? – Szczęsny podniósł wysoko idealnie równe brwi.

– Czy otwierał pan przed wyjściem z imprezy okno w sali bilardowej? – zapytał komisarz.

Szczęsny sięgnął po leżącą na małym okrągłym stoliku fajkę i po chwili zniknął w chmurze dymu.

– Coś czuję, że przyda mi się adwokat – wycedził. – Na kolejne pytania odpowiem tylko w jego obecności.

– Jasne – pokiwał głową Niedźwiecki. – Na razie poproszę, by nie opuszczał pan Wrocławia. Sądzę, że niebawem się jeszcze spotkamy.

Przez chwilę lekarz sprawiał wrażenie, jakby miał wybuchnąć gniewem. Jednak szybko przywołał się do porządku.

– Jeśli to ma pomóc w ustaleniu, kto zabił Nikodema, to proszę bardzo, ale mam wrażenie, że błądzą panowie w ciemnościach. Chodząc po omacku, łatwo się ośmieszyc.

Wstał z fotela i przyczesał gęstą grzywę.

– Przepraszam, ale na mnie już czas. Za dwadzieścia sześć minut muszę być w klinice. Mam na dziś zaplanowaną jeszcze jedną operację.

Nagle zainteresował się twarzą komisarza.

– Jeśli chciałby pan usunąć drugi podbródek, to zapraszam do mojego gabinetu. Pomyślimy o jakiejśniżce dla funkcjonariuszy państwowych.

– Obejdzie się – rzucił Niedźwiecki, z ulgą opuszczając dom doktora.

Szczęsny nie odprowadził ich nawet do furtki. Pomachał im, stojąc na ganku, tak jak żegna się natrętnych sprzedawców garnków.

Komisarz ruszył w kierunku zaparkowanej po drugiej stronie ulicy służbowej škody octavii. Był tak zamyślony, że prawie wszedł pod koła nadjeżdżającego auta. Siedząca za kierownicą kobieta postukała się w głowę, a z ruchu jej ust można było wyczytać amatorską ocenę horyzontów umysłowych komisarza. Niedźwiecki przeprosił, podnosząc rękę, i wrócił na chodnik.

– Co jest? – zapytał Zaręba. – Myślisz, że ten doktorek jest winny?

– A bo ja wiem...

– Przecież widzę, że coś nie daje ci spokoju. – Aspirant nie odpuszczał.

– Masz rację. Nie podoba mi się ten Szczęsny – westchnął pod nosem komisarz. Po raz pierwszy ktoś powiedział mu prosto w twarz, że jest za gruby.

– Wczoraj sprawdziłem go w naszej bazie – ożywił się Zaręba. – Karany nigdy nie był, ale pół roku temu dostał mandat. Wiesz za co? Został przyłapany na wyrzucaniu w lesie gruzu. Czujesz? Facet ma ekologiczne solary na dachu, kupuje krawat za trzysta złotych i furę w cenie mieszkania, a potem próbuje przyszczędzić na zamówieniu kontenera po remoncie. Hipokryta.

Niedźwiecki parsknął śmiechem. Do samochodu wszedł już w lepszym nastroju.

– To co, jedziemy przesłuchać Jaszczaka do kompletu? – zapytał aspirant, przekręcając kluczyk w stacyjce.

Niedźwiecki pokręcił głową.

– Do czwartku jest w szpitalu.

– Coś poważnego?

– Słyszałeś o zespole stresu bojowego?

10 października

Okolice placu Grunwaldzkiego

Dziewczyny siedziały nad brzegiem Odry niedaleko mostu Szczytnickiego. Szeleszcząc puszkami, popijały piwo z kupionego w promocji sześciopak. Pod wpływem procentów dawno zapomniały o dobrych manierach. Najpierw urządziły konkurs w bekaniu, potem zaczęły wymieniać się doświadczeniami na temat seksu w samochodach.

– Najgorsze bzykanie zaliczyłam w audi – krzyczała Alina. Miała czerwoną twarz i rozczochrane jasne włosy. – Cała masa zagłówków, podłokietników i innych dupereli. Ciągłe mi się coś w tyłek wbijało. Kompletnie nie mogłam się skupić.

– Musisz poszukać faceta z kombikiem – pouczyła ją bełkotliwie wysoka i chuda jak patyk Kika. – Rozkładacie tylne siedzenie i połowę Kamasutry odhaczasz. A jak jest jeszcze szyberdach, to i na jeźdźca się zabawicie. Wszystkie gwiazdy można zobaczyć wraz z Drogą Mleczną – dodała, starannie zgniatając zieloną puszkę. Nawet pod wpływem alkoholu nie zapomniała, że jest studentką czwartego roku ochrony środowiska.

– To ja już wolę seks na tej mojej skrzypiącej wersalce w akademiku. – Kaśka położyła się w wysokiej trawie. – Za poważna już chyba jestem na takie partyzanckie randki.

– Jesteś mądra, bo masz swój pokój – odparowała Alina, oblizując wargi. – Nie musisz stawiać kwiatka na parapecie, jak zaprosisz do siebie faceta.

– Z szóstego piętra to chyba tylko zmutowaną dracnę byłoby widać – zażartowała Kaśka. – Ale spoko, nie narzekam. Tylko jeśli dalej będę prowadziła tak aktywne życie seksualne, to Pola zacznie mnie podejrzywać, że dorabiam sobie jako dziwka.

– A swoją szosą, jakaś szemrana jest ta Pola. – Wiecznie imprezująca Kika nie przepadała za współlokatorką przyjaciółki. – Niby taka wyzwolona, a jakoś wcale nie goni za facetami. Mało gada, z bólu się trzyma. Coś z nią nie tak. Może lesba? – zapytała, zniżając po plotkarsku głos.

– Eeee – zachnęła się Kaśka, wodząc leniwym wzrokiem za płynącą po Odrze, wyładowaną żwirem barką. – Czekaj na księcia ze zdolnością kredytową i tyle.

Dziewczyny zarechotały, udając, że tak przyziemne tematy ich nie dotyczą.

– Trzeba korzystać z życia, bo potem będzie za późno – pouczyła koleżanki Kika, otulając się ciepłym polarem. Popołudnia były coraz krótsze i chłodniejsze. Jedyne pożytek z jesieni to brak komarów.

– Święte słowa – ucięła rozmowę Alina. – Spadajmy, bo wilka złapiemy. Trzeba o jakimś obiedzie pomyśleć.

Dziewczyny pobierały puszki, otrzepały się z trawy i poprawiły fryzury. Dźwigając na ramionach torby z książkami, ruszyły w kierunku zakorkowanego o tej porze placu Grunwaldzkiego. Idąc, kłóciły się, czy warto jeszcze kupić po piwie na stacji benzynowej. W końcu rozsądek zwyciężył. Pożegnały się przy skrzyżowaniu i rozeszły do swoich akademików. Kika mieszkała w najwyższym z nich – dwudziestotrzykondygnacyjnej Kredce. Kilka lat temu

zdarzyła się tam osobiwa tragedia. Pewien student zajmował pokój na parterze. Codziennie skracał sobie drogę do sklepu po papierosy, wyskakując przez okno. Na czwartym roku został przeniesiony do lokum na ostatnim piętrze. Któregoś ranka, szybując w kierunku chodnika, wiedział już, że nałóg nikotynowy zabije go szybciej, niż myślał.

Akademik Kaśki nie był tak wysoki, ale mieścił się przy samym Pasażu Grunwaldzkim. Jadąc windą, dziewczyna przyglądała się swojej twarzy w dobrze oświetlonym lustrze. Miała sińce pod oczami, w kącikach ust błyszczały zajady. Faceci lecieli jednak głównie na jej pełne piersi i zgrabne nogi. Zawsze lubiła podkreślać figurę obcisłymi bluzeczkami, choć nadmiar piwa oraz fast foodów sprawił, że zaokrąglił jej się również brzusek.

– Że też dziewczyny nie tyją w cyklach – mruknęła, z zalem otwierając mieszkanie.

Zaskoczył ją fakt, że w kuchni i łazience paliło się światło. Drzwi do pokoju współlokatorki były otwarte. Wyglądało na to, że Pola wyszła w dużym pośpiechu.

Kaśka wyciągnęła z wiszącej nad pełnym zlewem szafki opakowanie chipsów. Miała ochotę na jajecznicę z kiełbasą, ale nie chciało jej się myć patelni. Poszła do swojego pokoju i rozsiadła się na wersalce, kładąc pilota na brzuchu. Pola nadal nie wracała, nie odbierała też telefonów. Dziewczyne ogarniał coraz większy niepokój o współlokatorkę. Ostatnio Rajewicz była jakaś dziwna. Mówiła, że ma faceta, ale nic na to nie wskazywało. Niedawno wróciła do akademika strasznie zapłakana. Tłumaczyła, że wszyscy ją denerwuje przed okresem, ale to ewidentnie był tylko wykręt. Pola nigdy nie traciła zimnej krwi z powodu głupot albo hormonów. Musiało stać się coś niedobrego.

10 października

Plac Kromera

Pomazany sprayem domofon nie działał. Na szczęście elektrozamek przy drzwiach też był zepsuty. Weszli do ciemnej klatki, po omacku szukając włącznika światła. Kiedyś w podobnym miejscu komisarza kopnął prąd z wystających ze ściany kabli. Tutaj jednak administrator zachował resztki zdrowego rozsądku. Zaręba znalazł wkrótce lepący się od brudu, ale sprawny pstryczek. Otoczyło ich ponure żółte światło. Można było zacząć wspinaczkę po wysokich schodach.

– Zanim przyszedłem do was, robiłem w prewencji – zakomunikował aspirant, gdy już zdawało się, że wędrówka na czwarte piętro ponemieckiego budynku ciągnie się w nieskończoność. – Dyżurny mnie nie lubił i zawsze dostawałem nocne patrole.

– Współczuję – sapnął komisarz, łapiąc się poręczy.

– Nie było tak źle. Wrocław po zmroku to raczej spokojne miasto. Melinowaliśmy się zazwyczaj na stacji benzynowej przy wylocie do Obornik. W środku restauracja, zaprzyjaźnione kasjerki. W życiu nie zjadłem tyłu hot dogów co wtedy.

– Nocne podjadanie – podchwycił komisarz. – Ile przytyłeś?

– Ani grama – zachnął się Zaręba, wycierając pot z czoła. – Chudłem w oczach.

Niedźwiecki popatrzył na partnera z niedowierzaniem.

– Jakaś dieta oparta na parówkach? – zapytał zainteresowany.

– Skąd. Po prostu o drugiej w nocy zaczął się ruch w interesie. Kryptonim „zły tato”.

Niedźwiecki pokiwiał głową na znak, że język patroli prewencji nie jest mu obcy.

– Było jak zwykle – ciągnął Zaręba. – Jakaś wódeczka, do tego zakąska. Około północy niewinne domówki przekształcały się w libacje, a libacje w awantury. Pijana głowa rodziny wyrzuca dzieci na korytarz i trenuje prawe sierpowe. Zarzycane konkubiny łapały za telefon, wzywając policję. Skubane wiedziały, że nie będziemy się za bardzo spieszyć, jeśli lekko nie podkręcą tematu. Wymyślały więc historie o nożach i krwi bryzającej po ścianach. No to lecieliśmy na zбитy pysk. Większość tych znacznych imprez działała się w okolicach śródmieścia. Tam raczej windy nie uświadczysz. Popylało się więc po schodach, a jakoś tak dziwnie wychodziło, że wszyscy awanturnicy mieszkali na ostatnim piętrze. Stary, po pół roku miałem łydki jak rzyski piechur. Po każdej takiej nocy ledwo wczłogiwałem się w domu do łóżka.

– To jednak ci współczuję – sapnął komisarz, zgrabnie omijając stojący na półpiętrze kamienny wazon z olbrzymim fikusem. Cała ziemia dookoła kwiatka była pokryta kiepami. Mimo to roślinka miała się dobrze.

– W porządku było – uśmiechnął się zuchwale Zaręba. – Miałem wtedy taką jedną znajomą, która uwielbiała facetów z umięśnionymi nogami. Co myśmy razem wyprawiali! Zamęczała mnie bardziej niż te awantury w kamienicach. Raz pojechałem na święta do babci. Ta patrzy na mnie i w płacz. Mówi, że policzki mam zapadnięte, żebra mi sterczą. – Zmarnowali mi wnuka

w tej policji! – krzyczy. – Weź się, Aruś, za jakąś poważną robotę, bo do tej mundurówki się nie nadajesz. Za wrażliwy jesteś.

Zaręba skończył gadać, bo właśnie stanęli przed odrapanymi drzwiami, na których wisiała starannie wygrawerowana tabliczka z napisem „Karolina i Zenon Jaszczakowie”.

Komisarz podniósł rękę, ale zanim zapukał, popatrzył uważnie na aspiranta.

– Bądź miły i nie dziw się niczemu – poradził. – Na początku roku zostawiła go żona. Stwierdziła, że nawet ich ośmioletni syn ma w głowie poukładane lepiej niż ojciec. Podobno pan pułkownik większość dnia spędzał w łazience, bo było to jedyne pomieszczenie bez okien. Nawet obiady jadał na kiblu.

Wewnątrz mieszkania rozległy się ciężkie kroki. Po chwili szczęknęła zasuwa w drzwiach i w progu stanął gospodarz.

– Zapraszam, panowie – mruknął Jaszczak bez entuzjazmu.

Mieszkanie było dwupokojowe i zaniedbane tak samo jak on. Wszędzie walały się jakieś części garderoby, reklamówki pełne pustych butelek i tekturowe opakowania po jedzeniu. Śmierdziało przetrwonionym alkoholem i petami. W telewizorze migwały zaśniężone obrazy powtórki z sobotniej gali bokserkiej. Całą południową ścianę zajmowała meblościanka, którą wypełniały albumy sportowe i zakurzone puchary. Na drzwiach szafy wisiał galowy mundur brygady desantowo-szturmowej z dystynkcjami pułkownika. Spodnie były brudne, w marynarce brakowało dwóch guzików. Jaszczak wyglądał na człowieka, który położył się spać bardzo późno i wstał zdecydowanie za wcześnie.

– Przepraszam za bałagan. Nie zdążyłem posprzątać. Wczoraj wróciłem ze szpitala – tłumaczył, przecierając zaspane oczy. Miał krótkie siwe włosy, czerwoną twarz i gigantyczne worki pod oczami. Sterana życiem głowa nie pasowała do reszty ciała. Pod białym, niezbyt czystym podkoszulkiem rysowała się silna klatka piersiowa i wyrzeźbione bicepsy.

– To my przepraszamy za najście – rzucił kurtuazyjnie Niedźwiecki.

– Rano dzwonił do mnie Szczęsny. Powiedział, że bierzemy udział w castingu na mordercę. Główna nagroda to wakacje do końca życia w Sztumie albo Wołowie – ironizował Jaszczak, wkładając do ust papierosa.

– Jak długo znał pan Nikodema Patockiego? – zapytał Niedźwiecki.

Pułkownik zamyślił się.

– Trzy lata. Odkąd odszedłem z wojska, nie wiodło mi się najlepiej. Jeśli nie możesz zasnąć przez sześć nocy z rządu, to raczej ciężko znaleźć jakąś robotę. Z żoną też nie idzie się dogadać. Szukałem zajęcia i doktor Szczęsny naraił mi Nikodema.

Jaszczak wrzucił resztki papierosa do niedopitej herbaty.

– Jestem – cmoknął pułkownik – a w zasadzie byłem instruktorem krav magi.

– Czego? – Niedźwiecki zamrugał powiekami.

– Izraelska sztuka walki. Chociaż, prawdę mówiąc, ze sztuką mało ma to wspólnego – dodał po chwili. – Dużo agresji, gryzienia i ciosów poniżej pasa. Brak w niej filozofii, jak na przykład w judo. Jedyne przesłanie jest takie: jeśli twoje życie jest zagrożone, walcz wszystkimi dostępnymi środkami.

– Po cholere artyście takie zabawy? – wtrącił Zaręba.

– Może się czegoś bał? – podchwycił Niedźwiecki.

– Nikodem był konfliktowy. Porywczy. Mówił ludziom wprost, co o nich myśli. Tacy niegrzeczni chłopcy powinni nauczyć się bić. To zawsze zwiększa szansę, że dożyją starości z własnymi zębami w komplecie.

– Miał z kimś konflikt przed śmiercią? – zapytał komisarz.

Jaszczak uśmiechnął się ironicznie.

– Ma pan krótką pamięć czy próbuje mnie złapać na jakiejś nieścisłości? – zagaił ze sztuczną uprzejmością. – Pytał mnie pan o to trzy dni po zabójstwie. Jeśli nie zgubiliście jeszcze mojego zeznania, wszystko tam jest.

Wstał i poczłapał do kuchni. Po chwili rozległ się szum wody w kranie. Korzystając z nieobecności gospodarza, Niedźwiecki postanowił rozejrzeć się po mieszkaniu. Zrobił dwa kroki i poczuł, że coś chrobocze mu pod nogami. Na podłodze leżała wykonana z brązu czteroramienna Gwiazda Afganistanu. Był to medal przyznawany przez prezydenta uczestnikom polskiego kontyngentu wojskowego. Na rewersie została wyryta dumna łacińska sentencja: „Paci Servio” – Służę pokojowi.

W drzwiach salonu ponownie stanął Jaszczak. Miał mokrą twarz oraz zlepione wodą włosy.

– O! Widzę, że zguba się znalazła – powiedział, wycierając podkoszulkiem szyję. – Mam tego więcej, jeśli by pan komisarz chciał zobaczyć. Tylko niech pan nikomu nie mówi, jak traktuję moje cacuszka, bo mi ten cały złom zabiorą. Na Allegro za taki medal to ze trzy stowy mogę dostać.

– Proszę odpowiedzieć na moje pytanie. – Niedźwiecki odłożył gwiazdę na stół. – Kto według pana mógł zabić Patockiego?

Jaszczak usiadł na niepościelonym łóżku. Poduszka nie miała poszewki, a kołdra straciła biel już kilka miesięcy temu.

– Nikodem miał całą masę wrogów. Tak to jest, gdy wzbudzasz zazdrość, choć każdy czuje się od ciebie lepszy. Mnie nie imponuje kasa. Szczęśny też raczej nie miał motywu.

– Wspomniał pan w zeznaniu, że zachowanie Patockiego w pewnym momencie uległo zmianie – dociekał komisarz.

Jaszczak podrapał się po policzku.

– Rok temu po wakacjach przyszedł na trening strasznie wściekły. Atakował mnie jak wariat. Pytałem, o co chodzi, a on na to, że wszyscy go popamiętają. Każdy dostanie to, na co zasłużył.

– Wróćmy do wieczoru poprzedzającego zabójstwo. Czy coś pana zdziwiło podczas imprezy?

– Nic. Może tylko to, że Nikodem całkiem niezłe trzymał się na nogach.

– Czy otworzył pan okno w sali bilardowej?

W zmęczonych oczach Jaszczaka pojawił się złowrogi błysk.

– Nie wrobiecie mnie w ten numer! – krzyknął. – Nie mam nic wspólnego z jego śmiercią.

Niedźwiecki popatrzył na zegarek.

– Dziękuję – powiedział, wyciągając rękę. – Będziemy jeszcze chcieli się z panem

skontaktować w najbliższych dniach.

– Rano czy wieczorem?

– A kiedy panu bardziej pasuje? – zapytał grzecznie Zaręba.

– Niech pomyślę... – Pułkownik podrapał się po głowie. – O dziewiątej rano robię przedziałek na czole. Potem fajrant mniej więcej do północy. Kiedyś, gdy miałem wolne, jeździłem w góry. Teraz siedzę w domu. Boję się każdej skały i jaskini. Wszędzie może cziąć się jakiś Afganiec z kałasznikowem. Nawet w Zakopanem – dodał z powagą w oczach.

Policjanci z ulgą wyszli z mieszkania.

– Po czym mu się tak porobiło? – zapytał aspirant, zbiegając po schodach.

– Jego jednostka stacjonowała niedaleko Kabulu. To miał być ostatni patrol przed powrotem do Polski. Przy zjeździe z autostrady humvee jego dowódcy wyleciał na minie. Drugi zaatakowali talibowie. Jaszczak trafił do niewoli. Marines odbili go po kilku dniach. Wrócił do kraju w glorii bohatera. Awansował na pułkownika i jadł śniadanie z samym prezydentem. Dwa tygodnie później wylądował w psychiatryku. Biegał po Dworcu Głównym i krzyczał, że gdzieś jest podłożona bomba.

– Chujowo – mruknął aspirant, wychodząc z ciemnej bramy.

– Wiesz, że więcej żołnierzy ginie z powodu samobójstw niż na misjach? – zapytał Niedźwiecki.

To oświadczenie nie zrobiło na Zarębie żadnego wrażenia.

– Mój dziadek, gdy zaczęła się druga wojna światowa, był szeregowcem. Ledwo wylizał się z ran po bitwie nad Bzurą, przeżył dwa lata w Oświęcimiu. Potem miał wyrok od komunistów za Armię Krajową. Gdyby nie śmierć Stalina, dostałby pewnie kulę w łeb. Nigdy nie słyszałem od niego, żeby cierpiał na zespół stresu bojowego. Po prostu nie chciał gadać o wojnie i tyle. Mówił, że cieszy się z każdego wschodu słońca i każdego obiadu, po którym jest najedzony do syta.

– Kiedyś ludzie byli ulepieni z innej gliny. – Niedźwiecki pokiwał głową. – A ty nie zgrywaj twardziela, bo nawet jeszcze nie powąchałeś prochu. – W komisarzu odezwała się mundurowa solidarność.

– Masz rację – zgodził się Zaręba, włączając silnik w służbowej śłodzie – ale sam ciągle mi powtarzasz, że nie należy współczuć podejrzanym.

– Na razie podejrzanym – wdał się w akademicką dyskusję Niedźwiecki. – Nie ma wystarczających powodów, by postawić mu zarzuty.

– Tak? A co powiesz na to, że znalazłem narzędzie, którym została uderzona Patocka? – rzucił pyszałkowato aspirant, ruszając z miejsca przy akompaniamencie pisku łyścych opon.

10 października Park Szczytnicki

Kaśka wyłączyła telewizor. Niechętnie wygramoliła się z łóżka i włożyła ciepłą bluzę z kapturem. Starannie zamknęła mieszkanie, po czym ruszyła długim korytarzem w kierunku windy. W akademiku zaczynały się piątkowe imprezy. Piętro niżej dudnił bas subwoofera, szczękały butelki, raz po raz wybuchaly głośnie śmiechy. Wczoraj czytała, że współcześni studenci przestali już szaleć. Zamiast tego wolą uczyć się, walczyć o stypendia i pracować na drugą zmianę. Socjolog, który przedstawiał ten fenomen jako symbol nowych czasów, najwyraźniej nigdy nie mieszkał w akademiku.

Winda stanęła na szóstym piętrze. W środku kłębili się studenci drugiego roku archeologii. Mieli czerwone zażawione oczy i zadowolone miny. Wokół unosił się słodkawy zapach marihuany.

– Uwaga! Przy stanek Kaśka! – krzyknął kędzierzawy blondyn z krzywym zgryzem. – Wsiadaj, laska, do naszej lokomotywy – gadał jak najęty. – Wpadasz z nami do Jurka? Urządzamy wieczór pamięci Boba Marleya. Będzie się działo, oj, będzie!

– Głowa mnie boli. Idę na spacer – mruknęła, stając tyłem do reszty.

– Główka boli. – Blondas obniżył ton. – Wielka dama ma globusa!

– Możesz się zamknąć?! – warknęła.

– Dobrze, już dobrze. – Natręt zamilkł, zaskoczony ostrym tonem. Aż do samego parteru w windzie panowała krępująca cisza.

Chwilę później Kaśkę otoczył gwar ulicy. Było już ciemno, światła samochodów odbijały się od drogi. Objuczeni siatkami ludzie wychodzili z Pasażu Grunwaldzkiego. Przyglądała im się siedząca na metalowej skrzyni rzeźba rycerza Peregryna. Przy rondzie Reagana czatowali strażnicy miejscy. W pełnej gotowości bojowej obserwowali przebiegających na czerwonym świetle studentów. Co kilka minut budżet miasta wzbogacał się o kolejne pięćdziesiąt złotych.

Pola nadal nie odbierała telefonów. Kaśka założyła kaptur i ruszyła w kierunku Hali Tysiąclecia. Była jeszcze jedna szansa. Niewielka, ale zawsze. Rok temu dziewczyny odkryły w parku Szczytnickim maleńką, zapomnianą przez Boga alejkę. Pośród zaniedbanych krzewów stały dwie zniszczone ławki. Można było usiąść na ich oparciach i pocuć się w środku miasta jak na bezludnej wyspie. Pola, gdy przypominała sobie ojca, zawsze chodziła tam przeczełać doła.

Może znowu tam siedzi i beczy, zastanawiała się Kaśka, wchodząc dziurawym chodnikiem na most Zwierzyńiecki, który łączył centrum miasta z Biskupinem. Po prawej stronie była przystań. Statki pasażerskie wyruszały z niej w kilkugodzinne rejsy po Odrze. Po lewej stała przypominająca wielki tort Hala Stulecia. Nad wszystkim pieczę sprawowały pawiany, wielbłądy oraz inni dostojni mieszkańcy najstarszego w Polsce zoo. Całość krajobrazu uzupełniał pachnący igliwem i grzybami stuhektarowy park. Ceny poniemieckich domów w okolicy były czysto teoretyczne. Sprzedawanie tutaj nieruchomości jawiło się pomysłem równie desperackim jak zastawianie w lombardzie rodowej biżuterii.

Kaśka zostawiła za sobą zgłębienie ulicy Mickiewicza. Na wysokości ozdobionego pstrokatym graffiti szaletu weszła do parku Szczytnickiego. Nie bała się spacerować ciemnymi alejkami. Wokół było pusto, przytulnie, bezpiecznie. Popękany asfalt przykrywała kołderka kolorowych liści. Na starannie przyciętej trawie zaczęła osiadać rosa. W pobliżu nie działał żaden sklep monopolowy, imprezowicze wybierali więc okolice bliższe placu Grunwaldzkiego. Obrzeżami przemykały pary zakochanych. Byli tak zapatrzeni w siebie, że nie zauważyliby lądującego obok statku kosmicznego. Minęło ją też kilku ubranych w elastyczne spodnie, dyszących ze zmęczenia biegaczy. Przy drewnianym mostku kuczał starszy mężczyzna w kapeluszu. Chował do papierowego woreczka parujące bobki. Obok stał zadowolony z siebie czarny labrador. Gdzieś w oddali krążyły wrony.

Kaśka zbliżała się do ulubionego przez Polę miejsca. Zeszła ze ścieżki przy rosnących obok alejki klonach i skierowała się w stronę zasadzonych na okręgu berberysów. Przebrnęła przez krzaki i wdarła się na małą polankę. Nadzieja, że znajdzie tam przyjaciółkę, wyparowała. W świetle księżycy błyszczą tylko porozrzucone puste butelki oraz sreberka po czekoladzie.

– Niech cię szlag, laska – warknęła, siadając na jednej z dwóch spróchniałych ławek

Zapaliła papierosa, karcąc się w duchu za tę niepotrzebną eskapadę. Pola jest teraz pewnie z jakimś facetem i zapomniła o bożym świecie. Albo lepiej: jest już w akademiku i pichci coś fajnego na kolację. Podniosła słuchawkę, wybrała numer. Po raz ostatni. Jeśli nie odbierze, niech sobie radzi sama. Trzymała telefon przy uchu, wsłuchując się w kolejne sygnały. Nagle poczuła, że coś jest nie tak. Zdziwienie przerodziło się w niepokój, niepokój zaś w przerażenie. Krew odpłynęła jej z twarzy, a ręce pokryła gęsia skórka. Wybrała numer po raz kolejny, licząc, że to były tylko omamy słuchowe. Ale o pomyłce nie mogło być mowy. Gdzieś w pobliżu słyszała doskonale znaną melodyjkę, w której Marilyn Monroe śpiewała Johnowi Kennedy'emu „Happy Birthday, Mr. President”.

10 października Ulica Wiwulskiego

Mikołaj Rapacki odłożył na półeczkę pod lustrem sztyft likwidujący cienie pod oczami. Niestety nawet najdroższe preparaty nie radziły sobie z jego zmęczoną twarzą. Prokurator nie mógł oprzeć się wrażeniu, że uczestniczy w nieludzkim eksperymencie, który ma służyć sprawdzeniu, ile dób człowiek może wytrzymać bez snu.

Ziewając szeroko, poszedł do nowoczesnej kuchni i włączył ekspres ciśnieniowy. Przez ostatnie pół roku wydatki na kawę w jego domu wzrosły kilkakrotnie. Ilość kofeiny we krwi nie przekładała się jednak na poziom energii. Popatrzył na zegarek. Dochodziła dwudziesta pierwsza. Przeraziła go wizja nadchodzącego weekendu. Nie mógł doczekać się poniedziałku, kiedy znowu pójdzie do pracy. Tam choć przez chwilę mógł przyciąć komara, siedząc przy służbowym biurku. Jego asesor odbierał wtedy wszystkie telefony i informował, że szef wykonuje ważne czynności procesowe. Po takenigmatycznie brzmiącym zdaniu nikt o nic więcej nie śmiał już pytać.

Do kuchni na palcach weszła Emilka. Miała regularne rysy, gładką skórę i długą szyję, ale cięża zostawiła po sobie pamiątkę w postaci kilku zbędnych kilogramów. Z pełnej uroku dziewczyny, która przyjechała do Wrocławia na aplikację sędziowską, zmieniła się w dojrzałą, roszczeniowo nastawioną kobietę. Była zmęczona tak samo jak Mikołaj, ale z jej oczu biła matczy na siła.

– Zasnął – powiedziała, kładąc palec na ustach.

– Super – przytulił ją. – Nawet nie wiesz, jak mu zazdrościsz.

– Może czas pomyśleć o większym mieszkaniu? – zapytała, wkładając mleko do lodówki. – Takim, w którym będziesz miał swój gabinet z kanapą. Na czas, kiedy Tymek zacznie ząbkować.

Rapacki nie odpowiedział. Parząc usta gorącą, gęstą kawą, analizował sytuację, w której się znalazł. Miał trzydzieści osiem lat i wiódł do tej pory szczęśliwe życie playboya. Startował w triathlonach na dystansie olimpijskim, chodził na siłownię. Znał się na winach, miał kolekcję butów większą niż niejedna modelka. Czasem mówiono o nim prokurator-olewator, bo nie opętała go obsesja na punkcie wygrywania spraw za wszelką cenę. Bezważliwych wyroków więzienia żądał tylko wtedy, gdy prowadził sprawę o przestępstwo przeciwko życiu i zdrowiu. Niechętnie zakładał toge, twierdząc, że wygląda w niej mało męsko. Korzystał z Kodeksu karnego w wersji na iPoda i bynajmniej nie marzył, jak jego koledzy, żeby zostać szefem prokuratury apelacyjnej.

Narodziny pierwszego potomka były eksperymentem na żywym organizmie. Mikołaj musiał przejść błyskawiczny kurs przysposobienia do życia w rodzinie. Odrobić lekcję z monogamii oraz ekonomii. Wózek dla dziecka kosztuje tyle samo co zegarek triathlonowy. Pierwszy gadżet jest nieodzowny, drugi można sobie darować. Jeśli idzie o uczucia ojcowskie, starsi stażem koledzy pocieszali go, że prawdziwy kontakt z synem nawiąże po około trzech latach.

Rozkoszując się ciszą, Rapacki sięgnął po laptopa. To, co mówiła Emilka, wcale nie było głupie. Czas pomyśleć o większym mieszkaniu. Jego dwupokojowy apartament wybudowany nad Odrą

w samym środku kameralnego parku ewidentnie był dla nich za mały. Otworzył przeglądarkę i wpisał adres portalu pośredniczącego w sprzedaży nieruchomości. Jeśli opyli dobrze swoje mieszkanie i weźmie kredyt, może będzie go stać na niewielki bliźniak? Ostatnio gdzieś czytał, że domy taniej. Zawsze jest szansa trafić jakąś okazję.

Z każdym kolejnym kliknięciem zapalał Rapackiego mała. Ludzie żądali niebotycznych sum za szkaradziństwa w stanie surowym. Jeśli cena wydawała się atrakcyjna, to dom znajdował się w Wiszni Małej albo Syrowie nad samym strumykiem. Przecież nie przeprowadzi się trzydzieści kilometrów od Wrocławia, by potem modlić się każdej wiosny, aby ta mała rzeczka za oknem nie zamieniła się we wściekłą Niagarę! Powódź w 1997 roku odcisnęła piętno na każdym Dolnoślązaku, choć byli i tacy, którzy zrobili na niej świetny interes. W okolicach Dworca Głównego działała „pływająca melina”. Katakizm katakizmem, a napić się trzeba.

– Ciekawe, ile trzeba dać za chatę w najdroższych dzielnicach miasta typu Zalesie albo Karłowice – mruknął pod nosem, ustawiając kryterium wyszukiwania na zakładce cena. – Basen i kort tenisowy w ogrodzie – czytał z zazdrością – pięć minut do Rynku. Cztery sypialnie i oranżeria. Willa, w której mieszkała znana poetka. Okazja! Nawet półtora miliona taniej. Nic tylko brać.

Rozbawiony, otwierał kolejne oferty. Żeby kupić któryś z tych domów, musiały przez piętnaście lat jeść paprykarz szczeciński i brać łapówki od szefów mafii paliwowej. Na razie trzeba porzucić pomysł zmiany lokalu i zainwestować w dobre zatycki do uszu.

Miał już wyłączyć komputer, gdy w oczy rzuciło mu się jedno ze zdjęć. Zaskoczony, kliknął w szczegóły oferty. O pomyłce nie mogło być mowy. Zahipnotyzowany patrzył w monitor, zastanawiając się, co zrobić z tym niespodziewanym odkryciem. Sięgnął po leżący na stole telefon.

– Co jest? – zapytała Emilka, zanim zdążył wybrać numer.

– Muszę gdzieś zadzwonić. To ważne – odpowiedział Rapacki.

– Głuchy jesteś? – Kobieta podparła się pod boki. – Tymek znowu płacze. Idź do niego, ja muszę wziąć prysznic i umyć włosy. Później sobie pogadasz z kolegami.

Rapacki westchnął ciężko i posłusznie poszedł w kierunku sypialni, z której dochodził wysoki jak miauczenie kota, jednostajny dźwięk.

10 października

Komenda Wojewódzka Policji

Aby wyjaśnić, jak odkrył narzędzie zbrodni, Arkadiusz Zaręba zaprosił komisarza wieczorem do siłowni mieszczącej się w piwnicach komendy. W środku było kilku gliniarzy, którzy sumiennie przerzucali odrapane hantle. Żółte światło jarzeniówki sprawiało, że wyglądali, jakby chorowali na wątrobę. Z rozklekotanych głośników dudniło stare włoskie disco. Pachniało potem, testosteronem i białkowy mi odżywkami.

– Koroner napisał, że Marlena Patocka została uderzona tępy m narzędziem w skroń? – zapytał aspirant, przekrzykując muzykę. Miał na sobie spodnie od munduru i jasny podkoszulek obnażający olbrzymie żyłaste ramiona. Służbową koszulę powiesił na zamontowanych pod ścianą drewnianych drabinkach.

– Tak – potwierdził dla formalności komisarz, który zdążył pojechać do domu i przebrać się w brązowy trykotowy dres.

– To teraz patrz.

Zaręba podszedł do sfatygowanego worka bokerskiego. Ustawił się do niego bokiem. Złączył kolana i przenosząc ciężar z prawej nogi na lewą, huknął potężnym sierpowym. Skórzany worek rozkołysał się jak wstążeczka na wietrze. Ćwiczący brzuski posterunkowy przyśiadł, podziwiając przedstawianie.

– Zawodowy bokser, uderzając precyzyjnie w punkt, wywiera nacisk od dwustu do pięciuset kilogramów – tłumaczył aspirant, machając biodrami. – Ale spotkanie z kimś takim jak Władimir Kliczko zabolę jeszcze bardziej. Mniej więcej tak, jakbyś dostał z dyki od rozpędzonego byka.

– Sugerujesz, że Jaszczak *corpus delicti* na co dzień trzyma w kieszeniach? – zapytał Niedźwiecki. To, co mówił jego podwładny, miało sens.

Zaręba podrapał się po klatce piersiowej. Biblioteki go męczyły, w kinie co chwilę patrzył na zegarek, za to na siłowni czuł się jak ryba w wodzie.

– Jak byłem gówniarzem, mój trener prowadził ewidencję wszystkich chłopaków, którzy wyściskali na klatkę powyżej stu kilogramów. Mówił, że taki cios może zabić.

Komisarz usiadł na ławeczce treningowej, patrząc bez szczególnej przyjemności na swoje odbicie w wielkim zaporowanym od potu lustrze.

– Sugerujesz, że pułkownik uchylił okno w sali bilardowej, potem grzecznie pojechał do siebie, a po godzinie wrócił do domu Patockich?

Aspirant wziął do ręki uginające się od ciężaru hantle.

– Z placu Kromera na ulicę Konopnickiej można dojść w dwadzieścia minut – tłumaczył, podziwiając swój napięty biceps. – Czytałem akta. Taksówkarz zeznał, że Jaszczak był pijany w trzy mordercy, ale skąd wiemy, że nie udawał? Pamiętasz, że podobno awanturował się w drodze powrotnej? Mógł to robić specjalnie, żeby kierowca zapamiętał, w jakim jest stanie.

– A co w takim układzie z Gorbaczewskim? – zapytał komisarz, podążając za tokiem

rozumowania podwładnego. – Działali razem?

Aspirant przełożył ciężar z prawej dłoni do lewej.

– Myślałeś o tym, że jest niewinny? Mamy tylko te dziwaczne zeznania Patockiej. Chłopaki, którzy go śledzą, meldują, że jest grzeczny jakanioł.

– Musi mieć coś wspólnego z tą sprawą. Inaczej żona nie ryzykowałaby zagrywkę z fałszywym alibi.

– Za babą nie nadążysz – wyrokował aspirant tonem faceta po przejściach. – A Jaszczak zabijał jako żołnierz. Ma zespół stresu bojowego. Jest nieobliczalny.

– Jeśli podasz jeszcze jakiś sensowny motyw, Sherlocku, to wystąpię do Kolasy z wnioskiem o premię dla ciebie – powiedział, czując w kieszeni dresu wibrujący telefon.

– Żona wzywa? – zapytał wścibsko aspirant.

Niedźwiecki z szeroko otwartymi oczami przeczytał wiadomość.

– Nie, to Rapacki – mruknął. – On też odkrył coś bardzo ciekawego.

– Co? – Zaręba odłożył ciężary i zaczął się prężyć przed lustrem.

– Podobno dom Patockich był wystawiony na sprzedaż.

Aspirant zapomniał na chwilę o swoich mięśniach kapturowych i deformujących łapy tricepsach.

– Co z tego wynika? – zapytał zaskoczony.

– Dobre pytanie.

– Może Patocki miał jakieś problemy finansowe? Może hazard albo szantaż? – rozkręcał się aspirant. – Trzeba sprawdzić, czy Jaszczak nie pracuje dla jakiejś mafii. – Założył ręce do tyłu i zaczął chodzić dookoła ławeczki treningowej.

Zanim Niedźwiecki zdążył odpowiedzieć coś godnego rozważań aspiranta, do siłowni zdecydowanym krokiem wpadł inspektor Kolasa. Wyglądał, jakby urwał się z obiadu u prezydenta. Jego mundur nie miał nawet jednej zmarszczki. W wyglansowanych czarnych butach odbijała się cała siłownia.

– Kotowicz powiedział, że tu cię znajdę – zawołał, patrząc na komisarza. Jeden z ćwiczących posterunkowych przytomnie polecał wyłączyć muzykę. Drugi, widząc samego szefa szefów, zasalutował do spoczonej głowy.

Kolasa uśmiechnął się łaskawie i pochylił nad Niedźwieckim.

– Oficer nie powinien się pocić przy podwładnych – szepnęła na ucho.

– Co robisz o tej godzinie w pracy? Już późno.

– Czekam na raport od ciebie.

– Jutro do niego przysiędę.

– Wykluczone. – Kolasa zrobił się nagle stanowczy. – Jutro będziesz miał inne zajęcia.

– Co znowu? – zapytał zrozpaczony Niedźwiecki. W głowie miał wizję jakiegoś szkolenia dofinansowanego z Unii Europejskiej. Na przykład „Psychologia a techniki przesłuchań parkowych ekshibicjonistów”.

– Przed chwilą dzwonił oficer dyżurny z placu Grunwaldzkiego – obwieścił zaskoczonemu

podwładnemu inspektor. – W parku Szczytnickim została zamordowana jakaś studentka. Chciałbym, żebyś się tym zajął.

– Dlaczego ja? – krzyknął zrozpaczony Niedźwiecki.

– Wyglądasz jak hipis. Dogadasz się z młodzieżą nawet lepiej ode mnie.

– A co ze sprawą Patockiego? – wtrącił rezolutnie Zaręba.

– Poprowadzę ją osobiście. – Pokłonił się z godnością inspektor.

13 października

Komenda Wojewódzka Policji

Od rana coś złego wisiało w powietrzu. Przez miasto przeciskały się pędzące na sygnale karetki. Autobusy stały w korkach. Ludzie warczeli na siebie. Notowania giełdowe leciały na łeb na szyję, za to frankszwajcarski podróżak o kolejne dziesięć gorszy. Niedźwiecki siedział w swoim gabinecie i z przerażeniem myślał o tym, że do kolejnych wakacji zostało jeszcze osiem miesięcy. Ale nie to było najgorsze. Prawdziwym strachem napawała go świadomość, że jeszcze do piątku miała na głowie tylko jedną nierozwiązaną sprawę. Teraz, zgodnie z rozkazem Kolasy, doszła mu kolejna, w której – taksamo jak pierwszej – szanse na szybkie rozwikłanie były raczej mizerne.

Na pocieszenie pociągnął spory łyk zimnej kawy. Popatrzył na stertę kolorowych odbitek, które przed chwilą dostarczył aspirant Zaręba. Zdjęcia były doświetlone za pomocą umieszczonej na obiektywie lampy błyskowej. Rozcinające mrok sztuczne światło tylko potęgowało przygnębiający nastrój. Technik policyjny tak długo kręcił się wokół ofiary, aż zrobił zbliżenie każdego detalu jej ciała. Zamordowana Pola Rajewicz nie miała żadnych widocznych ran, ale na jej twarzy malował się grymas bólu, zastygły w momencie, gdy stanęło jej serce.

Naprzeciwko komisarza, po drugiej stronie biurka, siedziała młoda dziewczyna. Wyglądała spokojnie, ale Niedźwiecki wiedział, że są to objawy szoku, który nie zdążył jeszcze minąć po trzech nieprzespanych nocach. Katarzyna Kula mówiła bez emocji, krótkimi zdaniem.

– Słyszałam dzwonek jej komórki. Myślałam, że zgubiła telefon albo schowała się za jakimś drzewem. Przy krzakach była sterta liści. Odgarnęłam nogą. Leżała tam. Oczy i usta miała otwarte. Złapałam ją za rękę. Myślałam, że jaja sobie robi, ale ciało było sztywne. Skóra taka delikatna. Jak bibuła.

Dziewczyna popatrzyła pustym wzrokiem na swoje pulchne dłonie. Sprawdziła, czy nie zaraziła się śmiercią.

– Dlaczego poszła pani jej szukać? – zapytał komisarz, stukając palcem w fotografię ze zbliżeniem twarzy ofiary.

– Czułam jakiś wewnętrzny strach. Zawsze mówiła mi, dokąd wychodzi. Nie dawała znaku życia. To do niej niepodobne.

– Czy miała jakichś wrogów?

Kaśka zaczęła obgryzać paznokcie. Niedźwiecki słyszał, że jest to symptom niskiej inteligencji. W tym przypadku chodziło raczej o stres.

– Nie wiem. Trochę zadzierała nosa. Rzadko się uśmiechała i czasem trudno było się z nią dogadać, ale zawsze była lojalna. Czy ktoś ją...

Zamilkła. Słowo „morderstwo” nie chciało jej przejść przez gardło.

– Nie mamy jeszcze wyników sekcji zwłok, ale sama liśćmi się nie przykryła – wypalił komisarz z delikatnością buldożera. – Wiedziała pani, że brała leki? – zapytał, pokazując znalezione w pokoju Poli recepty.

– Nie. – Dziewczyna pokręciła głowę.

– Chciałbym dostać namiary na jej chłopaka.

– Nie wiem, czy go w ogóle miała. – Kaśka włożyła trzęsące się dłonie między kolana. – Przed wakacjami poszła na jakąś randkę i wróciła strasznie rozbita. Trudno było coś z niej wyciągnąć.

– Nie mówiła, jak się nazywa ten mężczyzna? Gdzie pracuje? Co robi? – Komisarz podszedł do szafki w rogu gabinetu. Obok czajnika stała butelka wody mineralnej. Napełnił plastikowy kubek gazowany mplynem i postawił go przed dziewczyną.

– Zawsze, gdy ją o to pytałam, uciniała temat – odpowiedziała Kaśka, podnosząc naczynie do ust. Piła łapczywie i głośno. – Polka nie lubiła mówić o sobie, ale to była naprawdę dobra dziewczyna – dodała, odkładając kubek. Po słowie „była” z kącików podkrążonych oczu pociekły strużki łez.

Komisarz wyłączył dykafon, dając do zrozumienia, że rozmowa jest skończona.

– Będziemy w kontakcie – powiedział, podpisując przepustkę. – Na dole czeka aspirant Kotowicz. Odwiezie panią do akademika.

Dziewczyna opuściła gabinet, pozostawiając na blacie mokrą chusteczkę. Komisarz wyjął z szuflady chrupki ryżowe. Właśnie ma ostatnią szansę na to, żeby dzisiaj coś jeszcze zjeść. Za pół godziny był umówiony w Zakładzie Medycyny Sądowej. Tam apetytu nie tracili jedynie zbrojeńcy albo ludzie, którzy zobaczyli w swoim życiu przynajmniej dwucyfrową liczbę trupów. Komisarz bez przekonania ugryzł suchy krążek bez smaku. Zapił go resztką kawy i schował do biurka ledwo napoczęte opakowanie. W bufecie powinny być jeszcze świeże pączki. Ta myśl dodała mu energii. Przeliczył wyjęte z kieszeni marynarki drobne i zbiegł po schodach na parter, gdzie oprócz dwóch ociekających lukrem ciastek kupił jeszcze dietetyczną colę oraz jabłko.

Chwilę później zaliczał już na swoim czerwonym skuterze kolejne kilometry wrocławskich dróg. Zręcznie lawirował między samochodami, omijając zakorkowane miasto. Koledzy sprezentowali mu na urodziny kask z przyczepioną na górze bańką, czyli policyjnym kogutem. Dowcipkowali, że będzie teraz oficjalnie ścigał bandytów, jak to nazwali, policyjnym pierdolatem. Niedźwiecki nic sobie nie robił z docinków kumpi. Dwa kółka dawały mu wolność. Nawet jeśli pachniały chińskim plastikiem. Zaparkował przed szlabanem Wydziału Medycyny Weterynaryjnej na ulicy Mikulicza-Radeckiego i wszedł do ceglanego budynku, w którym mieścił się Zakład Medycyny Sądowej. Drzwi sali sekcyjnej były uchylone. Doktor albo miał siódmy zmysł, albo widział przez okno, jak Niedźwiecki przygina skuter do latarni.

Mikołaja Sokołowskiego w gwarze policyjnej nazywano lekarzem ostatniego kontaktu. Przez wiele lat pracował jako ekspert w laboratorium kryminalistycznym Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej. Po transformacji ustrojowej poświęcił się pracy naukowej na Akademii Medycznej. Był niezwykle skrupulatny. Ci nieboszczycy, którzy trafiali na jego stół, mieli szczęście – szli do nieba z właściwie postawioną diagnozą.

Sokołowski preferował żołnierski styl. Trzymał się prosto, wysuwał do przodu podbródek. Mówił zwięźle, unikał czasowników oraz zdań wielokrotnie złożonych. Miał też słabość do oceniania ludzi i narzucania innym swojego zdania.

– Witam, komisarzu. – Wyciągnął przed siebie pomarszczoną, żyłastą rękę i złączył nogi, stając na baczność. – Lubię ludzi punktualnych – dodał, wręczając Niedźwieckiemu fizeelinową maskę

oraz fartuch.

– Co pan dla mnie ma? – zapytał ze strachem Niedźwiecki.

– Same ciekawe rzeczy. – Doktor wskazał palcem leżące na metalowym stole zwłoki, które na szczęście zostały już pozszywane. – To morderstwo – dodał, przybierając surowy wyraz twarzy.

– Oglądałem zdjęcia i czytałem wstępny raport – powiedział Niedźwiecki. Aż do ostatniej chwili liczył, że Pola Rajewicz w jakiś tajemniczy sposób umarła z przyczyn naturalnych i cała sprawa pójdzie *ad acta*.

Doktor pochylił się nad ciałem. Dał znak, żeby komisarz zrobił to samo.

– W tym miejscu została przerwana ciągłość skóry. – Pokazał małe naskłucie z prawej strony szyi.

– Trucizna? – zapytał komisarz.

Sokołowski pokławał głową.

– Mamy już wyniki toksykologiczne. Środek, który ją zabił, to fentanyl. Przy precyzyjnym dawkowaniu działa przeciwbólowo. Jest mocniejszy od morfiny, dlatego znajduje zastosowanie w weterynarii przy leczeniu dużych zwierząt. Przedawkowanie doprowadza do depresji oddechowej, a w konsekwencji do śmierci.

– Jasna cholera! – rozdziwił usta Niedźwiecki. – Są jakieś ślady obcego DNA? – dociekał z nadzieją.

– Nic. Morderca wiedział, co robi.

Komisarz popatrzył na drobne ciało dziewczyny.

– Musiała się chyba bronić? – zapytał po chwili milczenia.

Doktor podszedł do szafki i wyjął z pudełka parę gumowych rękawiczek.

– Za paznokciami czysto – powiedział, podnosząc jej dłoń. – Żadnych otarć, siniaków, zadrapań. Pianiści też nic nie znaleźli.

W slangu policyjnym pianistami nazywano techników od daktyloskopii.

– To znaczy, że ktoś ją zaskoczył, zanim zdążyła zareagować?

– Tak. Dlatego sugeruję, że ofiara znała swojego oprawcę.

Doktor podszedł do ściany, gdzie na specjalnym stelażu wisiały przyczepione żabkami zdjęcia wykonane na miejscu zbrodni. Były to te same fotografie, które rano przeglądał Niedźwiecki.

– Jest jeszcze coś – powiedział. – Niech pan popatrzy na jej twarz. Idealnie wymalowane usta, świeżo wyskubane brwi, podkreślane rzęsy. Przed wyjściem ogoliła też nogi i zrobiła staranny manicure – wyliczał Sokołowski. – Dziewczyna wybierała się na randkę – zawyrokował. – W tej sytuacji powinien pan szybko znaleźć mordercę.

– Dziękuję – powiedział komisarz, zdejmując fartuch. – Bardzo mi pan pomógł.

– Nie ma sprawy – odparł Sokołowski tonem rutyniarza. – Niech pan tylko uważa – powiedział, zamykając dłonią powieki denatki. – Mordercą nie jest napalony małolat. Taką nietypową trucizną... – zawahał się, wążąc słowa. – To mi wygląda na zbrodnię z wyższych sfer.

14 października

Instytut Historii Kultury

Większość budynków uniwersyteckich doczekała się błyszczących elewacji, nowych sal wykładowych, szklanych łączników czy też skomputeryzowanych bibliotek. Na Wydziale Historii Kultury pieniędzy wystarczyło jednak tylko na remont toalet. Gdyby ze starych drzwi usunąć nowoczesne klamki, instytut z powodzeniem mógłby zagrać w ekranizacji najnowszej powieści Marka Krajewskiego.

Zazwyczaj ciemne korytarze wypełniały się głosami rozmów, salwami śmiechu i szuraniem nóg. Dzisiaj było cicho. Tylko kilku najpilniejszych studentów pochylało się nad skrypty, powtarzając ciągi dat i nazwisk. Reszta zbijała się w grupki, komentując informację o śmierci jednej z koleżanek. Najbliższą srodę dziekan ogłosił dniem żałoby. Rada studentów rozważała zorganizowanie marszu pamięci Poli Rajewicz. Dziewczyny miały łzy w oczach. Koledzy z przejęciem wymyślali coraz to nowe hipotezy. Najwięcej do powiedzenia miała jej współlokatorka, Kaśka Kula. Była tak zajęta relacjonowaniem każdego szczegółu z życia Poli, że nie dostrzegła idącego schodami Niedźwieckiego.

Komisarz kręcił się po instytucie już od kilku minut. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Wyglądał po prostu jak zaoczny student, który aby awansować w pracy, musi zdobyć przynajmniej tytuł doktora. Zdążył już odwiedzić akademik, w którym mieszkała Pola Rajewicz, a potem złożył wizytę dziekanowi wydziału. Pojawiła się nadzieja, że rozwiązanie tej sprawy jest tylko kwestią czasu.

Zbliżył się do drzwi na samym końcu korytarza. Z uwagą przeczytał kartkę wiszącą w ramce obok. Wszedł bez pukania.

– Dzień dobry – powiedział, rozglądając się łapczywie po małym gabinecie.

Doktor Kwietniowski z założonymi rękami stał przy oknie. Na widok intruza zareagował agresywnie.

– Pukanie już wyszło z mody? – zapytał. – Konsultacje dzisiaj odwołane.

– Zajmę tylko chwilę. – Niedźwiecki wyjął z kieszeni legitymację policyjną. – Chyba że woli pan przyjść do komendy. Jeśli tak, zostawię wezwanie.

– Przepraszam – doktor spuścił z tonu. – W czym mogę pomóc?

– Prowadzę śledztwo w sprawie śmierci Poli Rajewicz.

– Straszna historia. – Kwietniowski zrobił poważną minę. – Była jedną z wielu moich studentek. Pod koniec września zdawała egzamin poprawkowy. W gazetach piszą, że ktoś ją zamordował. – Pokręcił z niedowierzaniem głową. – Mam nadzieję, że policja szybko rozwiąże tę paskudną sprawę.

– Tak sądzę – uspokoił go Niedźwiecki.

W gabinecie zapanowała cisza. Słychać było, jak mole nadgryzają kolejne stroniczki wypełniających regały książek.

– Przyznam szczerze, że nie do końca rozumiem, dlaczego przyszedł pan akurat do mnie – przerwał milczenie Kwietniowski.

– Liczyłem, że pan znał ją lepiej niż inni wykładowcy. Przed wakacjami była u pana w domu. Doktor położył dłoń na czole. Zrobił zdziwioną minę.

– Nie przypominam sobie – powiedział powoli.

Niedźwiecki sięgnął do kieszeni. Wyjął zabezpieczony woreczkiem różowy telefon.

– To aparat ofiary – tłumaczył. – W historii modułu GPS została zapamiętana jedna z tras na Brochowie. Sprawdziliśmy ten adres.

Kwietniowski usiadł za biurkiem. Otworzył leżący na blacie notes, chaotycznie wertując kartki. Nagle pstryknął palcami na znak, że powraca mu pamięć.

– Faktycznie. Przyjechała pożyczka książkę do egzaminu poprawkowego.

– Tylko tyle?

– Pan coś sugeruje? – zapytał groźnie doktor.

– Skąd, po prostu taki fach. Muszę zadawać niewygodne pytania – westchnął komisarz.

– Dorwiczcie tego drania i dokopcie mu również w moim imieniu. – Doktor odzyskał pewność siebie.

– Drania? – Niedźwiecki zamrugał oczami. – Dlaczego myśli pan, że zrobił to mężczyzna?

Doktor prychnął ironicznie.

– Komisarzu, nie ze mną te sztuczki. Pan mnie podpuści, a ja powiem coś, czego jako osoba postronna nie mogłem wiedzieć. To dobre dla Ojca Mateusza.

– Przepraszam. Skrzywienie zawodowe. Wszędzie szukam drugiego dna, ale ma pan niezłe wycucie. – Niedźwiecki pokiwał głową. – Zdradzę panu jedną z tajemnic śledztwa. Mam nadzieję, że nie wyda mnie pan przed przełożonymi?

Kwietniowski przyłożył rękę do serca.

– Obiecuję – powiedział.

– W rzeczach Poli Rajewicz znaleźliśmy zużytą prezerwatywę. Trzymała ją w strunowym woreczku. Myślę, że miała romans z kimś, kogo później szantażowała. Zostawię telefon. Jeśli coś by pan sobie przypomniał, proszę dać znać.

Niedźwiecki wyszedł z budynku uczelni w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku. Gdy na podwórku instytutu dokręcał kluczem imbusowym lusterko w skuterze, wiedział, że Kwietniowski obserwuje go z okna gabinetu. Zadowolony z siebie, uruchomił elektryczny zapłon. Włączył się do ruchu na ulicy Uniwersyteckiej, przejechał Odrę mostem Pomorskim i pędząc po poniemieckiej kostce brukowej, dotarł na Łowiecką. Tam w Poradni Zdrowia Psychicznego miał umówione spotkanie z doktorem Zygmuntem Kutrzebą.

Komisarz niepewnie wszedł do holu niewielkiego budynku. Na szczęście pacjenci czekający na wizytę w niczym nie przypominali załogi dziwaków z *Lotu nad kukułczym gniazdem*. Nikt nie kołysał się w chorobie sieroczej, nikt nie mamrotał pod nosem tajemniczo brzmiących zdań. Żadnych tików, dzikiego wzroku ani nerwowego strzelania palcami. Siedzący naprzeciwko Niedźwieckiego facet miał dobrze skrojony garnitur i czytał jakieś pismo ekonomiczne. Stojąca

przy drzwiach młoda dziewczyna była ładna i wyglądała na zdruzoną. Przez moment zerknęła z zainteresowaniem na trzymanego przez komisarza czerwony kask. Trafnie jednak oceniła, że nowy przybysz nie jest właścicielem seksownego motocykla, ale lajzowatego skutera. Wróciła do stukania długimi paznokciami w ekran wielkiej komórki.

– To pan do mnie dzwonił przed południem? – W progu gabinetu pojawił się olbrzym w przykrótkim białym fartuchu.

– Tak – poderwał się z kanapy komisarz.

– Zapraszam do środka – mruknął lekarz, dając facetowi w garniturze znak, że musi jeszcze chwilę poczekać. – Co się stało z Polą Rajewicz? – zapytał, zamykając drzwi.

– Nie żyje – stwierdził lapidarnie Niedźwiecki. – Rano moi ludzie przeszukali jej pokój w akademiku i znaleźli to – rzekł komisarz i położył na biurku dwie recepty, nie czekając, aż doktor powie coś oryginalnego w stylu: „To straszne!” albo „Nie mogę w to uwierzyć”... – To pana pieczętka? – zapytał.

Kutrzeba milczał skonsternowany. Zazwyczaj w tym gabinecie to on zadawał pytania.

– Nawet po śmierci pacjentki obowiązuje mnie tajemnica lekarska – powiedział wreszcie, przekraczając sygnet błyszczący na wskazującym palcu. Doktor miał długi szpiczasty nos i powolne arystokratyczne ruchy. Spod za małego o dwa numery białego fartucha wystawały chude nogi odziane w czerwone lakierki.

– Poli można pomóc już tylko w jeden sposób: znajdując jej zabójcę – powiedział Niedźwiecki, wytrzymując groźne spojrzenie Kutrzeby.

– Namawia mnie pan do łamania prawa?

– Nie – uśmiechnął się komisarz. – Chciałem tylko zaoszczędzić nam trochę czasu. – Wyjął z kieszeni sztruksów złożoną na dwoje karteczkę. – Tu jest wezwanie na oficjalne przesłuchanie, które zwalnia pana z tajemnicy. Widzimy się jutro na placu Muzealnym.

– O ósmej rano... – Psychiatra popatrzył zdezorientowany na kartkę.

– Możemy to spotkanie przełożyć na teraz – uśmiechnął się Niedźwiecki. – Na pana terytorium.

Kutrzeba poprawił ułożoną z mocnych, czarnych włosów grzywę. Następnie kliknął kilka razy w klawiaturę komputera i obrócił monitor w stronę Niedźwieckiego.

– Tu są zapisy wszystkich wizyt Poli Rajewicz u mnie w gabinecie – mruknął, dotykając palcem ekranu. – Jak pan widzi, większość spotkań ograniczała się do wypisywania recept. Pola nie chciała się poddać terapii. Przychodziła tylko po leki.

– Co jej było?

– Cierpiała na cyklofrenię. Tę chorobę można opisać językiem laika jako lżejszą odmianę schizofrenii – dodał, widząc niepewną minę komisarza. – Zapadają na nią głównie kobiety. Jest często mylona z depresją. Człowiek ma wahania nastrojów, zaburzoną koncentrację, problemy ze snem, apetytem i odczuwaniem przyjemności, nie potrafi też odnaleźć się w otoczeniu.

Kutrzeba przerwał wyliczankę, patrząc czujnie na Niedźwieckiego.

– Coś nie tak, komisarzu? – zapytał.

– Nie, tylko po prostu... zastanawiam się...

– Zastanawia się pan, czy nie powinien zostać moim pacjentem? – uśmiechnął się psychiatra. – Spokojnie. Te objawy brzmią znajomo dla dwudziestu pięciu procent Polaków. Granica pomiędzy zwykłym przemęczeniem a chorobą jest cienka. Świat idzie do przodu szybciej niż nasza psychika. Różnica między pracownikiem korporacji a pacjentem, który siedzi w pokoju bez klamek, bo myśli, że potrafi latać, łatwo się zaciera.

– Czy Pola mogła być niebezpieczna dla otoczenia? – Niedźwiecki przerwał wykład lekarza, kierując rozmowę na właściwe tory.

– Nie wiem – przyznał szczerze Kutrzeba. – Ogromne piętno odcisnęła na niej śmierć ojca. Była bardzo inteligentna i potrafiła manipulować ludźmi. Łatwo było ją polubić, ale i znienawidzić. To wszystko, co wiem o Poli Rajewicz. – Doktor rozłożył ręce. – Byłem jej lekarzem, a nie psychoterapeutą. Nie zwierzała mi się. Traktowała mnie jak chodzący bloczek z receptami.

Czerwone lakierki poruszyły się nerwowo pod biurkiem. Psychiatry wstał, dając do zrozumienia, że rozmowa jest zakończona. Niedbale, zdecydowanie za słabo jak na swoją posturę, uściśnił dłoń Niedźwieckiego i zaprosił do gabinetu rozdrażnionego czekaniem faceta w garniturze. Komisarz wyszedł z budynku i głęboko odetchnął rześkim jesiennym powietrzem. Niewiele sobie po tej wizycie obiecywał i niestety się nie pomylił.

15 października

Rawa Ruska,

przejście graniczne

Osiemnaście pasów przeznaczonych do odprawy samochodów przykrywała wielka stalowa konstrukcja. Pod jej dachem słychać było gwar wszystkich słowiańskich języków. Szmuglerzy ze Wschodu udawali, że nie rozumieją po polsku. Pokazywali na migi, tłumacząc, że nie mają żadnych towarów do zadeklarowania, ale rewident celny Andrzej Czyż jedno wiedział na pewno: dopóki paczka fajek w Polsce kosztuje dychę, a na Ukrainie złotówkę, ludziom ufać nie można.

Zdjął czapkę z zielonym otokiem i podrapał się po głowie. Właśnie kończył kontrolować ostatni samochód. Od jutra przez dwa tygodnie urlopu będzie wolnym człowiekiem. W drodze do domu kupi kilka piwek. Będą doskonale pasowały do czekającej w lodówce golonki. Wizję sytego obiadu psuła mantra żony, która ciągle trula, że powinien schudnąć. Andrzej na marudzenie starej miał zawsze jedną i tę samą odpowiedź: po pierwsze, niech sama popatrzy w lustro, a po drugie, on jest celnikiem na przejściu w Hrebennem, a nie jakimś lalusem z *Mody na sukces*. Tutaj, w Rawie Ruskiej, gdzie stykały się terytoria Polski i Ukrainy, był panem i władcą sytuacji. Większość ludzi bała się spojrzeć mu w oczy. Turysta, który zdenerwował Czyża, mógł stracić kawałek wymarzonej wakacji oraz poznać budowę własnego samochodu w najdrobniejszych szczegółach.

Jego ostatni klient też nie mógł liczyć na łagodne traktowanie. Był to jakiś wymoczek, który wraz z żoną i dwójką synów jechał z Wrocławia do Odessy. Rodzina wyglądała niewinnie, ale olbrzymi camper z dwoma miejscami do spania, kuchenką, salonem oraz bagażnikiem rowerowym stanowił potencjalnie wspaniałą skrytkę na trefny towar.

Czyż uważał się za człowieka niezwykle przebiegłego. Z latarką w ręce przeglądał wszystkie zakamarki, obserwując przy tym bacznie kierowcę. Do najbardziej podejrzanych zaliczał tych, którzy próbowali być mili. Grzebiesz im w kosmetyczce, a oni uśmiechają się, jakby masowała ich japońska gejsza.

Józef Zapotoczny nie był ani miły, ani zdenerwowany. Wręczył Czyżowi paszporty całej rodziny i spokojnie czekał na koniec przeszukania. Celnik sprawdził każdą kanapę i podsufitkę, zaglądał nawet do lodówki. Wściekał się przy tym, że nigdy nie będzie go stać na takie auto. Łazienka w drewnie, dwa pokoiki, wygodne małżeńskie łóżko i podłączony do satelity plazmowy telewizor.

– Ile pali? – zapytał, oddając Zapotocznemu sprawdzone paszporty.

– Dziesięć trzeba liczyć, ale przy ekonomicznej jeździe można zejść poniżej ośmiu. – Facet miał inteligentcki wygląd, zadbane dłonie i pewne spojrzenie. Na przegubie błyskała stara nakręcana omega.

– Szerokiej drogi. – Czyż z zasalutował niedbale i dał sygnał do podniesienia szlabanu.

Camper majestatycznie ruszył do przodu. Celnik z ulgą wszedł do głównego gmachu budynku.

Zanim zejdzie ze zmiany, musi jeszcze zdać broń i wpisać się do systemu.

– Ach, żeby mieć takiego wypasionego furaka – mruknął pod nosem. Stara zrobiła ostatnio prawo jazdy, więc mogłaby prowadzić. On leżałby z tyłu, popijał piwko i gapił się na....

– O cholera! – krzyknął, stając na korytarzu.

Poczuł, jak krew uderza mu do skroni. Zaczął biec w kierunku drzwi. Fałdy tłuszczu unosiły go w górę, a później wbijały w ziemię. Dotarł do szlabanu i wycelował palcem w kierunku ukraińskiego celnika.

– Zatrzymajcie ten samochód na wrocławskich blachach! – rozkazał, dysząc jak rozpędzona lokomotywa.

16 października

Komenda Wojewódzka Policji

Niedźwiecki patrzył z niechęcią na swojego laptopa. Spróbował wpisać jeszcze „Rudy 102” małą literą i ze spacją po jedynce, ale na ekranie pojawił się znajomy, potwornie brzmiący w dzisiejszym świecie komunikat „Złe hasło, spróbuj ponownie”. Nie pomógł telefon do żony ani grzebanie w starych notesach. Komisarzowi pozostało czekanie, aż minie wstrząs, którego doznał rano, gdy poszedł przed pracą pobiegać. Zaskoczony nadmiarem szczęścia organizm zareagował skurczami w łydkach, a dotleniony mózg wymazał z pamięci kilka istotnych ciągów liczbowych, takich jak pin do karty, hasło do poczty i kod do domofonu. Stał na palcach przy ozdobionej plakatem z filmu *Wściekle psy* kasie pancерnej. Włączył zasilanie schowanego na górze kasetowego magnetofonu typu jamnik. Ustawił częstotliwość na radiową Dwójkę. Z miniaturowych głośników rozległy się dźwięki koncertu skrzypcowego D-dur Piotra Czajkowskiego. Komisarz nie lubił muzyki klasycznej, ale to była jedyna stacja, którą mógł odbierać. Komenda Wojewódzka w ramach oszczędności nie płaciła abonamentu RTV, więc zgodnie z przepisami należało w odbiornikach zdemontować anteny.

Przy dźwiękach zawodzących skrzypiec popatrzył na odłączący ze ściany tynk, sterczący kontakt i wytartą klepkę podłogową. Wisząca na gwoździu mapa pamiętała czasy, kiedy Polska podzielona była na czterdzieści dziewięć województw. Był początkujący handlowiec ma lepsze warunki do pracy – może liczyć na służbową kawę, obrotowe krzesło z podpórkami i papier w kserokopiarce. Faceci z orzełkami na czapkach musieli sobie kupować nawet kabury, bo te z przydziału rozlatywały się w rękach.

Kiedyś Niedźwiecki trzymał w gabinecie prywatne książki, ale pewnego dnia zabrał je wszystkie do domu. Prowadził wtedy śledztwo przeciwko bandytom, którzy pobili ze skutkiem śmiertelnym kibica Arki Gdynia. Policja złapała jednego z morderców, ten jednak nie chciał wydać współników. Po trzech dniach przesłuchania chłopak wreszcie puścił farbę. Podał ksywy uczestniczących w bójce kolegów.

– Palmer i Martin – powiedział, kiwając się na krześle.

– Już gdzieś o nich słyszałem – notował zadowolony Niedźwiecki.

Jednak kiedy chłopak wrócił do aresztu, komisarz ze wściekłością podał zeznanie. Przy party do muru cwaniak przeczytał nazwiska z grzbietów stojących na półce kryminalów. W tym przypadku inspektor Kolasa miał rację. Przesłuchiwanego nic nie powinno rozpraszać.

Punktualnie o godzinie dziewiątej rozległo się pukanie do drzwi. Był to doktor Kwietniowski. Zadzwonił poprzedniego wieczora i poprosił o spotkanie.

– Można? – zapytał skromnie.

– Zapraszam. – Komisarz podsunął mu krzesło, a sam rozsiadł się za biurkiem.

Doktor miał za sobą kiepską noc. Rano zaciął się kilka razy przy goleniu. Szyję i brodę ozdabiała małe zakrwawione plasterki. Ubrany był jednak bardzo starannie. Miał na sobie koszulę

w drobną pomarańczową kratkę, brązową marynarkę i klasyczne levisy.

– Nie powiedziałem panu wszystkiego – zaczął, kładąc wypielęgnowane dłonie na biurku.

Niedźwiecki wyłączył radio i sięgnął do szuflady po cyfrowy dyktafon. Na szczęście to świętstwo działało bez kodów oraz pinów.

– Wie pan, że wykładowcy mają spore powodzenie u studentek – układał swoją opowieść Kwietniowski. – Zaufałem tej dziewczynie – mówił cicho, ze wstydem. – Była taka bezpośrednia. Zrobiłem błąd.

– Czy miał pan romans z ofiarą? – zapytał wprost komisarz. Zeznania policyjne są nauką ścisłą. Jeśli jest w nich pole do interpretacji, można zapomnieć o wniesieniu sprawy do sądu.

– Z żoną ostatnio nie układało mi się najlepiej. – Doktor dotknął błyszczącej na serdecznym palcu obrączki, jakby zaczęła go parzyć. – Pola Rajewicz dała mi jasno do zrozumienia, że liczy na coś więcej.

– Miał pan romans? – powtórzył komisarz. – Tak czy nie?

– Raz się z nią przespałem – tłumaczył Kwietniowski.

– Dlaczego pan mi to mówi? – Niedźwiecki patrzył z zainteresowaniem na bladą twarz doktora.

– Bo i tak byście do wszystkiego doszli. Ta zużyta prezerwatywa, o której pan wspominał, należała do mnie.

– Pola pana szantażowała?

– Tak – Doktor zacisnął pięści, aż zbieleły mu kłykie.

– Chciała pieniędzy?

– Zemsty. Wiem, kto ją zabił.

Niedźwiecki wziął do ręki telefon.

– Opowie pan wszystko przy prokuratorze. Dobrze?

Kwietniowski gorliwie pokiywał głową.

– Mam tylko jeden warunek. Ani władze uczelni, ani żona nie mogą się o niczym dowiedzieć. Jestem poważnym, szanowanym człowiekiem.

– Jeśli nie popełnił pan przestępstwa, żadne informacje nie wyjdą poza ten pokój – uspokoił go Niedźwiecki.

17 października

Biestrzyków pod Wrocławiem

Padał deszcz. Zatkane liśćmi studzienki kanalizacyjne nie radziły sobie z nadmiarem wody. Na chodnikach i ulicach tworzyły się głębokie po kostki kałuże. Było jeszcze ciemno, gdy pod dom mecenasa Dulkiwicza podjechały dwa samochody. W radiowozie siedzieli zaspany mundurowy i technik kryminalistyczny, a cywilnym oplem corsą przyjechali komisarz Niedźwiecki oraz ziewający żałośnie aspirant Zaręba. Każdy z nich miał przypiętą do paska włączoną na piąte pasmo służbową krótkofalówkę.

Sierżant Cywka podszedł do wysokiej, zrobionej z rzeźbionych prętów bramy i nacisnął dzwonek. Nad obiektywem wideofonu zaświeciła się czerwona lampka.

– Co jest? – zapytał zaspany Dulkiwicz.

– Mamy nakaz przeszukania. – Niedźwiecki wyszedł zza pleców policjanta, kierując do kamery opatrzonej pieczętkami arkusz papieru. – Prowadzimy śledztwo w sprawie śmierci Poli Rajewicz.

– A, to ty, Niedźwiedź – mruknął mecenas. – Wchodźcie.

Elektryczna furtka otworzyła się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Zanim policjanci doszli do drzwi olbrzymiej rezydencji, minęła co najmniej minuta. Dulkiwicz zdążył w tym czasie zapiąć pod szyję jedwabną pidżamę, włożyć kapcie oraz zapalić grube na dwa palce cygaro. Wyglądał na zdenerwowanego, ale trzywał chłodny dystans i starał się zachować spokój. Mógł przypuszczać, że komisarz Niedźwiecki włączy go do kręgu podejrzanym. Nie spodziewał się jednak, że nastąpi to tak szybko. Żona Dulkiwicza, nie zważając na skandalicznie wczesną porę, nalała sobie natomiast pełną po brzegi szklaneczkę likieru pomarańczowego i usiadła przy barku na błyszczącym hokerze, zakładając nogę na nogę. Przez połę atlasowego szlafroka było wyraźnie widać, jak jej wyrzeźbione łydki poruszają się w nerwowym tiku.

– Co ty kombinujesz, Niedźwiedź? – zapytał chłodnym tonem mecenas, gdy reszta niezapowiedzianych gości założyła gumowe rękawiczki i rozeszła się po domu oraz stajni. – Cierpisz na bezsenność czy to jakaś zemsta za sprawę Gorbaczewskiego?

– Wiemy, że miałeś konflikt z dziewczyną. Groziła ci śmiercią. Przesłuchaliśmy świadka, który twierdzi, że chciałeś ją uciszyć.

Dulkiwicz przegryzł końcówkę cygara.

– Ten niewydarzony doktor Kwietniowski był u was? – zapytał z ironią w głosie.

– A co powiesz na zeznanie woźnej z Dwudziestolatki? – dociekał komisarz, starając się udowodnić, że jest doskonale przygotowany do tej rozmowy. – Niedawno Pola poniżyła pod akademikiem jakiegoś faceta w marynarce z amerykańską flagą na klapach. Widziałeś kiedyś taką kurteczkę?

– Spotkałem się z Rajewicz, to prawda. – Mecenas machnął ręką. – Trochę mi załaza za skórę, ale jakbym zabijał każdego, kogo nie lubię, Wrocław byłby bezludną wyspą, a twoja Julia zostałaby wdową.

Otoczony aureolą dymu, zapadł się w skórzaną kanapie i zaśpiewał pod nosem piosenkę do słów Juliana Tuwima *Całujcie mnie wszyscy w dupę*. Ostatnie słowa komisarza starły jednak z jego twarzy zawodową pewność i arogancję.

– Można wiedzieć, jak zginęła? – zapytał wreszcie, gdy znudziło mu się ignorowanie niezapowiedzianych gości.

– Truczina – odpowiedział cierpliwie Niedźwiecki.

– Fjuuu – cmoknął z uznaniem gospodarz. – Jak u Agathy Christie. Arszenik?

– Nie – zaprzeczył komisarz, patrząc w oczy Dulkiewicza. – Fentanyl – dodał ze spokojem.

Dulkiewicz zbłądł. Wstał z kanapy i popatrzył na policjanta zdezorientowany.

– To środek przeciwbólowy – powiedział.

Komisarz pokiwał głową.

– I tak się nieszczęśliwie składa, że aspirant Zaręba dotarł do zrealizowanej na twoje nazwisko recepty.

Mecenas zaciągnął się cygarem tak głęboko, aż jego pulchne policzki przybrały niezdrowy odcień.

– Kupiłem trzy ampułki przed wakacjami. Jeden z moich koni złamał kość udową.

– Podałęś mu ten lek?

– Platon zdechł podczas operacji, ale to pewnie też już wiecie – westchnął Dulkiewicz. – Wszystko jest legalne – tłumaczył gorliwie. – Chyba nie sądzisz, że byłbym tak dumny, aby wpompować do świństwo jakiejś gówniarze do krwi?

Niedźwiecki nie bawił się w spekulacje. Zdjął z paska krótkofalówkę i nacisnął czarny guzik.

– Znalazłeś już apteczkę? – zapytał. – Jeśli tak, to przynieś ją tutaj natychmiast.

Minutę później do salonu wszedł aspirant Zaręba. W ręku trzymał sporych rozmiarów skajową torbę z wyhaftowanym wizerunkiem konia po jednej stronie i czerwonym krzyżem po drugiej.

– Pokaże nam pan ten lek? – zapytał ostrożnie komisarz.

Mecenas otworzył zamki wyjął owinięty folią bąbelkową pakunek. Wprawnym ruchem zdjął gumkę recepturkę i zbłądł. W zawiniątku były tylko dwie fiołki.

– Jednej brakuje – zauważył inteligentnie Zaręba.

– Niedawno miałem włamanie. Ktoś musiał ją ukraść. – Dulkiewiczowi pociemniało przed oczami. Czuł się jak opleciona pajęczyną mucha.

– Zgłosił pan to włamanie na policję? – dopytywał komisarz.

– Po jakiego grzyba!?! – krzyknął histerycznie. – Zginęło tylko kilka pierdół ze stajni. Nie wiedziałem, że fiołka też.

– No to mamy problem. – Niedźwiecki popatrzył wymownie na kajdanki przypięte do skórzanego paska aspiranta Zaręby.

– Może wy, bo ja na pewno nie. – Dulkiewicz odzyskał spokój ducha. – Wiem, kiedy Pola została zabita. Czytałem w gazetach. Tak się składa, że w piątek między dziewiętnastą a dwudziestą pierwszą byłem w domu.

– I potwierdzi to pana żona? – zapytał ironicznie komisarz. Wiedział, że Dulkiewicz nie podda

się nawet wówczas, gdy pluton egzekucyjny będzie go przywiązywał do słupka.

– Oczywiście – rzekł mecenas, prostując ramiona. – Pamiętasz, Mireczko? Graliśmy wtedy w bilard.

W salonie zapanowała cisza. Nawet aspirant Zaręba przestał ziewać. Wszyscy z zainteresowaniem popatrzyli na siedzącą przy barku piersiastą blondynkę.

– A potem poszliśmy do sauny – dodał Duliewicz, patrząc na anielsko piękną twarz żony. – No, powiedz panom policjantom, jakbyło.

Mirka poprawiła rozchylone poły szlafroka. Dopiła resztki pomarańczowego likieru i wbiła wzrok w białą jak śnieg posadzkę.

19 października

Brochów

Oskar wszedł do domu, trzymając pod pachą stos kupionych w kiosku gazet. Wszystkie dzienniki na pierwszej stronie pisały o znalezieniu mordercy studentki. Redaktorzy prześcigali się w szokujących tytułach i życzyli Jackowi Dulkiwiczowi wyroku dożywocia w więzieniu w zastrzyżym rygorze. Jeden z tabloidów wykorzystał znalezione na portalu społecznościowym zdjęcie uśmiechniętego mecenasa pozującego na tle swojego rancza. Opublikowaną pod tekstem fotografię podpisano finezyjnie: „Bandyta w todzie już nigdy nie zobaczy tej posiadłości. Co jeszcze udowodnią mu śledczy?”.

Doktor przeczytał wszystkie artykuły z największą uwagą, przekonując się, że Niedźwiecki dotrzymał słowa. Kwietniowski nie został w żaden sposób połączony ze sprawą. W imieniu policji mówił pięknie i kwiecicie sam inspektor Henry Kolasa. Podkreślał, że sprawę wyjątkowo obrzydliwego morderstwa rozwiązano dzięki doniesieniom anonimowego informatora oraz sprawnej akcji, którą on osobiście koordynował. Dowody przeciw mecenasowi są na tyle silne, że proces powinien ruszyć jeszcze w tym roku. Dulkiwicz myślał, że jest bezkarny. Dlatego zabił zropaczoną dziewczynę, która groziła mu śmiercią oraz zniszczeniem kariery.

Położył wszystkie gazety obok kominika i przez połączony z salonem taras wyszedł do ogrodu. W sobotę uszczelnił samoprzylepną gąbką tylne drzwi i wszystkie okna. Trzeba szanować energię oraz własny portfel. Jeśli będzie ładna pogoda, wyczyści też rynny i zbierze zalegające wokół jabłonek owoce. Ostatnio miał mało czasu na zajmowanie się domem.

Wiatr wiał coraz mocniej. Liście spadały z drzew, a ptaki usiłowały schować się przed podmuchami w gęstych gałęziach. Oskar otulony ciepłym wełnianym swetrem wciągnął chłodne powietrze do płuc. Może wyśle mecenasowi na święta kilka kilogramów cebuli do więzienia? Cele są podobno bardzo wilgotne, a ogrzewanie liche. Od tego już tylko krok do gruźlicy. Na dobre odżywianie Dulkiwicz też nie ma co liczyć. Jego żołądek nieprędko przyzwyczai się do topionych serków, najtańszego salcesonu i kawy zbożowej.

Starannie wytrzeptał buty z resztek ziemi i wszedł do ciepłego, przytulnego salonu. Po kuchni krzątała się Ada. Na wielkiej teflonowej patelni skwierczały otoczone panierką kotlety schabowe.

– Cześć. – Pocałował ją w szyję. – Nie wiedziałem, że już jesteś.

– Spałam na gorze – powiedziała, dolewając oleju.

– Wzięłaś urlop? – zapytał podejrzliwie Oskar.

– Zwolniłam się. Głowa mnie boli. – Kotlety zarumieniły się na złocisty kolor. Ada wyłączyła kuchenkę elektryczną. – Słyszałam, że złapali mordercę tej biednej dziewczyny. – Zdjęła fartuch i oparła się o blat. – Tak niedawno była u nas na grillu. Była pełna życia... – Ada wyglądała, jakby miała się zaraz rozplakać.

– Straszna historia – uciął temat Oskar. – Będzie jakaś surówka?

– Marchewka – odpowiedziała Kwietniowska, błędząc gdzieś daleko myślami. – W gazetach

piszą, że mordercę pomógł złapać anonimowy świadek – dodała, odcedzając ziemniaki.

Z zalanego wrzątkiem zlewu buchnęła para. Lekko przypalone kotlety wylądowały na talerzach.

– Możliwe. Co za różnica. – Oskar nie miał ochoty deliberować przy jedzeniu o rozwiązany już problemie. – Smacznego – dodał, biorąc do rąk sztućce.

Ada kiwnęła głową. Jadła mały mi kęsami, bez apetytu. Mąż popatrzył na nią z troską.

– Wzięłaś jakąś tabletkę? – zapytał, parząc usta gorącym ziemniakiem.

– Trzy. Nic nie pomogły – powiedziała, odkładając widelec. – Pójdę się jeszcze położyć.

– Jasne. – Oskar łobuzersko zmrużył oczy. – Może wpadnę za chwilę, pomyślimy o jakimś masażu.

– Jak chcesz. – Wzruszyła ramionami, znikając na schodach.

Kwietniowski odłożył naczynia do zlewu. Przymknął oczy, rozkoszując się spokojem, którego ostatnio bardzo mu brakowało. Pomyślał o Adzie i przypomniał sobie czasy, kiedy najlepszym lekarstwem na jej migreny był seks. Umył w łazience zęby, włożył obcisłą białą koszulkę i skropiwszy skórę drogimi perfumami, które dostał na urodziny, wszedł do sypialni. Żona siedziała na gładko pościelonym łóżku z kolanami wtulonymi pod brodę. W rękę trzymała podniszczony notes.

– Co ty, czytasz moje zapiski? – zapytał zaskoczony Kwietniowski.

Ten zeszyt trzymał od lat w niezamykanej szufladzie nocnego stolika. Nie było w nim żadnych tajemnic. Zwykłe zapiski i sprawy dnia codziennego. Daty wymiany oleju w aucie, wydatki na ogrzewanie, zobowiązania towarzyskie.

– Po co ona wtedy przyszła do naszego domu? – dociekała żona, patrząc beznamiętnie na wymiętą okładkę.

– Oddać książkę – warknął zbity z tropu Oskar. – To chyba jasne.

Wstała gwałtownie z łóżka i podesunęła mu notes pod brodę.

– Tutaj zapisujesz wszystkie pożyczone książki, płyty i pieniądze. Prawda? To dlaczego nie widzę wpisu, że dałeś coś swojej studentce? – krzyknęła, nie licząc na jakąkolwiek sensowną odpowiedź.

Oskar, zaskoczony tym nagłym wybuchem, odruchowo cofnął się w kierunku drzwi.

– A, więc o to ci chodzi – bagatelizował rozmowę. – Gratuluję! Wpadłaś na trop spiskowej teorii dziejów. Zapomniałem wpisać i tyle – dodał ze spokojem, patrząc z zażenowaniem na histerię żony. Ada podparła się pod boki.

– Tak? – zapytała. – A dlaczego nie oddała ci tej książki na uczelni, tylko przyszła do nas do domu?

– Nie wiem. Może się we mnie zakochała. Zobaczyła, że mam szczęśliwą rodzinę, i odpuściła dalsze podchody. Koniec tematu!

– Nic z tego! – krzyknęła Kwietniowska, rzucając zeszytem. – Skąd ona tak dobrze znała rozkład naszego mieszkania? Skąd wiedziała, gdzie jest toaleta? No skąd? Nie jestem idiotką! Wiem, że pieprzyłeś tę biedną dziewczynę!

19 października

Komenda Wojewódzka Policji

W znajdującej się na parterze przestronnej stołówce pachniało smażoną wątrobką. Przy barze kłębił się tłum ogolonych na zero ponurych facetów. Niektórzy mieli przy piętą do paska broń, inni przewieszane na drobnych łańcuszkach odznaki. Pracujący na usługach komendy dietyk dbał, aby codzienne porcje obiadowe dawały policjantom energię do biegania za bandytami. Na osłodę ciężkiego życia czekał w przeszkłonej lodówce serniczek Jakszaleć, to szaleć.

Niedźwiecki nie szanował wartości odżywczych podrobów. Kojarzyły mu się z codziennymi raportami patologów. Woda w płucach, nóż w nerkach, trucizna w wątrobie. Na szczęście stołówkowy jadłospis zawierał także dania jarskie. Dlatego komisarz pożerał właśnie ochoczo z obłupanego talerza drugą już porcję placków ziemniaczanych.

Naprzeciwko niego siedział zgarbiony Mikołaj Rapacki. Pił bez przekonania kompot śliwkowy, bawiąc się stojącym w środku stołu sztucznym kwiatkiem. Prokurator miał przy pudrowane oko, ale makijaż nie był w stanie zasłonić potężnego lima wokół prawej skroni. Wczoraj w nocy udało mu się zasnąć i Tymek wyczuł to doskonale. Od razu zaczął płakać. Biegając do łóżeczka syna, Rapacki wyrznął głową o framugę tak mocno, że zobaczył w pełnej krasie całą galaktykę. Zanim doszedł do siebie, dostał jeszcze ochrzan od Emilli, że przeklina przy dziecku. Skończyło się awanturą. Oczywiście przy Tymku.

– Lodu sobie przyłóż – poradził Niedźwiecki, patrząc na niego z troską, po czym połknął kolejny kęs tłustej pulpy.

– A ty myślisz, że co ja robiłem przez pół nocy? – zdenerwował się prokurator. – Powieki chyba odmroziłem.

– Na pewno nie jesteś głodny?

– Wódki bym się napił – mruknął Rapacki, prostując zagięcia na ceratowym obrusie. – Jak ja dzisiaj z tą pipą pójdę do sądu? – Wyjął ze skórzanej torby przeciwsłoneczne okulary Ray-Bana i przetarł szklą rękawem zaprojektowane przez Ralpha Laurena koszuli.

– Powiem, że mam zapalenie spojówek – obwieścił.

– Tylko nie kombinuj za dużo – ostrzegł go komisarz.

– Dulkwicz się nie wywinie. Mamy narzędzie zbrodni, motyw, sposobność oraz brak alibi. Każdy sędzia wyśle go na sanki. Trzy miesiące aresztu ma jak w banku. My w tym czasie poskładamy do kupy całe oskarżenie.

Niedźwiecki zawahał się. Odłożył widelec na upačkany śmietaną talerz i popatrzył z powagą na skrytego za wielkimi okularami prokuratora.

– Coś ci opowiem o Dulkwiczu – powiedział, wycierając usta. – Pięć lat temu jakiś lepszy cwaniak wyłudził dotacje z Unii Europejskiej. Wiesz jak? Gościu miał na PlayStation grę strategiczną, która polegała na prowadzeniu farmy. Złożył wniosek o dopłatę na wszystkie znajdujące się tam krowy. Zapomniał tylko dodać, że zwierzęta są wirtualne. Zanim urzędnicy się

w tym połapali, przelali kasę na jego konto. Sprawa oczywiście trafiła do sądu. Choć koledzy kręcili głowami, Dulkiwicz podjął się obrony samozwańczego farmera.

– Nie mów, że wygrał? – zapytał Rapacki, bezmyślnie wachając sztuczny kwiatek.

Niedźwiecki odniósł do okienka pusty talerz i kontynuował opowieść.

– Dulkiwicz przeczytał ponad cztery tysiące stron unijnych dyrektyw, a potem udowodnił, że nigdzie nie ma zapisu, który jednoznacznie mówi, że krowy mają być prawdziwe: z krwi, szynki i kości.

– No to grubo – pokłiwał głową prokurator.

– Więc powiedz mi, dlaczego taki cwaniak dał się tak łatwo podejść?

– Nie wiem, ale to nie nasz problem.

– Moty w też ma słaby – dodał Niedźwiecki.

– Pola Rajewicz groziła mu śmiercią, a Dulkiwicza poniosło. I jeszcze czeka go rozwód. Żona nie zamierza pójść za nim w ogień. – Rapackiemu wyraźnie poprawił się humor. – Będzie trochę samotna w tym domu jak serialowej *Dynastii*.

Niedźwiecki pożegnał się z egocentrycznym prokuratorem i ruszył na kolejne trudne spotkanie. Henry Kolasa od rana nosił głowę tak wysoko, że dotykał potylicą pleców. Każdy jego ruch śledzony był przez czujne oko kamery ekipy TVN24. Dziennikarze realizowali dokument o angielskim gliniarzu polskiego pochodzenia, który odnosi sukcesy w służbie dla kraju przodków. Kolasa opowiadał o sprawie śmierci Poli Rajewicz, pokazywał pamiątki po swojej matce i tłumaczył, na czym polega wyższość Scotland Yardu nad polską policją.

Gdy przyszedł Niedźwiecki, inspektor stał już w progu swojego gabinetu. Pograżony był w rozmowie z dziennikarzem, która wyglądała w ten sposób, że Kolasa gadał, a pan redaktor milczał i z uznaniem kiwał głową. Na szczęście niewielka reporterska kamera była już schowana, a długowłose dźwiękowiec związał kable mikroportów. Zdjęcia dobiegły końca.

– Dam znać, kiedy pójdzie materiał – obiecał reporter, poganiając wzrokiem ekipę. Liczył, że przed zmrokiem zdąży dojechać jeszcze pod dom mordercy w prawniczej todze i namówić na krótkie zwierzenia jego atrakcyjną żonę.

– Nie lubię błyszczeć w blasku fleszy – tłumaczył inspektor, gdy goście z TVN zniknęli na schodach – ale trzeba dobrze żyć z dokumentalistami naszych czasów. – Zamyślił się chwilę, szukając zgrabnego porównania. – Nie byłoby legendy Dywizjonu 303, gdyby nie napisał o nim Arkady Fiedler – rzekł, przepuszczając Niedźwieckiego w drzwiach swojego gabinetu.

Siedząca w klatce papuga entuzjastycznie zareagowała na widok Kolasy. Inspektor nakarmił ptaszysko ziarnem, po czym podszedł do drewnianej szafy, w której trzymał galowy mundur oraz sześć par takich samych błyszczących butów. Dzisiaj leżały tam jeszcze dwa niewielkie malowidła.

– Zobacz, co przechwyciła nasza straż celna – powiedział, kładąc na stole konferencyjnym pstrokate płótna.

– To są prace Nikodema Patockiego! – krzyknął Niedźwiecki. Przed nim leżały dwa olejne, zatytułowane w sposób typowy dla niezującego malarza, obrazy: *Dorabiający na bramce święty Piotr* oraz *Maria Magdalena Dworcowa*.

– Celnicy znaleźli to w samochodzie jadącego na Ukrainę turysty. Facet co jakiś czas dorabiał sobie, przemycając przedwojenne grafiki i obrazy kupione bez rachunku. Wiesz, jaki był bezczelny?

– No...? – Niedźwiecki bezradnie rozłożył ręce.

– Te obrazki stanowiły wystrój jego campera. Celnicy szukali w akumulatorze i kole zapasowym, a kontrabanda była tuż pod ich nosem. Facet oprawiał płótna w tanie ramy i wieszal na widoku. Nikomu nie przyszło do głowy, że ma to wartość większą niż kilka euro.

– Sprytne – uśmiechnął się komisarz. – Ktoś już go przesłuchiwał?

– W Białej Podlaskiej solidnie go przemaglowali. Niestety z naszą sprawą nie ma to nic wspólnego. Gość nigdy na oczy nie widział Patockiego.

– W takim razie dlaczego o tym teraz rozmawiamy? – zapytał Niedźwiecki najłagodniej jak potrafił.

Kolasa wyjął ze skórzanej torby laptopa i położył go na stole. Chwilę później komisarz z uczuciem niedowierzania wpatrywał się w przygotowaną w PowerPointcie prezentację.

– Przyjąłem pewną hipotezę i ty pomożesz mi dowieść, że jest słuszna – tłumaczył inspektor, wodząc po ekranie długim jak wskaźnik paluchem. – Punktem wyjścia jest informacja, że dom Patockich był na sprzedaż. To może oznaczać, że nasz malarz miał kłopoty finansowe. Spłacał swoje długi w obrazach, ale wierzycielowi wciąż było mało, dlatego zabił Patockiego. Ceny prac artystów po śmierci rosną co najmniej dwukrotnie. Trzeba sprawdzić, kto jest aktualnie posiadaczem największej liczby jego płócien.

– Podpytam trochę – powiedział bez przekonania Niedźwiecki.

– Do roboty, za tydzień będzie po sprawie. – Kolasa stanął za biurkiem i przymierzył jeden z obrazków do pustej ściany. – Świetna kompozycja, doskonale oddane emocje na twarzach modeli – cmoknął z fałszywym znawstwem.

– Jak powiedziałeś? – Podniecony Niedźwiecki aż podskoczył.

– Transcendentalna prawda w opowieści o ludzkim życiu i wierze – głądził inspektor, coraz bardziej wczuwając się w rolę krytyka sztuki.

– Modele! – Komisarz dotknął palcem płótna tak gwałtownie, że o mało nie pękło. – Przecież to jest twarz pułkownika Jaszczaka!

21 października

Instytut Historii Kultury

Oskar Kwietniowski starannie zamknął dom. Włożył klucze do kieszeni marynarki. Podeszedł do stojącego na podjeździe błyszczącego czy stością i woskiem forda focusa i wrzucił do bagażnika torbę z pierwszym w tym roku sprawdzonym kolokwium. Mimo że zmienił kryteria punktowania, połowa grupy dostała ocenę niedostateczną. Kilka osób władało tak fatalnym stylem, że należałoby cofnąć je do podstawówki. Poziom inteligencji studentów sięgał dna. Pozostawało mu tylko liczyć, że na akademii medycznej jest choćby ciut lepiej. Kto chciałby być leczony przez człowieka, który podczas studiów dorabiał w pizzerii albo wołał pić wódkę zamiast się uczyć? Pograżony w ponurych myślach, ostrożnie otworzył bramę wjazdową. Nie chciał pobrudzić białej koszuli i drogiej marynarki. Był starannie ogolony, buty miał wypastowane na wysoki połysk. Dobra mina do złej gry – oto plan na ten dzień.

– Co pan taki elegancki, doktorze? – zagadnęła sąsiadka zza płotu. Jej mąż pływał na statkach. Sensem życia kobiety było sprzątanie domu i pilnowanie, aby wszystkie źdźbła w przydomowym trawniku były dokładnie tej samej wysokości.

– Czasami trzeba, pani Chawrylakowa – uśmiechnął się Kwietniowski, wsiadając do auta.

– Żona znowu wyjechała z Karolkiem na wakacje? Widziałam, jak wczoraj pakowała walizki do taksówki – dociekała wścibska kobieta, opierając się o grabie, którymi sprzątała zeschnięte liście.

– Kilka dni dodatkowego urlopu – uciął temat Kwietniowski i przekręcił kluczyk w stacyjce.

Ruszył z piskiem opon, nie zamykając bramy. Przy tak czujnych sąsiadach nawet Arsène Lupin nie miałby szans ukraść choćby łyżeczki.

Przejechał przez tory kolejowe, ignorując znak STOP. Minął ulicę Buforową, potem wjechał na Hubską. Po prawej stronie błyszczał czy stością świeżo wyremontowany komisariat policyjnej sekcji ruchu drogowego. Po drugiej stronie ulicy w legendarnej knajpie Madness trwało jeszcze after party. Zmęczeni całonocnym imprezowaniem chuligani leczyli kaca piwem z plastikowych kubków i słuchali muzyki ska.

Auto podskakiwało na koczach łbach. Nie było sensu jechać szybciej niż pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Żeby zagłuszyć trzeszczące na nierównościach plastiki, Kwietniowski włączył radio. W Ramie leciało jakieś reggae. Szybko zmienił stację. Wesołe piosenki zdecydowanie nie pasowały do jego nastroju. Lepszy byłby marsz pogrzebowy albo ścieżka dźwiękowa z filmu *Requiem dla snu*. Od kiedy Ada nabrała pewności, że miał romans z Polą Rajewicz, nie dało się z nią wytrzymać. Sugerowała nawet, że mógł maczać palce w zabójstwie dziewczyny. Zabrała Karola i wyprowadziła się do matki. Groziła pozewm rozwodowym. Oskar nigdy nie widział jej tak wściekłej.

Walnął pięścią w kierownicę i klaksonem przegonił z pasów na placu Dominikańskim jakąś parę dzieciaków. Objechał deptak od strony ulicy Szewskiej i zaparkował auto na podwórku pod samym Instytutem Historii Kultury. Prawo do zostawiania samochodów na terenie uczelni mieli tylko wykładowcy. Zmotoryzowani studenci stawali przed trudnym wzywaniem logistycznym:

jak w centrum Wrocławia znaleźć kawalek wolnej i w dodatku bezpłatnej powierzchni parkingowej?

Gdy wszedł do instytutu, poczuł dziwny chłód. Studenci konspiracyjnie szeptali coś między sobą. Zaledwie kilka osób przywitało się z nim niedbale. Poczł, że traci pewność siebie. Przycisnął torbę do piersi i ruszył na górę po schodach. Na pierwszym piętrze prawie wpadł na dziekana.

– Dzień dobry, profeszorze! – krzyknął Kwietniowski.

– Witam. – Przełożony jak zwykle nie podał mu ręki. Sztywno kiwnął głową, patrząc gdzieś w bok – Musimy porozmawiać u mnie w gabinecie – oświadczył.

– Coś się stało? – zapytał zbity z tropu Oskar.

– Chyba już wszyscy wiedzą, z wyjątkiem pana. – Profesor Jarosław Witucki wyciągnął z teczki odręcznie napisaną kartkę. – Taki list przyszedł dziś na adres dziekanatu oraz samorządu studenckiego.

Kwietniowski wziął do ręki wymiętolony świstek formatu A5. Tekst był krótki, ale każda sylaba bolała jak wbita pod paznokcie szpilką.

„Ja, Pola Rajewicz, oświadczam, że zostałam zgwałcona przez doktora Oskara Kwietniowskiego w nocy z dziewiętnastego na dwudziestego czerwca. Doktor pod nieobecność żony zwabił mnie do domu i zmusił trzykrotnie do stosunku oraz seksu oralnego...”.

– Bezczelna prowokacja! – bronił się Kwietniowski, czując, jak krew uderza mu do głowy. – To wysrane z palca kłamstwo! – krzyczał. – Wiara w to, że wraz ze śmiercią dziewczyny cała sprawa pójdzie w zapomnienie, ostatecznie legła w gruzach.

– To nie miejsce na takie rozmowy – dziekan ściszył głos. – Komisja dyscyplinarna postanowi, co dalej z panem zrobić. Musimy też opracować jakieś wspólne oświadczenie na wypadek, gdyby o wszystkim dowiedziała się prasa. Proszę napisać podanie o urlop. Na razie do końca ty godnia – zadysonował Witucki, chowając kartkę do torby.

24 października

Ulica Wandy

Niedźwiecki pędził ulicą Borowską, mijając mało znany cmentarz na Skowroniej Górze. W czasie wojny tuż obok przytulnego parku chowano tu żołnierzy Armii Czerwonej poległych na terenach Festung Breslau. O tajemnicy bezimiennych grobów opowiedziała Niedźwieckiemu babcia, która przyjechała do Wrocławia z drugim transportem przesiedleńców. Wtedy grasowały tutaj założone przez Heinricha Himmlera bandy Werwofu. Sabotażyści zostali za linią frontu z własnej woli. Ale to nie z ich rąk ginęli radzieccy „bohaterowie” spoczywający w skromnych mogiłach. Żołnierze ci zostali rozstrzelani przez swoich oficerów – w ten sposób dowódcy walczyli z plagą kradzieży i gwałtów na miejscowej ludności.

Komisarz zaparkował skuter na ruchliwej ulicy Powstańców Śląskich pod sklepem spożywczym Alf. Przeszedł przez olbrzymią bramę, nad którą znajdowała się wielka płaskorzeźba siłacza, i znalazł się na ulicy Wandy. Grube mury otaczające przytuliną okolicę zatrzymywały gwar miasta. Szumiały za to gęsto posadzone wzdłuż piaskowej alejki drzewa.

Niedźwiecki wyjął kartkę z adresem i bezradnie rozejrzał się dookoła. Z jednego z balkonów pomachał mu opatulony w gruby szlafrok człowiek. Komisarz uśmiechnął się na powitanie i ruszył w kierunku bogato zdobionej czteropiętrowej kamienicy. Chwilę później ścisnął pokrytą plamkami wątrobowymi rękę kustosza Muzeum Miejskiego, magistra Maurycego Zabużańskiego.

– Przepraszam, że przyjmuję pana w domu, ale dopadł mnie jakiś wirus. Do końca tygodnia mam zwolnienie – powiedział ze śpiewnym lwowskim akcentem.

– Tym bardziej dziękuję, że zechciał pan się ze mną spotkać – odrzekł Niedźwiecki, z podziwem rozglądając się po mieszkaniu, które składało się z czterech wysokich i przestronnych pokoi w amfiladzie. Kolejne pomieszczenia połączone były szerokimi drzwiami, co potencjalnie pozwalałoby jeździć tam w kółko na rowerze. W salonie znajdował się wyłożony kafłami ceramicznymi poniemiecki kominek. Podłogę pokrywały świeżo wycyklinowane szerokie deski. We wszystkich kątach leżały grube książki i kolorowe albumy.

Maurycy Zabużański był drobnym, całkowicie łysym mężczyzną. Mimo podeszłego wieku poruszał się energicznie. Biła od niego duma i siła charakteru. Wokół szyi przewiązał kolorową apaszkę, z górnej kieszonki szlafroka wystawała idealnie złożona chusteczka. Do emanującej godnością postaci nie pasowały tylko kaptcie: wielkie, puchate, z pyskiem i uszami zająca.

– Prezent od wnuczki – uśmiechnął się starszek, śledząc trajektorię wzroku komisarza. – Spróbuj pan indyjskiej herbaty?

– Chętnie – pokiwał głową komisarz.

Zabużański podreptał do kuchni. Po pięciu minutach przyniósł dwie parujące porcelanowe filiżanki.

– Sugerował pan przez telefon, że ktoś mógł zabić Patockiego, żeby nie dopuścić do otwarcia organizowanej przez nas wystawy? – zagaił, kładąc na stole cukier trzcinowy.

– Przyjęliśmy taką hipotezę – potwierdził komisarz, próbując herbaty. Nie była to ekspresowa lura, ale aromatyczny wywar pachnący imbirem.

– Ta historia brzmi jak przedwojenny kryminał. Dlaczego ktoś miałby to zrobić?

– Czy pan wie, że Patocki na swoich obrazach umieszczał twarze prawdziwych ludzi?

– Co pan powie? – parsknął śmiechem kustosz. Spoważniał, gdy dostrzegł konsternację na twarzy komisarza. – Wszyscy malarze tak robią – dodał, siadając w bujanym fotelu. – Za każdym razem, gdy patrzę na jakąś rzeźbę albo obraz, zadaję sobie jedno pytanie: kto, do diaska, tak naprawdę na nim jest? Teraz mamy zdjęcia i filmy, ale kiedyś to artyści byli kronikarzami swoich czasów. Dzięki nim wiemy, jak wyglądali królowie, sławne kurtyzany, ważni tego świata i zwyki mieszczanie. Czy pan wie, że van Gogh namalował wszystkich swoich sąsiadów? Velázquez inspirował się twarzami swoich kochanek. Na *Bitwie pod Grunwaldem* znajdują się oblicza krakowskich przyjaciół Jana Matejki, a nawet samego mistrza. Przykłady można mnożyć w nieskończoność. Chyba niewiele się pomylę, jeśli stwierdzę, że do dwudziestego wieku większość postaci na obrazach miała pierwowzór w prawdziwych ludziach.

Gospodarz dostał ataku kaszlu. Poczzerwieniał gwałtownie i charcząc, rozsiewał wokół drobinki śliny. Mimo to komisarz patrzył na niego zafascynowany. Wykład starego kustosza był dla niego chwilową odskocznią od słów takich jak „morderstwo”, „sekcja zwłok” czy „przesłuchanie”.

– Słyszał pan o modelach, którzy zgłaszali zastrzeżenia dotyczące tego, jak zostali przedstawieni? – zapytał, gdy Zabuziańskiemu udało się w końcu połknąć wyjętą z kieszeni szlafroka tabletkę i zdusić atak kaszlu.

– Wie pan, kim był Henri Rousseau?

– To ten malarz samouk? Francuski Nikifor?

– W rzeczy samej – mruknął z podziwem kustosz. – Pracował jako celnik a w wolnych chwilach malował. Traf chciał, że szybko zdobył popularność na salonach. Pewnego dnia zgłosił się do niego Guillaume Apollinaire, czyli jeden z najślawniejszych francuskich poetów. Gdy Rousseau namalował jego portret, okazało się, że prosty celnik nie ma pojęcia o kompozycji. Nabazgrał jakieś szkaradziństwo, na którym Apollinaire wyglądał jak ciężko chory potwór. Dzisiaj jednak to najpopularniejszy wizerunek tego poety.

Zabuziański łakomy wzrokiem popatrzył na rozrzucone po całym salonie książki.

– Jeśli pan sobie życzy, mogę poszukać reprodukcji obrazu. Jest na nim ze swoją kochanką. Ona również nie wygląda zbyt atrakcyjnie.

– Dziękuję – odmówił grzecznie Niedźwiecki, wstając z fotela. – Na razie chciałbym zobaczyć wszystkie obrazy Patockiego, które miały być zaprezentowane na wystawie w ratuszu.

– Nie widzę przeszkód. Po odwołaniu ekspozycji zabezpieczyliśmy prace w magazynie. Od następnego poniedziałku zapraszam do ratusza. – Zabuziański odprowadził gościa do drzwi. – A jeśli chodzi o współczesnych modeli, to wcale nie trzeba daleko szukać. Murzyn nad apteką przy placu Solnym ma twarz zaprzyjaźnionego z twórcą artysty Eugeniusza Geta-Stankiewicza. Krasnał, który stoi na wielkim kciuku przed Przejściem Świdnickim, przypomina dziadka rzeźbiarza. Mógłbym tak wymieniać w nieskończoność. Dość powiedzieć, że codziennie patrzy na pana wiele zamkniętych w dziełach sztuki prawdziwych postaci.

27 października

Areszt śledczy, ulica Świebódzka 1

Dulkiewicz po raz setny czytał wyryte na ścianie napisy: „sankcia w Wołowie”, „śmierć psom”, „Zabić prokuratora R”, „Gady pod mur”, „śmierć konfidentom”. W pozostawionych przez kolejne pokolenia więźniów komunikatach dominowała ekspresja, kiepska ortografia i agresywna monotonia przekazu.

Mecenas zastanawiał się, o jaki napis powinna wzbogacić się ściana podczas jego wizyty w areszcie śledczym. Może „Niech żyją frajerzy?”. Taki tekst świetnie pasowałby do sytuacji, w której się znalazł. Ktoś postanowił go zrobić w morderstwo i uczynił to profesjonalnie. Na wysokości zadania stanęła też żona. Dulkiewicz nie sądził, by brała udział w spisku. Była na to za głupia. Po prostu wykorzystała sytuację, żeby położyć łapę na całym majątku.

Wyciągnął się na wstrętnym, odrapany łóżku. Siennik śmierdział stęchlizną. Na kaloryferze suszyły się puchaty czerwony ręcznik i flanelowa koszula Wranglera, którą przywiózł z USA. Włożył ją, nim wyprowadzili go w kajdankach z domu. Wtedy ciągle jeszcze liczył, że uda mu się wywinąć z tego paszetu, ale prokurator Rapacki nie musiał się specjalnie starać. Wobec tak silnych dowodów sędzia pozostał nieczuły na oratorskie popisy Dulkiewicza. Wszystko było jasne. Adwokat z kompleksem Boga myślał, że stoi ponad prawem, i zabił człowieka.

Poprawił opadające jeansy. Gruby skórzany pas został w depozycie, ale kowbojki okazały się nadzwyczaj praktyczne. Nie było w nich sznurówek, które klawiszem mogliby skonfiskować przed przyjęciem na oddział. Wczoraj pielęgniarka pobrała mu krew do badania obecności wirusa HIV i z celi przejściowej został przeniesiony do celi mieszkalnej, gdzie zgodnie z wyrokiem sądu miał spędzić kolejne trzy miesiące.

Były tam tylko dwa łóżka. Jedno z nich zajmował chłopak, który na dźwięk otwieranej zasuwki stawał na baczność. Idealnie zwinięty materac i złożony w kosteczkę szary koc bynajmniej nie świadczyły o tym, że Sebastian Kuryłowicz jest wielkim miłośnikiem porządku. Chłopak mimo młodego wieku po prostu doskonale znał zasady, które panują za murem.

– Sebo jestem – oznajmił i wyciągnął rękę w kierunku Dulkiewicza, gdy po raz pierwszy zamknęły się za nim drzwi celi. – Za co dostałeś sanki?

– Nie jesteś na ty. – Mecenas rzucił na łóżko torbę Louis Vuittona.

– Ho, ho! Taki z ciebie ważniak – uśmiechnął się chłopak. Miał szeroką klatkę piersiową i zgolone na zero włosy. Wygląd rasowego bandyty psuły różowe, odstające uszy.

– Dla ciebie pan ważniak – poprawił go Dulkiewicz.

Nie bał się przestępców. Pomagał największym mendum w tym mieście. Jadał z nimi obiady, trzymał do chrztu ich dzieci, kupował cegielki na kampanie wyborcze.

Kuryłowicz odsunął ceratową zasłonkę, za którą stał obłuczony kibel, zwany potocznie bardachą. Wysikał się zdrowym, męskim strumieniem, patrząc z podziwem na swoje

przyrodzenie.

– Jak mawiają laski z mojej dzielni: nie musi być duży, byle był gruby i długi – zarechotał, ale widząc, że Dulkiewicz nie wygląda na ubawionego, natychmiast spowaźniał. Postanowił pokazać nowemu współlokatorowi, że siedzi z nie byle kim. – Dobrze, już dobrze – mruknął. – Nie ma co się tak wywyższać. Ja jestem z Grabiszynku. Znam tam wszystkich. Dwa tygodnie temu psy znalazły u mnie lewe fanty, a to oznacza, że odwieszają mi zawiasy za kradzieże rowerów i dorzucają coś jeszcze. Ale nie pęłam. Roknie wyrok dwa lata jak dla brata, trójka dla wujka.

Wygrzebał z kieszeni drelichowych dresów złamanego na pół lucky strike'a.

– Masz ognia? – zapytał, urywając filtr.

Dulkiewicz wyciągnął z kieszeni złotą zapalniczkę Zippo.

– Od razu wiedziałem, że jesteś grubszy cwaniak – Kuryłowicz pokłiwał z uznaniem wygoloną głowę. – Przyznam ci się, że zanim tu trafiłem, też zarobiłem grubszą kasę. Kupiłem sobie od funfla takie bmw, że oko bieleje. Swoje lata już ma, ale czarny lakier po polerze błyszczący jak psu jaja. Do tego alusy szesnastki i subwoofer w bagażniku.

Położył się na pryczy i przytknął oczy.

– Jak wyjdę z pierdła, to kupię se jeszcze takie kowbojki jak ty masz, a potem przewiozę brykę sędzinę, która mnie tutaj wsadziła. Super dupeczka, tylko cycki ma małe – cmoknął ze znanstwem. – Kazałbym jej zostać w tej todze – dodał i uśmiechnął się obleśnie.

Dulkiewicz nie odpowiedział. Usiadł na odrapanym zydlu i postukał paznokciem w aluminiowy kubek, który wraz z kocem dostał przed wejściem do celi. Myśl o tym, że w podobnym towarzystwie będzie musiał spędzić dwadzieścia pięć lat, przerażała go bardziej niż kraty w małym okienku przy suficie.

28 października

Centrum sportowe Olimp

Ochroniarz długo studiował służbową legitymację Niedźwieckiego. Nie mieściło mu się w głowie, że wysoki rangą policjant jeździ dokładnie takim samym skuterem, jaki on sam kupił chrześniakowi w prezencie komunistycznym, jednak pieczętki w dokumencie wyglądały przekonująco. Szlaban otworzył się wreszcie i komisarz wjechał na ogrodzony teren. Zaparkował bezpośrednio pod strzelnicą. Mocnym szarpnięciem rozłożył skrzypiącą nóżkę i wyjął z bagażnika płócienną torbę, w której znajdował się jeden z obrazów przechwyconych przez celników.

Stojący wśród drzew przedwojenny budynek wyglądał jak miniaturowa warownia. Ze wszystkich stron otoczony był szarym, wysokim, pozbawionym okien murem. Od strony wejścia widniało kilka w pośpiechu nabazgranych sprayem napisów: „Twierdza Wrocław”, „WKS ponad wszystko”, „Siwy to हुj”.

Komisarz z trudem pchnął ciężkie skrzypiące drzwi i wszedł do wnętrza betonowego budynku. Po prawej stronie znajdowało się biuro, po lewej strzelnica z pięcioma torami, każdy o długości dwudziestu pięciu metrów. Na końcu wisiały tarcze. Stanowiska zostały oddzielone grubą płytą pleksi i oznaczone numerami. Pod trójką stał w strzeleckim rozkroku Zenon Jaszczak. Ubrany był w koszulkę moro oraz zielone spodnie, których nogawki wpuścił w sznurowane na sześć dziurek wojskowe buty. Pułkownik mierzył do celu z izraelskiego karabinka małokalibrowego UZI SMG 9. Nie wielki maszynowy pistolet wymagał pewnej ręki i niezwykłej precyzji. Żyłaste dłonie byłego żołnierza radziły sobie z nim doskonale.

Niedźwiecki czekał cierpliwie, aż w uszach przestanie mu dudnić łomot serii wystrzałów. Wreszcie Jaszczak zdjął palec ze spustu i zsunął z uszu tłumiące dźwięk słuchawki.

– Jest pan już – uśmiechnął się na widok komisarza. – Jakież nowe tropy? – zapytał ostrożnie.

– Myślałem, że nie weźmie pan już broni do ręki. – Niedźwiecki popatrzył na rozgrzany pistolet. Ostre jesienne powietrze mieszało się z zapachem prochu strzelniczego.

Jaszczak, zanim odpowiedział, przesunął palcem po rękocyfry.

– To nowa autorska metoda mojego psychiatry. Mam zacząć kojarzyć strzelanie ze sportem, a nie z zabijaniem.

– Pomaga?

– Nie – mruknął pułkownik, pieczołowicie zbierając porozrzucone dookoła błyszczące łuski.

– Chciałem panu coś pokazać – powiedział Niedźwiecki, gdy wszystkie resztki nabojów znalazły się w kieszeni Jaszczaka.

Pułkownik na widok obrazka na chwilę się rozpromienił.

– *Święty Piotr na bramce*. – Dotknął płótna niezbyt czystym palcem. – Sam mu do tego pozowałem. Potem Nikodem dorobił Rynek i knajpy w tle. Świetnie wyglądam w tej złotej aureoli – stwierdził, oglądając swoje żyły. – Niestety boję się, że z takim zapaskudzonym CV do prawdziwego nieba mnie nie wezmą.

– Kto z waszych wspólnych znajomych był jeszcze modelem Nikodema Patockiego? – dociekał Niedźwiecki.

– A bo ja wiem? – Jaszczak zastanowił się chwilę. – Pogadajcie ze Szczęsnym. Oni obracali się w podobnych środowiskach. Ja byłem tylko trenerem Patockiego i towarzyszem do kielicha. Nikodem pił ze mną, bo mam mocny łeb.

– Taksamo jak ręce – dodał komisarz. – Zna pan ciosy, którymi można zabić człowieka?

– Mam nadzieję, że tak – Pułkownik wziął do ręki uzi i zajrzał w otwór lufy. – Myślicie, że ta rana na czole Patockiej to moja robota? – zapytał.

– Przeszło nam to przez głowę – rzucił od niechcenia Niedźwiecki.

Jaszczak gwałtownie uderzył otwartą dłoń w zamontowany na ścianie czerwony guzik, mrużąc przekrwione oczy. Prowadzona na stalowej linie tarcza strzelecka zaczęła posłusznie sunąć w jego kierunku.

– Widzi pan to? – Dotknął przyklejonej do płyty wiórowej kartki z wydrukowanymi koncentrycznymi kręgami. Nietrudno było zauważyć, że większość wyplutych przez lufę automatu pocisków trafiła w dziesiątkę i okolice. – Gdybym chciał kogokolwiek zabić, nie spartoliłbym roboty – powiedział bezbarwnym tonem. – Marlena Patocka żyje. To jest moje najlepsze alibi.

30 października

Instytut Historii Kultury

Pola Rajewicz uśmiechała się prowokująco. Poprawiła czarną jak smoła, idealnie przystrzyżoną grzywkę i położyła ręce na kolanach. Była skępowana, ale starała się ukryć strach, przybierając zmysłową minę.

– Może jakoś się dogadamy, panie doktorze? – zapytała.

– Dogadamy się? – powtórzył ukryty poza kadrem mężczyzna. – Co ma pani na myśli?

– Nie podobam się panu?

Założyła nogę na nogę i oblizła krwistoczerwone usta.

– Nie mogę oblać tego egzaminu – powiedziała. – Chyba wiem, jak pana przekonać do podwyższenia mi oceny.

– Wstań – zady sponował męski głos.

Dziewczyna wykonała polecenie. Potem dotknęła guzika pod dekoltem.

– Mam rozpiąć? – zapytała drżącym głosem. – Jeśli zdam egzamin, zrobię, co pan sobie życzy.

– Dość! – krzyknął siedzący najbliżej telewizora LCD profesor Witucki. – Proszę wyłączyć odtwarzacz. Myślę, że dalsze oglądanie tego filmu nie ma większego sensu.

Ubrany w marynarkę i wąski krawat przedstawiciel samorządu studenckiego Michał Waryś wziął do ręki pilota i nacisnął pauzę. W mieszczącej się na ostatnim piętrze sali numer trzydzieści dwa zapanowała cisza. Członkowie komisji dyscyplinarnej do spraw pracowników naukowych Uniwersytetu Wrocławskiego z zażenowaniem myśleli o tym, co przed chwilą zobaczyli. Pierwszy zabrał głos doktor habilitowany Zygmunt Skonieczny.

– Zachowanie tej dziewczyny jest jednoznaczne – powiedział, chowając okulary do leżącego na stole skózanego etui. – Coś okropnego.

– Proszę wybaczyć, że zmusiłem państwa do oglądania nagrania, ale tylko w ten sposób mogę dowieść swojej niewinności – zabrał głos Oskar Kwietniowski.

Doktor siedział samotnie po prawej stronie ustawionych w kształt litery U stolików. Członkowie komisji, którzy mieli decydować o jego losie, zajęli miejsca po drugiej stronie sali.

– Skoro wiedziała, że istnieje takie nagranie, dlaczego zdecydowała się pana oskarżyć? – dociekała Joanna Miterna. Profesorka mimo skończonych sześćdziesięciu lat nosiła buty na obcasie, miała zgrabne łydki i farbowała włosy na żywy rudy kolor.

– Sądzę, że się we mnie zakochała – tłumaczył Kwietniowski, patrząc jej w oczy. – Wielkim błędem było to, że zgodziłem się, aby przyszła po książkę do mojego domu.

– Mamy ekspertyzę grafologiczną. Wiemy, że list został napisany przez nią. – Skonieczny podniósł leżącą przed nim kartkę. – To wszystko się kupy nie trzyma.

Siedzący przy wejściu przedstawiciel samorządu studenckiego Michał Waryś podniósł rękę. Profesor Miterna udzieliła mu głosu.

– Przeprowadziłem drobne śledztwo wśród znajomych Poli Rajewicz – obwieścił konspiracyjnym tonem. – Dziewczyna brała narkotyki.

Profesor Miterna pokiwała głową.

– To się mogło przełożyć na brak stabilności emocjonalnej. Wiemy też, że przed laty straciła w wypadku ojca. Dlaczego jednak nie zgłosił pan jej obscenicznych propozycji do rady wydziału?

– Właśnie dlatego – powiedział Kwietniowski, robiąc smutną minę. – Życie mocno ją pokarało. Chciałem, żeby dostała drugą szansę.

Milczący do tej pory dziekan, profesor nadzwyczajny Jarosław Witucki, pokręcił z niedowierzaniem głową.

– To już druga studentka, która oskarża pana o gwałt. Trochę za dużo tych przypadków jak na jednego wykładowcę.

Kwietniowski poczerwieniał. Położył na stole zaciśnięte pięści.

– Być może płacę za to, że jestem bezpośredni w kontaktach z ludźmi. Czasem tracę dystans, ale praca w tym instytucie to całe moje życie. W ciągu ostatniego roku uzyskałem dwa prestiżowe granty naukowe, a także opublikowałem cztery artykuły o intrygach w dynastii julijsko-klaudyjskiej. Jeden z nich przedrukowało nawet prestiżowe brytyjskie czasopismo. Jeśli zostaną relegowane z uczelni, o wszystkim dowiedzą się gazety. Nie ty lko ja będę niewinną ofiarą tej całej sytuacji, ale również uczelnia.

Siła ostatniego argumentu była miazdząca.

– Czy ktoś chce coś jeszcze dodać? – zapytał dziekan Witucki. – Jeśli nie, to proponuję głosowanie. Kto jest za tym, żeby oddalić ciężący na doktorze zarzut?

Kwietniowski zobaczył las podniesionych do góry rąk i poczuł, jak wielki kamień spada mu z serca. Wreszcie wszystko zaczęło iść po jego myśli. Jeszcze w tym roku załatwi sobie staż naukowy we Francji. Dziekan będzie chciał się go po cichu pozbyć, więc z przyjemnością podpisze wniosek z rekomendacją do pracy w jakiejś miłej prowansalskiej katedrze. Jeśli zaś chodzi o Adę, to nie ma kobiet niezastąpionych, a on nareszcie zacznie żyć pełnią życia.

30 października

Areszt śledczy, ulica Świebodska 1

Dulkiewicz czuł mdłości, gdy patrzył na leżące w blaszanej misce śniadanie. Serek topiony, dwanaście centymetrów tłustej kielbasy, dwie kromki białego chleba, a do popicia tych wspaniałości kubek zbożowej kawy. Całość była równie apetyczna jak chodzący po ścianie czarny karaluch. Robał przebierał nogami z olbrzymią prędkością. Co jakiś czas przystawał i poruszał czułkami, by sprawdzić, czy nie grozi mu jakieś niebezpieczeństwo. Mecenas całą noc bez skutku walił w ścianę cholewą ciężkiego buta. Pancerze karaluchów pękały jeden po drugim, ale robali nie ubywało.

Dulkiewicz przetarł zmęczone oczy i wziął do ręki kielbasę. Miał do wyboru albo umrzeć z głodu, albo opanować sztukę odłączania receptorów smaku.

– No, kurwa, Hilton to to nie jest – zagadnął młody współwięzień, który zdążył już pochłonąć większość posiłku. – A ty mi raczej na wykwintnego wygładasz.

– Bystrzak z ciebie – uśmiechnął się ironicznie Dulkiewicz. Ciągle z nadzieją patrzył na drzwi, licząc, że ktoś wreszcie zabierze stąd tego gówniarza. Potrzebował ciszy i skupienia. Musiał zbudować linię swojej obrony. Przy tych dowodach łatwiej byłoby doprowadzić do uniewinnienia Saddama Husajna, ale mecenas zamierzał walczyć do końca.

Kuryłowicz zaczął gonić palcem po ścianie przestraszonego karalucha.

– Wiesz, że to paskudztwo nie potrzebuje do życia głowy? Oddycha i kombinuje całym ciałem. Tyle że z głodu bidak zdechnie, ale to też nieprędko.

Dulkiewicz nie odpowiedział, za to Kuryłowicz dalej gadał niezrażony.

– Ja mam na wszystko olew. Wrócę na Grabiszynek wydziarany i przypakowany. Kolonie mnie nie poznają. Muszę tylko lepszego papugę sobie załatwić. Ten od rowerów miał mnie gdzieś. Nawet mojego nazwiska nie potrafił się nauczyć. Cwaniaczek w ząbek czesany. Dobrze, że gliny leniwe były i tylko osiem rowerów mi udowodnili.

Dulkiewicz przyjrzał się chłopakowi.

– Taki z ciebie miłośnik kolarstwa? – zapytał z ironią.

– Tylko sobie nie myśl, że z pospolitym złodziejem gadasz – zachnął się Sebo. – Takie sprawy to dobre dla małałatów. Ja celuję wyżej.

– A co jeszcze potrafisz?

– Tajemnica. – Chłopak uśmiechnął się oblesnie. – Teraz, jak se kupiłem beemkę, to dopiero zacząć robić poważne interesy, gdy wyjdę z pierdla. A ty czym jeździsz?

– To zależy – mruknął z wyższością mecenas.

– Od czego? – zainteresował się Kuryłowicz.

– Czy jadę do teatru, czy w góry, czy na imprezę.

Sebo niewiele z tego rozumiał. Uznał, że Dulkiewicz go lekceważy.

– Straszny z ciebie szpenio. Nie chcesz powiedzieć, za co siedzisz ani czym się zajmujesz. – Kuryłowicz wstał z łóżka i popatrzył zaczepnie na mecenasa. – Myślisz, że masz do czynienia z frajerem?

– Myślę, że za dużo gadasz – odparował Dulkiewicz, nie ruszając się z pryczy.

– Może jakąś solówkę zrobimy? – Chłopak zacisnął pięści i tańczył po miniaturowej celi, wymachując rękami.

Dulkiewicz nie zareagował. Na widok jego nieprzeniknionej miny chłopak nieco złagodniał.

– Żartowałem, tatuśku – powiedział, opuszczając ręce. – A co powiesz na to? – zapytał.

Sięgnął pod śmierzdzący materac i wyjął z niego dwa równej długości jointy.

– Przemyciłem w pośladkach trochę stuffu – pochwalił się z dumą w głosie. – Chciałem się przypucować recydywie, ale jak chcesz, jednego możemy wyjarać. – Urwał zwiniętą końcówkę i włożył sobie skręta do ust. – To co, fajeczka pokoju? – zapytał przez zaciśnięte zęby z łobuzerskim błyskiem w oczach. – Ja mam marihuanę, ty ognia. Spółka joint venture.

Dulkiewicz pokręcił głową. Zaczął ścierać niewidoczny pyłek z błyszczących kowbojek.

– Nie palę tego świństwa – powiedział, nie patrząc nawet na chłopaka.

Kuryłowicz trafił do niego resztki szacunku.

– Gadasz jak stary wapieniak. Seksu pewnie też już nie uprawiasz, tatuśku? Módl się, żeby nie trafić do celi z grypsującymi.

Machnął pogardliwie ręką i położył się na pryczy. Mecenas jednak, zamiast ostatecznie walnąć focha, wstał i sięgając do kieszeni, uśmiechnął się przy jacielsko.

– Już się nie obrażaj – powiedział pojednawczo i wyciągnął w kierunku chłopaka złotą benzynową zapalniczkę Zippo. – Maszek na dobry sen jeszcze nikomu nie zaszkodził.

– Kurka, ale zacny towar – komplementował ze znanstwem, wypuszczając ustami gęsty jasny dym. – Trochę się tego sprzedawało. Nigdy nie było reklamacji. Tylko ostatnio miałem jakieś gówno, ale też wszystko spyliłem. Ma się ten pomyślnie.

Chłopak najwyraźniej zapomniał o tym, że jest w areszcie. Zaczął mruczeć pod nosem jakiś hip-hopowy kawałek. Bujał się na pryczy i niewątpliwie doskonale się bawił.

– Na pewno nie chcesz sztacha? – Wyciągnął przed siebie jointa dymiącego jak komin parowozu.

Dulkiewicz zignorował pytanie. Bez słowa podszedł do pomalowanych na szary kolor metalowych drzwi i sięgnął ręką w kierunku przycisku alarmowego.

– Nie – powiedział z pogardą. – I mam nadzieję, że właśnie patrzę na ciebie po raz ostatni.

– Że niby jak? – Sebo poderwał się z łóżka zaskoczony. Otumaniony marihuaną myślał dwa razy wolniej, co w jego przypadku oznaczało prawdziwą logiczną tragedię.

Mecenas nacisnął guzik alarmowy. Dla zwiększenia efektu zaczął walić pięściami w blachę.

– Dowódcu! – krzyczał. – Wzywam dowódcę!

– Zwariowałeś? – Chłopak w panice wrzucił skręta do toalety. – Co ty, kapusta jesteś? Gady wzywasz? Wiesz, że będę miał przerabane?

– To za tatuśka – warknął Dulkiwicz, gdy w wizjerze pojawiło się oko strażnika. – Ten chłopak przemyślił do celi narkotyki – powiedział chwilę później, pokazując palcem na przerażonego gnojka. – Następnym razem podczas przyjęcia zajrzyjcie mu w tyłek. To, czego nie spalił, wrzucił do kibla, drugi skręt jest pod materacem.

To, co działo się później, to był klasyczny kłipisz. Oboje aresztanci zostali skuci w kajdanki i wyprowadzeni na korytarz. Do celi wpadło dwóch klawiszów w gumowych rękawiczkach i pies. Czarny labrador zgłupiał, gdy wszedł prosto w chmurę marihuany. Położył się na ziemi, machając ogonem. Dla niego całe pomieszczenie było jednym wielkim narkotykiem. Funkcjonariusze opróżnili wszystkie znalezione reklamówki, kosmetyczki i torby. Materace, ręczniki i pościel wylądowały na betonowej posadzce. Każdy centymetr celi przeszukany został tak dokładnie, że nawet karaluchy pochowały się w najgłębsze szczeliny. W protokole strażnicy napisali, że znaleźli półtora jointa o łącznej wartości czterdziestu złotych. Posiadaczem nielegalnej substancji był Sebastian Kuryłowicz. Aresztant trafił do izolatki. Zostaną mu postawione nowe zarzuty. Posiadanie narkotyków, znieważenie funkcjonariuszy i groźby karalne w stosunku do współwięźnia. Chłopak dostał regularnego ataku szału. Próbował rzucić się na mecenasa. Krzyczał, że zrobi mu z dupy bitwę pod Wiedniem. Walczył z klawiszami, aż w końcu padł, rażony paralizatorem. Funkcjonariusze wzięli go pod ręce i ciągnęli za sobą po korytarzu. Pozostali aresztanci, którzy słyszeli awanturę, walili aluminiowymi kubkami w drzwi celi. Jeden ze strażników otworzył kluczem szklaną szafkę, w której znajdował się przycisk uruchamiający alarm. Na dźwięk syreny do bloku B zbiegli się funkcjonariusze z innych oddziałów. Poziom adrenaliny osiągnął stan krytyczny.

Dulkiwicz rozkoszował się całą sytuacją. Wystarczyło kiwnąć palcem, żeby pociągnąć za sobą lawinę zdarzeń i patrzeć na wszystko z boku. Oto przewaga mózgu nad mięśniami. Gówniarz go poniżył i dostał za swoje. Mecenas usiadł na pryczy i omiół wzrokiem pomieszczenie. Wszędzie walały się rzeczy Kuryłowicza. Chłopak miał karty, dziesięć paczek herbaty, osobno pakowane suszone kabanosy. W więzieniu ważne są małe porcje. Wolniej się psują i łatwiej nimi handlować. Schował mięso pod swoje łóżko i popatrzył, co jeszcze może mu się przydać. Wszystkie kosmetyki były tanie, a na układanie pasjansa żał mu było czasu. Kiedy miał już machnąć ręką na resztę dobytku, zobaczył małego pomarańczowego tygrysa. Był stary, wytarty i leżał przy kaloryferze. Mecenas podniósł maskotkę, czując nagły skok ciśnienia. Potem ponownie rzucił się do drzwi i walił w nie tak długo, aż stracił oddech.

30 października

Rynek, ratusz

Mocny jesienny wiatr wciskał się w każdą szczelinę. Podmuchy unosiły leżące na ulicach śmieci i suche liście. Przy ulicy Swobodnej, niedaleko dworca PKS, jakiś otulony płaszczem mężczyzna biegł chodnikiem, goniąc swój elegancki kapelusz. Wszyscy, którzy musieli w tym momencie załatwić coś w mieście, marzyli tylko o jednym: jak najszybciej wrócić do domu i napić się ciepłej herbaty.

Niedźwiecki, który przy każdym uderzeniu zimnego powietrza dostawał gęsiej skórki, został wystawiony na ciężką próbę charakteru. Świst w uszach sprawił, że nie słyszał własnych myśli, ale jedno wiedział na pewno: skuter na zimę idzie do garażu. W taką pogodę nawet członkowie motocyklowego gangu Aniołów Piekieł przesiadają się do samochodów. Komisarz również był gotów porzucić swoją maszynę na jakimś parkingu, a potem skorzystać z dobrodziejstw komunikacji miejskiej. Zanim jednak to zrobił, przypomniał sobie o starym patencie z kolarskiego Wścigu Pokoju. Zatrzymał skuter przy mało ruchliwej ulicy Rejtana i wygrzebał z bagażnika turystycznego sfatygowane stare gazety. Cały papier, jaki znalazł, powcisnął pod warstwy ubrania i nagle życie stało się piękniejsze. Żadne supertechnologie odzieżowe spod znaku windstoppera i goreteksu nie są w stanie zastąpić kolorowego dodatku do „Gazety Wrocławskiej”.

Chwilę później cały i zdrowy dotarł na Rynek. Przed wejściem do Muzeum Miejskiego stała miniaturowa ratusza. U jej podnóża artysta zamocował dwie wyryte w brązie tablice zapisane alfabetem Braille'a. Wszystko po to, aby niewidomi turyści mogli zobaczyć dotykiem jeden z najbardziej charakterystycznych punktów na mapie miasta. Urzędnicy dbali również, żeby niepełnoprawni mieli swoich przedstawicieli w postaciach słynnych wrocławskich krasnali. Pod miniaturową ratusza siedział rozparty na wózku inwalidzkim skrzat, tak zwany W-skęrs. Towarzyszyły mu dwie małe figury przedstawiające krasnala głuchoniemego i ociemniałego.

W muzeum o tej porze przechadzało się tylko kilku wiekowych niemieckich turystów. Mężczyźni trzymali się prosto i mieli założone z tyłu ręce. Kobiety błyskały równymi białymi zębami. Wycieczka drobnymi kroczkami przemierzała śliskie korytarze. W Sali Mieszkańskiej pomiędzy popiersiami słynnych wrocławian czekał na Niedźwieckiego kustosz Maurycy Zabuzanski.

– Jak idzie śledztwo? – zapytał, mocno ściskając dłoń komisarza. Wyglądał dużo lepiej niż ostatnio. Wydatny nos nie był już taki czerwony, a zmizerowana chorobą twarz nabrała z powrotem zdrowych kolorów. Miał na sobie grubą marynarkę w zielono-czerwonej kratkę i górskie buty z wibramową podeszwą.

– W każdym pomniku szukam czyjejś twarzy – zażartował Niedźwiecki, wodząc wzrokiem po imponującym wnętrzu. Z wysokości solidnych cokołów patrzyły na niego wielkie osobistości tego miasta: genialny matematyk Max Born, niemiecki dramaturg Gehart Hauptmann, lekarz, który wpadł na pomysł, że warto myć ręce przed operacją, czyli Jan Mikulicz-Radecki, oraz odkrywca

bakterii rzeźączki Albert Neisser.

– Mam nadzieję, że jest pan ciepło ubrany? – zapytał Zabuzkański, patrząc uważnie na komisarza. – Musimy zejść do piwnicy.

Niedźwiecki poczuł, jak się czerwieni. Zapomniał usunąć spod swetra papierową bieliznę. Stał więc w jednym z najbardziej znamienitych miejsc we Wrocławiu, szeleszcząc przy każdym ruchu.

Zabuzkański udawał, że nie słyszy dziwnego odgłosu, który przy pominał mu poranny przegląd prasy. Założył szczupłe dłonie za plecami i dziarskim krokiem ruszył przed siebie.

– Prace Nikodema Patockiego dotarły do nas dziewiętnastego czerwca – tłumaczył, idąc po schodach. – Dostarczył nam je jego marszand, Olaf Gorbaczewski.

Słowa kustosza odbijały się echem od wysokich krzyżowo-żebrowych sklepień. Trudno o gorsze miejsce do konspiracyjnej rozmowy. Panowie przeszli przez północną przybudówkę, gdzie mieściła się ociekająca złotem Sala Książęca oraz Izba Seniora Rady.

Pomieszczenie, które za pomocą szyfru otworzył Zabuzkański, pachniało kurzem. Kustosz sprawnie znalazł w ciemnościach kontakt i ceglaną piwnicę zaalało złote światło. Na ścianie przy wejściu wisiał elektroniczny wilgotnościomierz oraz termometr. W rogu stała miseczka z różowym granulatem.

– Zwykle jesienią zaczynamy mieć problemy ze szczurami – wyjaśnił ze wstydem Zabuzkański. – A oto prace, o które pan pytał – powiedział, wskazując palcem na sporą blaszaną skrzynię stojącą na środku piwnicy. Kustosz z trudem podniósł ciężkie wielko strzegące dostępu do owiniętych w szary papier płócien. Każde z nich opatrzone zostało stemplem Muzeum Miejskiego.

– Mogę je zobaczyć? – zapytał Niedźwiecki, kryjąc narastające podniecenie.

– Chyba po to pan przyjechał – uśmiechnął się Zabuzkański. – Na razie nie mamy komu oddać tych obrazów, a wystawa z oczywistych względów została odwołana. Niewykuczone jednak, że zdecydujemy się na pośmiertną ekspozycję.

Kustosz stanął w drzwiach. Poprawił wiszącą na szyi apaszkę.

– Proszę wybaczyć, ale wzywają mnie obowiązki. Jeśli będzie pan czegoś potrzebował, jestem pod telefonem. Ufam, że wie pan, jak obchodzić się ze sztuką. Nawet jeśli jest ona czasem dość kontrowersyjna – rzucił na odchodnym, pozwalając sobie na chwilę porzucić służbowy obiektywizm.

Niedźwiecki zdjął marynarkę i zrolował ukryte pod swetrem gazety. Drżącymi rękami wyjął ze skrzyni pierwszy pachnący farbą olejną obraz. Przedstawiał on wychudzonego księdza poddawane go torturze waterboardingu. Na dole ramy przyklejona była karteczka z odręcznie wykligrafowanym tytułem: *Guantanamo, wojna o pokój – święty Maksymilian Kolbe*.

Komisarz odwinął z papieru następną pracę i trzymając za ramę, uniósł ją na wysokość oczu. Z uwagą studiował każdy szczegół. Jego matka zawsze powtarzała, że na wartość artystyczną dzieła składa się nie tylko treść, ale również kompozycja, dobór kolorów, nowatorstwo i umiejętność przekazania emocji. Niedźwiecki postanowił zainscenizować wystawę. Opierał płótno o ściany, jedno obok drugiego. Wkrótce otaczały go kolorowe postacie ludzi, którzy oprócz

aureoli posiadali tatuaże, irokezy albo laptopy. Większość tytułów stanowiła trawestacje biblijnych cytatów lub komentarze do scen z życia konkretnych świętych. Wydawało mu się, że na jednym z malowideł widzi twarz prezydenta Wrocławia, Rafała Dutkiewicza. Na innym postać Weroniki Rosati w podartym habicie. Nic jednak nie wskazywało na to, że wkrótce znajdzie odpowiedź na pytanie, kto zabił autora tych wszystkich obrazów.

Zrezygnowany, wyjął z kieszeni płaski cyfrowy aparat. Pokaże zdjęcia Rapackiemu i Zarębie. Może razem dojdą do bardziej konstruktywnych wniosków.

– Fotografowanie jest zabronione. – Kustosz stanął za plecami Niedźwieckiego w momencie, gdy po raz pierwszy pstryknęła migawka.

– Przepraszam – rzucił automatycznie komisarz. Dopiero teraz zorientował się, że studiowanie prac Patockiego zajęło mu prawie dwie godziny. Musiała być w nich jednak jakaś magia.

– Proszę oficjalnie wystąpić o przekazanie zbioru policji, a będziecie mogli państwo pracować na oryginałach. – Zabuziański przybrał służbowy ton. – Ostrzegam tylko, że przed przewiezieniem na komendę trzeba płótna ponownie ubezpieczyć, a potem przechowywać w warunkach nie gorszych niż te tutaj.

– No tak – zmartwił się komisarz, chowając aparat do kieszeni. Miejscem godnym do przechowywania obrazów mogłaby być nowoczesna sala przesłuchań imienia Henry’ego Kolasy, ale z pieniędzmi na ubezpieczenie płócien będzie problem.

– Jest jeszcze jeden kłopot – zafrasował się staruszek – Na wystawie miało być dwadzieścia prac. Tyle deklarował Nikodem Patocki. Jednak jego marszand przywiózł tylko dziewiętnaście. Twierdził, że takie było życzenie malarza. Podobno jedno dzieło uległo zniszczeniu.

Niedźwiecki oparł się o zimną ścianę. Od zapachu farby, kurzu oraz nadmiaru artystycznych emocji rozboleła go głowa. Czuł, jak przechodząca przez środek czoła żyła pulsuje niebezpiecznie. Jeśli zaraz nie wyjdzie z tej piwnicy, do końca życia będzie słał spadkobiercom Nikodema Patockiego odszkodowanie za zniszczone dzieła.

– To co? Złożą państwo wniosek o wydanie kolekcji? – zapytał z nadzieją w głosie Zabuziański.

– Będę o nią bardziej spokojny, jeśli zostanie tutaj – odparł z rezygnacją komisarz.

Ten cwaniak Gorbaczewski nadal był krok przed nimi.

30 października

Komenda Wojewódzka Policji

Niedźwiecki wrócił do firmy w bardzo złym humorze. Był przekonany, że zaginiony obraz skończył swój artystyczny żywot w kominku Olafa Gorbaczewskiego. Tylko jak to udowodnić? Ostatnią szansą była kolejna rozmowa z Marleną Patocką. Stan żony malarza pogarszał się z każdym dniem, ale wciąż miała jeszcze przebliski świadomości. Jej zeznania nie były wiele warte, ale lepszy taki świadek niż żaden.

Aspirant Zaręba krążył myślami zupełnie gdzie indziej. Wchodząc do gabinetu komisarza, uśmiechał się od ucha do ucha. Jego dobry humor miał związek z młodą archivistką pracującą na pół etatu w piwnicach komendy. Dziewczyna dała się nareszcie zaprosić do kina. Na dodatek koleżanka, z którą wynajmuje mieszkanie, wyjeżdża na weekend do rodziny. Zaręba wiedział, że taka szansa szybko się nie powtórzy, dlatego postanowił zadbać o każdy szczegół randki. W drodze do pracy odwiedził księgarnię przy ulicy Kołłątaja, gdzie zainwestował trzydzieści złotych w ładnie wydaną książeczkę. Schował ją wstydliwie do kieszeni służbowych bojówek, ale zdążył jeszcze w toalecie przejrzeć kilka losowo wybranych stron. Był pewien, że bez problemu wyryje na pamięć przynajmniej pięć złotych myśli wypowiedzianych przez wielkich tego świata.

Niedźwiecki wyglądał natomiast tak, jakby zawarł pakt z depresją. Masował opuszkami palców podkrążone oczy i oddychał ciężko. Na szafce leżało puste opakowanie po ibuprofenie. Zaręba szybko spowaźniał, zapominając na chwilę o wcięciu w spódniczce nowej koleżanki.

– Co jest, szefie? – zapytał, kiwając podgoloną głową.

Niedźwiecki oparł się łokciami o biurko.

– Mam dwie wiadomości. Złą i złą – powiedział przez zacisnięte usta. – Którą chcesz usłyszeć pierwszą?

Zaręba rozpiął guzik w mundurze i czekał z niepokojem na rozwój wypadków. Prędkiej spodziewałby się wygranej Polaków w piłkę nożną z Brazylią niż ataku wściekłości swojego szefa.

– Może uporządkuj je chronologicznie – zagał najłagodniej jak potrafił.

Na szczęście komisarz szybko przypomniał sobie o swoim introwertyzmie.

– Gorbaczewski złożył zażalenie w związku z zakazem opuszczania kraju. Twierdzi, że bez paszportu nie może prowadzić interesów, a prokuratura dysponuje tylko garścią pomówień – powiedział, pomstując w duchu na Rapackiego. – Wizyta w muzeum też była tylko stratą czasu. Obraz, na który liczyłem, znajduje się prawdopodobnie w krainie zaginionych dzieł.

– Mogę jakoś pomóc? – zasepił się Zaręba.

– Tak – powiedział komisarz, wstając zza biurka. – Pojedziesz ze mną do szpitala. Wybłagałem zgodę na rozmowę z Marleną Patocką.

Pod komendą czekała ich kolejna niemiła niespodzianka. Na przedniej szybie służbowej škody błyszczała w bładym słońcu strużka śliny.

– Znowu jakiś gnojek nam napluł – warknął Zaręba, otwierając drzwi. – Może wynajmiemy firmę ochraniarską do pilnowania parkingu? Barany spod znaku CHWDP – gderał, szarpiąc dźwignię uruchamiającą spryskiwacz. Niestety zbiornik był pusty. Wycieraczki rozmazywały gęstą maź po całej powierzchni szyby.

– Na Orlenie sobie wytrzesz – zaproponował Niedźwiecki, czując, jak zbiera mu się na wymioty.

– I ucz się tu, kurwa, mądrych cytatów – mruknął aspirant, ruszając ostrożnie. Jeśli zginie w wypadku z powodu zapluty ch szyb, dostanie nagrodę Darwina.

Po wizycie na stacji benzynowej humor trochę mu się poprawił. Niedźwiecki zamknął się w sobie i milczał. Atmosfera w samochodzie była do dupy.

Z Armii Krajowej na ulicę Lipową dojechali na „zielonej fali”. Zobaczywszy radiowóz, woźny otworzył szlaban i wpuścił ich na zarezerwowany dla personelu szpitalny parking. Przed wejściem stali otuleni grubymi szlafrokami pacjenci i zaciągali się papierosowym dymem. Ich kaszel brzmiał gorzej niż odgłosy walczących w ogrodzie gawronów.

Komisarz pognął schodami na trzecie piętro, układając w głowie pytania do Patockiej. Nie zastał doktora Kapermana w jego gabinecie. Niestety również łóżko Marleny było puste. Na materacu leżała zwinięta rurka tracheotomijna, taśma do jej mocowania oraz kilka pokrytych brunatną wydzieliną gazików. Czujnik saturacji bezwładnie zwiślał z kardiomonitora.

Komisarz obrócił się zdezorientowany. Pytającym wzrokiem popatrzył w szybę, za którą znajdował się pokój pielęgniarek.

– Co pan tu robi?

Na dźwięk ostrego głosu obrócił się na pięcie. Za jego plecami stała drobna, ładna pielęgniarka. Ubrana była w biały fartuszek, błękitne rajstopy i proste skórzane sandały. Przy kieszonce na piersi nosiła silikonowy pielęgniarski zegarek.

– Umówiłem się z doktorem Kapermanem – powiedział Niedźwiecki, wycierając wierzchem dłoni pot z czoła. – Dostałem zgodę na rozmowę z panią Marleną Patocką.

– A... pan komisarz. Przepraszam, nie poznałam. – Surowa twarz dziewczyny złagodniała.

– Nic nie szkodzi – machnął ręką Niedźwiecki. – Rozumiem, że pani Marlena Patocka jest na jakichś badaniach?

– Niestety nie. – Pielęgniarka spuściła oczy. – Dostała wylewu krwi do mózgu. Umarła pół godziny temu.

30 października

Przedmieście Oławskie, ulica Zgodna

Niedźwiecki moczył stopy w wodzie z solą i patrzył przez okno. Kamienica, w której znajdowało się jego mieszkanie, została wzniesiona na początku dziewiętnastego wieku. Po przeciwległej stronie ulicy wyrosła nowoczesna plomba. Odpadał z niej tynk, pękała elewacja, brązowy kolor po kilku słonecznych sezonach zbliżył się barwą do nieapetycznej żółci, za to każde mieszkanie miało miniaturowy balkon – komisarz widywał, jak zadumani mężczyźni palili tam po pracy papierosy.

Dawno temu do tej okolicy przyłgnęła nazwa Trójkąt Bermudzki. Na małych odrapanych podwórkach spotykali się skinheadzi, kibice albo zwykli bandyci. Towarzystwo było nerwowe i mało tolerancyjne na etniczną bądź subkulturową różnorodność. Na ulicy Gwarnej stały prostytutki. Pilnowali ich młodzi biznesmeni, miłośnicy niemieckiej myśli motoryzacyjnej. Zapomniana przez Boga ulica Mennicza zrobiła nawet karierę na światową skalę. W oskarowym filmie *Charakter* zagrała przedwojenną dzielnicę Amsterdamu. Mieszkańcy dostali gaź za usunięcie anten satelitarnych z elewacji. Impreza za holenderskie guldeny trwała dwa tygodnie.

W nowych blokach Trójkąta mieszkali przedstawiciele klasy średniej, którzy kupowali nieruchomości na początku lat dziewięćdziesiątych. Liczyła się dla nich winda, miejskie ogrzewanie i fakt, że do Rynku można dojść piechotą w dziesięć minut. W pięknych starych kamienicach mieszkali natomiast rodziny pionierów, którzy przyjeżdżali do Wrocławia od razu po wojnie. Byli wśród nich profesorowie, lekarze i artyści. W bocznych uliczkach stały zaniedbane rozsypujące się czynszówki – do nich wchodziło się na własne ryzyko. Rezydowali tam mecenasi pobliskich sklepów monopolowych. Ich było widać najwięcej. Zimą stali w bramach, a między nimi sprawiedliwie krążyła butelka taniego wina albo wódki. Latem chętnie chodzili za szpital Marciniaka nad rzekę Oławkę. Pili piwo z pobliskiej Biedronki, romansowali albo spali w krzakach, nie czując ugryzień wielkich jak wróble komarów.

Niedźwiecki lubił ich obserwować przez okno. Nie było to zawodowe skrzywienie, tylko zwykła socjologiczna ciekawość. Dzisiaj jednak nawet popisy sąsiadów nie przynosiły ukojenia. Wszystko wskazywało na to, że spieprzył śledztwo. Kolasa nie będzie się długo zastanawiał, szukając winnych, jeśli Gorbaczewski wyjedzie z kraju i słuch po nim zaginie.

Z zamyślenia wyrwała go Lara. Jej wzrok niósł jasny przełaz.

– Bądź człowiekiem. Rzuć piłeczkę.

Suka miała białą mordę i olbrzymi tyłek, ledwie utrzymywany przez chude nogi. Aby przekonać znajomych, że ten przedstawiciel rodziny psowatych jest rasowym labradorem, trzeba było wyciągnąć z szuflady album ze starymi zdjęciami. Lara pracowała kiedyś w agencji celnej. Potrafiła wyniucać narkotyki owinięte w szmatę namoczoną w wybielaczu. Później zaczęła chorować. Pogarszał się jej wzrok, wzmagał apetyt. Emerytkę przygarnął litościwie komisarz.

Szybko znudziło mu się rzucanie piłeczki. Pies oszedł niezadowolony, a Niedźwiecki pociągnął

nosem. Nie musiał być dochodzeniowcem, żeby wiedzieć, co dostanie na kolację. Pieczona dynia i pasta z ciecierzycy. Cenny towar dla facetów na diecie. Że też, cholera, nie da się go przedawkować!

Wyjął nogi z miski i w bojowym nastroju poszedł do kuchni.

– Znowu warzywa... – mruknął, patrząc na Julkę. – Nie będę miał siły kłócić się z Kolasą.

– Zamorduję cię i każdy sąd mnie uniewinni. – Julka wskazała trzymanym w ręku nożem na zostawiane przez męża mokre ślady.

Wyglądała ładnie, nawet kiedy zaciskała usta i mrużyła ciemnozielone oczy. Miała długie jasne włosy, na których w zależności od pory roku powstawały mniejsze lub większe loki. Latem się kręciły, zimą – prostowały. Lekko podkrążone oczy nadawały jej twarzy interesujący wyraz. Wyglądała jak piękna hipiska wiecznie odurzona trawą. Rzadko się malowała, nosiła koszulki na ramiączkach, które podkreślały jej pieczołowicie rzeźbione na basenie ramiona. Miała również absolutnie doskonały tyłek Aspirant Zaręba, gdy zobaczył Julkę po raz pierwszy, nabrał szacunku do komisarza.

– Myślałem, że jesteś safandulą szukającym szczęścia na portalach randkowych – mówił, patrząc z podziwem na żonę Niedźwieckiego.

Nie tylko była atrakcyjna, ale miała również ostry jak chili charakter i wręcz fanatyczne zamiłowanie do porządku. Łażenie mokrymi stopami po błyszczącym parkiecie nie było rozsądnym pomysłem.

Niedźwiecki spuścił głowę i poczłapał do łazienki.

– Już ścieram – krzyknął, pokornie szukając szmaty pod umywalką.

– A na jedzenie nie marudź – odpowiedziała, polewając dynię miodem. – Chciałeś diety, to masz dietę. Nie możesz codziennie zmieniać zdania.

– Świat by się nie zawalił, gdybym co jakiś czas zjadł karkówkę z kapustą – tłumaczył na kolanach komisarz. Te cholerne zacieki na drewnianej podłodze schodziły opornie.

– Nie rób z siebie takiej ofiary! – Na warstwie miodu wylądowały tłuczone orzechy. – Znalazłam paragon z waszej kantyny. Zeżarłeś podwójne placki ziemniaczane. Kanapki z otrębami, które ci zrobiłam, pewnie dałeś Larze.

Komisarz westchnął ciężko. Po raz kolejny przekonał się, że łatwiej być policjantem niż przestępcą. Zamiast kontynuować ten pełen ekspresji dialog, poszedł do pokoju. Usiadł na kanapie i ponownie wbił wzrok w okno. Po chwili w drzwiach stanęła Julka.

– Przepraszam – powiedziała, spuszczaając głowę. – Znowu te hormony.

– Dostałaś okres?

Usiadła obok niego. Podparła głowę rękami.

– Do dupy to wszystko. Może pomyślimy o in vitro?

– Moje dziecko, moja krew – uśmiechnął się Niedźwiecki. – Wszystko robi po swojemu. Na świat też przyjdzie wtedy, kiedy uzna za stosowne.

– Straszny gwiazdor. – Julka pokręciła burzą jasnych loków.

Komisarz pocałował ją w szyję.

– Jak patrzę na tego bidaka Rapackiego, to przestaje mi się tak spieszyć do ojcostwa.

Oczy Julki zaświeciły dawnym blaskiem.

– Zjesz na kolację pierogi z mięsem? – zapytała.

– A co z dietą? – jęknął Niedźwiecki.

– Dzisiaj masz dyspensę, równo za miesiąc jest rocznica naszego ślubu. – Pocałowała go i wyszła do kuchni. – Zresztą ja też nie mogę już patrzeć na dynię.

Kryzys został zażegnany. Julka z saperską łatwością potrafiła rozładować każde napięcie. Zanim zdążyła wyrobić ciasto, zadzwonił telefon. Numer był zastrzeżony.

– Halo... – rzucił niepewnie komisarz.

W słuchawce usłyszał gwar, coś jakby głosy na korytarzu. Po chwili odezwał się dziwnie znajomy głos, który wygłosił enigmatyczną sentencję.

– Jeśli po godzinie gry w pokera nie wiesz jeszcze, kto jest frajerem, to znaczy, że jesteś nim ty.

– Słucham? – zdębiał Niedźwiecki.

– To ja. Jacek Dulkiwicz – przedstawił się mecenas, starając się, aby jego głos brzmiał swojsko i sympatycznie.

– Uciekłeś z aresztu? – Komisarz poczuł, jak mu się jeżą włosy na głowie.

– Ciekawa propozycja, ale niestety nie.

– To czego chcesz?

– Mam prawo do jednego telefonu.

– Po jaką cholere chcesz gadać ze mną? – krzyknął Niedźwiecki. – Prawnika poszukaj. Najlepiej dobrego.

– Daj spokój! – Mecenas był pobudzony. – Tutaj nikt nie chce mnie słuchać, a ja zdobyłem nowy trop w sprawie morderstwa tej małej.

– Zostaw go sobie na rozprawę. – Komisarz chciał jak najszybciej skończyć tę idiotyczną rozmowę. Co ten brak słońca robi z ludźmi!

– Ciągle jeszcze prowadzisz moje śledztwo – powiedział błagalnie mecenas. – Proszę cię tylko o jedno: wezwij mnie na przesłuchanie. Wszystko ci wytłumaczę.

2 listopada

Mirków koło Wrocławia

Olaf Gorbaczewski zadowolony patrzył na swoje odbicie w lustrze. Znowu był wolnym człowiekiem. Sąd zdjął z niego zakaz opuszczania kraju. Przed chwilą przyniósł ze strychu dwie wielkie walizki. Na rączkach były jeszcze naklejki z ostatniego wakacyjnego pobytu w Turcji. Teraz zamierzał wyjechać dalej. Otworzył szafę, lustrując jej zawartość. W Boliwii zawsze świeci słońce, ale na przykład w niektórych rejonach Chile leje gorzej niż w Wielkiej Brytanii. Grunt to mieć paszport, wizę i pieniądze. Reszta jakoś się ułoży. Forsę na bilet ma. Potem trzeba będzie trochę improwizować.

Do sypialni weszła Grażyna. Postarzała się ostatnio. Na ciemnych włosach błyszcząły siwe odrosty. Gruba warstwa pudru kiepsko maskowała zniszczoną cerę. Sportowy stanik nie radził sobie z utrzymaniem obwisłych piersi.

– Nie wiesz, gdzie jest moja peleryna przeciwdeszczowa? – zapytał marszand, przeglądając wnętrze największej szafy, jaką można było kupić w Ikei. Składał ją przez dwa tygodnie, kurwując na czym świat stoi.

– Jesteś pewny, że ten wyjazd to dobry pomysł? – Grażyna popatrzyła smutnym wzrokiem na łądujące w walizce plastikowe kłapki i kolorowe bawełniane koszule.

– Muszę odpocząć po tym, co przeszedłem – tłumaczył Olaf. – Nie będę czekał, aż któregoś ranka znowu przyjdzie ten brodaty policjant i postawi mi kolejne absurdałne zarzuty.

Gorbaczewska wyciągnęła z kieszeni jeansowych spodni jednorazową chusteczkę. Wytarła zaczerwienione oczy.

– Boję się o ciebie – powiedziała płaczącym głosem. – I nie wiem już, komu mam wierzyć. Ciągłe staje mi przed oczami tamta noc.

Marszand z dezaprobatą pokręcił głową.

– Ktoś próbował mnie zrobić – oświadczył, otwierając szufladę z bielizną. – Jestem niewinny. NIEWINNY! – wykrzyczał, kładąc rękę na sercu.

Grażyna usiadła na szerokim łóżku przykrytym brązową kاپą. Ukryła twarz w dłoniach.

– W takim razie wytłumacz mi, dlaczego wtedy wróciłeś do domu cały zakrwawiony?

Gorbaczewski przestał się na chwilę pakować. Westchnął ciężko i usiadł obok żony.

– Skoro mi nie wierzysz, to czemu zgodziłaś się na tę szopkę z alibi? – zapytał, kładąc rękę na jej kolanie.

Wzruszyła szerokimi ramionami.

– Bo cię kocham. Bo nie chciałam spędzić reszty życia, wychowując sama dziecko – powiedziała ze wzrokiem wbitym w wełniany dywanik.

– Nic na mnie nie mają. Tylko te dziwaczne zeznania Patockiej – zapewniał gorliwie. – Wszystko wróci do normy, obiecuję.

Żona nie wyglądała na przekonaną.

– Byłeś tam, prawda?

Gorbaczewski zerwał się z łóżka jak oparzony. Groźnie zmarszczył wysokie czoło i zacisnął niespracowane dłonie w pięści.

– Ktoś mnie wrabia! Ile razy mam ci to powtarzać?! – krzyknął. – Obiecuję, że kiedyś ci to wszystko wytłumaczę – powiedział, domykając walizkę. – Na razie muszę wyjechać. Tutaj zaczynam się dusić.

Grażyna wzięła do ręki stojące na nocnym stoliku zdjęcie, które zrobił ich przyjaciel w atelier przy ulicy Świdnickiej. Ona w zielonej ciężowej sukience, obok Olaf z szelmowskim uśmiechem patrzy w obiektyw aparatu.

– Wrócisz do nas? – zapytała cicho.

– Jasne. – Gorbaczewski poczuł, jak się rumieni. Kiedyś kłamstwo wychodziło mu zdecydowanie lepiej.

2 listopada

Komenda Wojewódzka Policji

– Jest pani pewna?

– Przecież mówię! Dostała tego tygryśka od ojca. Zawsze powtarzała, że to najcenniejsza rzecz, jaką ma. Niech pan popatrzy. Zmechacił się, szwy na uszach puściły. Ona nawet wyprać go nie chciała. Mówiła, że ciągle jeszcze pachnie ojcem.

Niedźwiecki krążył wzrokiem między przyjaciółką Poli a schowaną w plastikowym woreczku maskotką. Katarzyna Kula wyglądała znacznie lepiej niż ostatnim razem. Włożyła czarną pikowaną kurtkę i pomalowała na niebiesko oczy. Na uszach kołysały się wielkie kolczyki w kształcie kół.

– Dziękuję, to w zasadzie wszystko – oświadczył komisarz i wypisał przepustkę.

Dziewczyna wyszła, pozostawiając po sobie zapach lakieru do włosów. Zanim Niedźwiecki zdążył sporządzić notatkę, w drzwiach pojawiła się rosla sylwetka Arkadiusza Zaręby. Aspirant wyglądał na człowieka, który od rana zdążył już załatwić bardzo wiele spraw. Był zdyszany, miał szybkie i zdecydowane ruchy.

– Robi się coraz ciekawiej – powiedział konspiracyjnie. – Powęszyłem na Grabiszyńskiej, tam gdzie mieszkał ten dzieciak Pola go znała. Kuryłowicz sprzedawał jej od czasu do czasu marihuane. Chłopak siedzi za kradzieże, ale zdaje się, że za uszami ma dużo więcej.

– Oczywiście wszystko to wiesz nieoficjalnie... – Komisarz zmarszczył czoło.

– Oczywiście – potwierdził aspirant. – Oficjalnie to mu kwadrat przetrzepaliśmy i auto. Niestety bez sukcesów. Matka lamentowała, że znów chcemy jej Sebusia w coś niecnego zrobić. To przecież dobre dziecko, tylko kolegów ma fatalnych.

Niedźwiecki wyjął z szuflady torebkę krówek. Zaczął jeść jedną za drugą. Po chwili całe biurko zasłane było papierkami.

– Jest możliwość, że to Dulkiewicz podrzucił tego misia?

Aspirant pokręcił wystrzyżoną głową.

– W protokole przyjęcia strażnik wpisał, że Kuryłowicz miał ze sobą pomarańczową maskotkę. Regulamin nie zakazuje posiadania podobnych gadżetów. Mecenas wpadł w szal, gdy ją znalazł.

– O czym to wszystko świadczy? – zapytał komisarz, nie licząc na odpowiedź.

Zaręba dotknął pielącej jeszcze malinki, którą zostawiła uwiedziona cytatami z Marka Twaina archiwistka.

– Pamiętasz, co mi mówiłeś po powrocie z zakładu patomorfologii? – zapytał, gładząc umięśnioną szyję. – W chwili śmierci Pola Rajewicz wyglądała tak, jakby szła na randkę. Może miała romans z Kuryłowiczem? Coś poszło nie taki love story się skończyło.

Komisarz otworzył teczkę z czerwonym paskiem na okładce. Była to bogata w zdarzenia kartoteka Sebastiana Kuryłowicza vel Sebo.

– Zamówilem rano dossier naszego nowego przyjaciela – powiedział, wyjmując czarno-białe zdjęcie. Chłopak pozował policyjnemu technikowi na tle białej tablicy określającej wzrost podejrzanego.

– Przyjemniaczek – Zaręba postukał palcem w twarz na fotografii. – Uszy jak słonik jumbo, braki w uzębieniu. Z twarzy bije tępota, ale za to klatka szeroka, ramiona wielkie. Jego łapy mówią jedno: „Spróbujcie mi powiedzieć prosto w oczy, że jestem brzydki i głupi”.

– Myślisz, że atrakcyjna, inteligentna studentka związałaaby się z kimś takim? – zapytał z niedowierzaniem komisarz.

– Kobiety kochają drani – rzucił aspirant. Mądrości z książki z setką cytatów na każdą okazję przydawały się nie tylko podczas randki.

– Ale nie tanich drani – odparował Niedźwiecki. – Do zobaczenia po południu – powiedział, wstając zza biurka.

– Pojechać z tobą na przesłuchanie Kuryłowicza? – zaoferował Zaręba.

– Nie, będziesz miał inne zadania – zadysponował komisarz. – I lepiej trzymaj kciuki, żeby to, co właśnie wymyśliłem, nie okazało się prawdą.

2 listopada Areszt śledczy, ulica Świebodzka 1

Surowa bryła aresztu śledczego dla mężczyzn przy ulicy Świebodzkiej przypominała średniowieczny zamek. Większość kompleksu wybudowana została na planie krzyża, co dodatkowo wzmocniało symbolikę tego ponurego miejsca. Okna w niewielkich celach miały podwójne kraty. Pierwszą z nich więźniowie nazywali frytkownicą, drugą zaś firaną. Nad blankami murów wznosiły się niewielkie ceglane wieżyczki, które obecnie służyły jedynie jako wylegarnie gołębi. Tłuste ptaszyska srały gdzie popadnie, nie czując żadnego respektu dla wiszącego w centralnym punkcie godła Rzeczypospolitej Polskiej.

Niedźwiecki, bacznie obserwowany przez stojącego w wartowni strażnika, nacisnął znajdujący się przy masywnych drzwiach dzwonek. Po chwili lukier otworzył się i błysnęło w nim oko gada. W przekładzie na język ludzi wolnych: strażnik sprawdził przez wizjer, kto stoi po drugiej stronie muru. Po kontroli dokumentów komisarza zaprowadzono do sali multimedialnej aresztu. W przestronnym pokoju stał zielony stół do ping-ponga oraz kilka przymocowanych do podłoża stolików. W rogu na ścianie wisiał kineskopowy telewizor.

– Sala przesłuchań jest zajęta – powiedział przepraszająco plutonowy.

– Nie ma sprawy. Tu jest całkiem przyjemnie. – Komisarz popatrzył na stojący w zakratowanym oknie sztuczny kwiatek. Obok leżało dziesięć sfatygowanych kompletów do gry w warcaby. Jakoś nie potrafił sobie wyobrazić wytatuowanych zakapiorów bijących z przejęciem pionę i damki.

Przy jednym ze stolików siedział przypięty kajdankami do krzesła Sebastian Kuryłowicz. Chłopak miał podbite oko i kilka otarć na szyi. Najwyraźniej po incydencie z marihuaną kiepsko dogadywał się ze strażnikami. Nosił granatowy dres Adidas, brudne białe skarpetki i zniszczone klapki Kubota.

– Będę czekał za drzwiami, panie komisarzu – powiedział bezbarwnym głosem plutonowy. – Jak pan skończy, proszę zastukać. Nie trzeba walić z całej siły – dodał tonem człowieka, który niejedno już w życiu widział.

– Wiesz, po co tu jestem? – zapytał Niedźwiecki, gdy strażnik wreszcie wyszedł na korytarz.

– Wychowawca nawijał, że będę miał gości z Komendy Wojewódzkiej. – Kuryłowicz szarpnął skutymi rękami. – Pewnie chcecie mi narobić kłopotu pióra za trawę. Proszę bardzo, ale dilerki nie dacie rady przybić. Prędkiej pan oficer w dupie se parasol otworzy.

– Pracuję w wydziale zabójstw – powiedział spokojnie Niedźwiecki, kładąc legitymację na stole.

Przez chwilę widział w zimnych oczach Kuryłowicza strach. Dzieciak jednak szybko przywołał się do porządku. Na przyszczonej twarzy drgnął ironiczny uśmiech.

– To dla mnie za wysokie progi – skinął niedbale. – Może pójde po kogoś ze starej grypsery.

Tam nie jeden ma głowę na sumieniu.

– Skąd to miałeś? – zapytał komisarz, wyjmując z wewnętrznej kieszeni marynarki strunowy woreczek ze sfatygowanym pluszowym tygrysiem w środku.

Kuryłowicz zastanowił się chwilę.

– Dostałem od znajomej – powiedział, wzruszając ramionami. Sprawiał wrażenie, jakby ta rozmowa przestała go obchodzić.

– Ta znajoma nie żyje – wycedził komisarz.

– Wykrywalność wam spada? – drwił Kuryłowicz. – Chcecie mi przybić wszystkie przestępstwa w tym mieście? Może Kennedy'ego też zabiłem, panie poruczniku?

– Pytam skąd masz tę maskotkę – powtórzył cierpliwie Niedźwiecki.

– Pola mi ją dała w prezencie. Przyjaźniliśmy się trochę. Ma się ten wdzięk do kobiet. Jak bzykać, to królowe, jak pić, to szampana – błaznował.

Komisarz wstał od stolika. Wziął do ręki leżącą na stole pingpongowym rakiętkę i wykonał kilka uderzeń forhendem. Chłopak z niepokojem obserwował jego ruchy.

– Wszyscy jesteście twardzi, jak przeciwnik ma związane ręce – wymamrotał. – Chce mnie pan uderzyć? No, śmiało!

– Mówi coś ci nazwisko Kwietniowski? Oskar Kwietniowski. – Komisarz nie dawał się sprowokować.

Chłopak zamrugał rzadkimi rzęsami.

– Chyba nie jest z mojej dzielni. Ma jakąś ksywę?

– Doktor – rzucił ironicznie Niedźwiecki.

– A, to nie znam. – Aresztant pokręcił głową. – Panie poruczniku, nie chcę być niegrzeczny, ale pora obiadu się zbliża. Nie lubię zimnego łososia, na dodatek kumple cały kawior mi wyżrą.

– Skąd miałeś pieniądze na kupno samochodu?

Na wspomnienie o stojącym beczynnym na parkingu pod blokiem bmw chłopakowi zrobiło się przykro.

– Odłożyłem. Nie piję, nie jeżdżę na wycieczki do ciepłych krajów. Książek nie kupuję, w kinie nie bywam. Moja bawara i nic wam do tego – powiedział ze złością. – Maskotkę też powinniście mi oddać.

Zanim komisarz wezwał strażników, jeszcze raz uważnie przyjrzał się chłopakowi. Jego odstające uszy były czerwone jak wigilijny barszcz. On tylko strugał twarziela. Tak naprawdę bał się jak diabli.

3 listopada

**Agencja reklamowa Promo,
ulica Odrzańska 5**

Maksymilian Suworow dla wygody nazywany był przez kolegów Maxem. W Polsce mieszkał od dwudziestu lat. Ten dziwny kraj, w którym wszyscy znają się na polityce i medycynie, uważał za swój. Za to jego krewni, gdy przyjeżdżali w odwiedziny z Bułgarii, byli zszokowani liczbą kobiet z kierownicą i tym, że Polacy dodają cukier do mizerii. Brat komplementował chodzące po ulicach dziewczyny, siostra o mało nie zemdląła, gdy teść Maxa pocałował ją na powitanie w rękę. Ojciec szybko znalazł wspólną cechę Polaków i Bułgarów: przedstawiciele obu narodów kochali imprezy i uważali swój kraj za pępek świata. Max przyjechał do Polski na studia. Po ukończeniu studiów na wydziale grafiki komputerowej założył ze swoją narzeczoną agencję reklamową. Na początku nie było łatwo. Zaczął od projektowania wizytówek oraz wyklejania szyldów niewielkich zakładów fryzjerskich, jednak z biegiem czasu zaczęły się pojawiać zlecenia ambitniejsze i lepiej płatne. Agencja Promo rozrastała się. Kupowali sprzęt, zatrudniali nowych grafików. W ubiegłym roku przenieśli się z małej kłitki przy ulicy Sienkiewicza do reprezentacyjnego lokalu w centrum miasta.

Maksymilian był nie tylko właścicielem całego interesu, ale również dyrektorem kreatywnym. Osobiście zajmował się najlepszymi klientami. Tworzył identyfikacje wizualne, projektował logo i planował przebieg kampanii. Najlepsze pomysły wpadały mu do głowy przy goleniu, ale dziś, choć twarz miał gładką, natchnienie za nic nie chciało przyjść. Od rana bez przekonania stukał elektronicznym rysikiem w designerski tablet Hanvon Art Master. Wyglądało na to, że po raz pierwszy od niepamiętnych czasów zawali termin i nie prześle do działu marketingu Teatru Polskiego propozycji plakatu na galę festiwalu piosenki Jacka Kaczmarskiego. Cały rano słuchał zamieszczonych na YouTube piosenek nieżyjącego barda, ale wszystkie koncepcje, jakie przychodziły mu do głowy, były banalne albo wtórne. Nie rozumiał istoty charyzmy Kaczmarskiego. Rewolucjoniści z krajów surowych zim i deszczowych wakacji są zdecydowanie bardziej ponurzy od ich kolegów z południowych krain.

– „Nasza krowa jakby zgadła, co ją czeka, szybko padła” – zanucił Suworow, zawstydzając swoim fałszem korpulentną blondynkę, która na frazie „szybko padła” weszła niespodziewanie do gabinetu.

– Przepraszam, że przeszkadzam – powiedziała, patrząc na potężnego Bułgara o ciemnych jak węgielki, błyszczących oczach.

– Co tam, pani Mariolu? – zapytał Suworow, pstrykając palcami w rytm muzyki.

– Dobrze, że chociaż panu humor dopisuje – skwitowała, poprawiając starannie zapleciony szpiczasty kok.

– Co się dzieje? – spowaźniał Max. – Urząd skarbowy za nami zatęsknił?

– Niech pan nawet tak nie żartuje – pogroziła mu palcem kobieta. – Mam problem z Muzeum

Miejskim. Nie wiem, jakich podliczyć.

– Pani nie wie? – zdziwił się Suworow. – Pani deklaracje podatkowe powinny zostać wydane jako dzieła zebrane. Widzę też operową trylogię pod tytułem „VAT utracony”.

– Robiliśmy katalog na wystawę tego malarza, co go zabili – powiedziała pani Mariola, nawet nie próbując się uśmiechnąć. Rzadko zdejmowała z twarzy maskę surowości. Jej poczucie humoru oscylowało w okolicach zera absolutnego.

– Pana Nikodema Patockiego – uściślił Suworow. – Był tu u nas przed wakacjami. Robił bardzo dobre wrażenie, chociaż nie chciałbym tych jego obrazów nawet za darmo.

– Ale pracować za darmo też pan nie lubi. Prawda? – podchwyciła księgowa, kładąc na zabałaganionym biurku wydruki laserowe.

– Ano nie lubię – potwierdził Suworow, patrząc bez szczególnej przyjemności na kolorowe reprodukcje. – *Dwunastu apostołów na wakacjach w Zakopanem* – przeczytał podpis pod jedną z nich. – Nie będzie ich stać nawet na dorsza w smażalni przy Krupówkach.

– Kiedy wybuchła afera, Muzeum Miejskie wstrzymało zlecenie produkcji folderów – tłumaczyła pani Mariola, nie wdając się w zbędne dygresje. – Ale tak czy inaczej katalog został przez nas złożony i przygotowany do druku. Powinniśmy wziąć pieniądze przynajmniej za pracę grafika z działu DTP.

– Święte słowa. – Max pokiwał głową.

– Niech pan zadzwoni do tego dyrektora, co to mówi ze śmiesznym lwowskim akcentem, i policzy roboczogodziny. To państwowa instytucja, więc nie powinni robić cyrków. Prywatna firma by coś kombinowała. Dobrze by było jeszcze dzisiaj wystawić fakturę.

– Proszę policzyć cztery stowy za dniówkę, a potem to z nimi omówić. – Suworow zatarł ręce. – Teraz muszę mieć spokój. Teatr Polski czeka na projekt, a ja cierpię na artystyczne zatwardzenie.

Mariola Busz wyszła z podniesioną głową, uznając metaforę szefa za wyjątkowo niesmaczną. W firmie dowcipkowali, że najbardziej emocjonującym momentem w jej życiu było sprawdzanie loteryjnej zdrapki. Słuchała tego z wyższością. Każdy z tych żartownisiów będzie na początku roku skamlał, by znaleźć sposób na odliczenie od podatku faktur za internet albo kosztów leczenia zębów.

Suworow zaraz po jej wyjściu zapomniał o całej rozmowie. Nie mógł wiedzieć, że sumienna księgowa otwiera właśnie puszkę Pandory. Jutro w południe wpadną tu rozemocjonowani gliniarze. Zanim wytłumaczą, o co chodzi, jego pracownicy pomyślą, że to najazd policji komputerowej BSA, i wyrzucą przez okno na chodnik wszystkie twarde dyski z nielegalnym oprogramowaniem.

4 listopada

Szpital MSWiA,

Ołbin

Niedźwiecki wszedł do komendy spóźniony. W nocy śnił mu się pracujący w kamieniołomach mecenas Dulkiewicz. Na plecach miał wypisane krwią „jestem niewinny”. Rano komisarz pokłócił się z Julką, która wymyśliła, że powinien pojechać na zakupy i odświeżyć przed zimą swoją garderobę. Nie wyobrażał sobie, żeby mógł się teraz skupić na mierzeniu butów i dobieraniu koszul. Machnął niedbale siedzącemu na portierni oficerowi dyżurnemu. Ten wyszedł za lady i z przejętą miną podbiegł do Niedźwieckiego.

– Po inspektora Kolasę przyjechała karetka – obwieścił tonem starej plotkary. – Zasłabł po przyjeździe na komendę. Zawieźli go do szpitala.

Zanim komisarz zdążył cokolwiek powiedzieć, że znajdującej się na parterze stołówki wyszedł aspirant Arkadiusz Zaręba. W ręku trzymał sok jabłkowy. Jego przystojną twarz pokrywał dwudniowy zarost.

– Pikawa mu focha walnęła, ale chyba nie ma tragedii – stwierdził beztrząs, opróżniając butelkę złotego płynu. – Jak go wynosili, zażądał widzenia z tobą. To co? Jedziemy na Ołbin? – zapytał, wyciągając z kieszeni kamizelki kluczyki samochodowe.

– Pileś. – Niedźwiecki pociągnął nosem.

Aspirant w ciągu sekundy zrobił się czerwony, jego policzki zapłonęły niezdrową purpurą. Kwadratowa szczęką zaczęła poruszać się niespokojnie.

– Wczoraj były urodziny kumpla. Siedzieliśmy do rana, ale czuję się już dobrze. Przecież naszej fury i tak żaden patrol z drogówki nie zatrzyma.

– Nie słyszałem tego – warknął Niedźwiecki ze złością, wyrывая aspirantowi kluczyki.

Na miejsce dojechali w milczeniu. Niedźwiecki prowadził ostrożnie, ale pewnie. Zaparkował obok dworca kolejowego Nadodrze. Piętrowy budynek składał się z czterech połączonych ze sobą prostokątnych brył. Pod nimi wila się pajęczyna tuneli, które prowadziły do wielu nieodkrytych jeszcze tajemnic Wrocławia.

Policjanci przeszli przez plac Staszica w kierunku szpitala Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji. Na hasło „Henry Kolasa” pielęgniarka zaprowadziła ich do przytulnej jednoosobowej sali, gdzie w kolorowej pościeli leżał inspektor. Jego długie, okryte ciepłymi skarpetkami nogi wystawały poza materac. Wyglądał godnie. Ręce złożył na brzuchu i z przyłkniętymi powiekami patrzył przed siebie. Ubrany był w jasną flanelową pidżamę oraz granatowy szlafrok ze złotymi inskrypcjami na piersiach. Widząc współpracowników, uniósł dłoń w niedbałym geście powitania.

– Przestraszyłeś nas – rzekł Niedźwiecki, uśmiechając się.

– Serce. – Kolasa dotknął z czułością lewej piersi. – Nie ma ludzi niezniszczalnych.

– Jesteś pewien, że właśnie teraz chcesz z nami rozmawiać?

Kolasa poprawił kołnierz i usiadł na łóżku.

– Policjantem jest się w każdej sytuacji – powiedział z powagą. – Słyszałem, że macie jakieś problemy.

– To nic takiego. – Niedźwiecki wykrzywił twarz w nerwowym grymasie. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebował teraz jego szef, to złe emocje.

Kolasa pogładził się po zmizerowanej twarzy. Popatrzył wodnistymi oczami na Zarębę.

– Aspirancie! Proszę o zreferowanie postępów w śledztwie – rozkazał żołnierskim tonem.

Zaręba, któremu szumiały jeszcze w głowie nocne toasty, poradził sobie z pytaniem Kolasy w typowy dla siebie sposób.

– Marlena Patocka nie żyje i tak już raczej zostanie. Ogon, który chodzi za Gorbaczewskim, zameldował, że figurant kupił w Empiku przewodniki po Ameryce Południowej. W temacie Dulkiwicza też pojawiły się dziwne niejasności. Dziennikarze jak szczury pojawiają się w każdej szparze komendy – wyliczał, nie widząc, że stojący za nim komisarz Niedźwiecki z coraz większym przerażeniem wsłuchuje się w oddech Kolasy.

– Czytałem raporty – powiedział słabym głosem inspektor. – Interesuje mnie raczej to, czy macie też jakieś sukcesy.

– Na razie sukcesów brak ale to tylko kwestia czasu – zapewniał sztucznie Niedźwiecki. – Prowadzimy czynności operacyjne, a to zawsze chwilę zajmuje.

– Reasumując – sapnął niewyraźnie szef – oba śledztwa zostały koncertowo położone.

– To nie tak – bąknął komisarz, patrząc, jak z twarzy Kolasy odpływa krew. – Czy mam wezwać pielęgniarkę? – zapytał, przerażony.

– Nie! Chcę zostać sam – jęknął inspektor, opadając na łóżko. Resztą sił odwrócił się plecami do ściany i nakrył kłodą głowę. – Informujcie mnie o wszystkim – powiedział. – Nawet jeśli będę nieprzytomny.

Niedźwiecki wyszedł na korytarz. Miał wrażenie, że wszystko dookoła niego wiruje.

– Jeśli przez nas dostanie zawału, do końca życia oka nie zmrużę! – krzyczał do Zaręby.

– Miałem mu ściemniać?

– Dyplomacja! – wrzasnął Niedźwiecki. – Słyszałeś kiedyś to słowo?

Z gabinetu przy recepcji wyszedł młody, szczupły lekarz. Minę miał surową, ruchy zdecydowane. Plakietka na fartuchu informowała, że jest kardiologiem i nazywa się Aleksander Nowaczyk

– Panowie, jesteśmy w szpitalu. Dwa tony ciszej – powiedział, kładąc palec na ustach.

– Proszę nam wybaczyć. – Niedźwiecki rozłożył ręce. – Po prostu martwimy się o zdrowie inspektora Kolasy.

– Nic mu nie będzie – uspokoił ich doktor. – Nie zdradzę tajemnicy lekarskiej, jeśli powiem, że to zwykły atak paniki. Jutro, najwyżej pojutrze wypuścimy go do domu.

Niedźwiecki usiadł na stojącym przy pracowni RTG krzeselku. Czuł, że zaraz zemdleje. Za to aspirant nie tracił zimnej krwi.

– O nie! – protestował, patrząc z góry na kardiologa. – W imieniu całej komendy żądam, aby

nasz szef został dokładnie przebadany. Ten człowiek bardzo ciężko pracuje i zasługuje na najlepszą opiekę. Jeśli coś pójdzie nie tak, będzie miał pan ze mną do czynienia! – Nowaczyk pokręcił głową i odszedł skołowany. Pierwszy raz spotkał się z gliniarzami, którzy tak dbali o swojego pryncypała. Większość utopiłaby ich w łyżce kisielu.

Niedźwiecki wyszedł ze szpitala z poczuciem beznadziei w sercu. Aspirant był za to w świetnym humorze. Z rozbawieniem obserwował, jak przy placu Staszica patrol straży miejskiej zmagał się z zalegającym na przystanku „leżakiem”, czyli pijanym w trupa człowiekiem. Jeden z nich próbował zdobyć od brodatego żuła dokumenty, drugi w tym czasie mówił coś do krótkofalówki.

– Człowiek na poziomie powinien trzymać się w pionie – zarechotał Zaręba.

– Myślisz, że jak przychodzisz do pracy na bani, jesteś lepszy od tego gościa? – mruknął Niedźwiecki.

Zaręba zacisnął usta. Poczul się urażony, chociaż wiedział, że pretensje może kierować tylko do siebie.

– Mogę cię o coś zapytać? – zagaił wreszcie, gdy wsiadali do auta. – Jeździsz furą lepiej niż niektórzy nasi spece. Po cholere ci ten skuter? Wyglądasz na nim jak..

– Dzieciak albo facet, który jedzie na ryby – dokończył komisarz.

– No – przyznał Zaręba.

– Po pierwsze, lubię moją maszynę – powiedział Niedźwiecki, włączając się do ruchu. – A po drugie, zyskuję dzięki niej przewagę. Popatrz na siebie. Jesteś wielki, silny. Gdy ktoś z tobą zadziera, wie, że musi uważać. Mnie ludzie lekceważą. W tym zawodzie to zaleta.

Zanim aspirant zdążył cokolwiek odpowiedzieć, zadzwonił telefon. Komisarz zjechał w zatoczkę pod kinem Helios i nacisnął zieloną słuchawkę. Maurycy Zabużański był pierwszym od kilku dni posłańcem przynoszącym dobrze brzmiące wieści.

– Wczoraj rozmawiałem z księgową agencji reklamowej należącej do pana Maksymiliana Suworowa – tłumaczył. – Ich grafik składał katalog wystawy Nikodema Patockiego na podstawie dostarczonych przez malarza zdjęć. Jest ich dwadzieścia. Interesuje to pana?

4 listopada

**Klinika chirurgii plastycznej,
ulica Jedności Narodowej 5**

Doktor Tadeusz Szczęśny z ulgą zdjął lateksowe rękawiczki i wrzucił je do plastikowego pojemnika. Pielęgniarze przenieśli nieprzytomną kobietę na zaopatrzone w kółka łóżko i ruszyli w kierunku sali pooperacyjnej. Pacjentka za piętnaście minut zostanie wybudzona, ale efekty pracy lekarzy zobaczy dopiero po upływie dwóch tygodni. Jej nowy nos będzie węższy i lekko zadarty, zgodnie ze światowymi trendami mody.

Przed wyjściem z sali Szczęśny zerknął w lustro. Był postawnym, szczupłym facetem. Gęste siwe włosy dodawały mu męskości, podobnie jak bruzdy wokół ust i lekko orli nos. Archetyp lekarza z serialu. Przystojny, godny zaufania, doświadczony w pracy i w życiu. Jedyne, co chciałby poprawić, to oczy. Przypominały o tym, że czas mija, a on za dużo pracuje. Moda na chirurgię plastyczną dawała mu chleb, ale zabierała radość życia. Coraz mniej było czasu na żagle, rodzinę, odpoczynek. Na seks też stracił ochotę. Gdy patrzył na piersi, zastanawiał się nad ich symetrią i kształtem sutków. Do tego każdą kobietę wysłałby na waginoplastykę albo chociaż usuwanie znamion. Ciało dawno przestało mu się kojarzyć z pożądaniem. Widział tylko skórę, tłuszcz, blizny, żyły i chrząstki. Szczęśny mógłby mieć zniżki w najdroższych wrocławskich agencjach towarzyskich. Wszędzie tam przed oczami napalonych klientów wiły się prawdziwe dzieła sztuki, które wyszły spod jego skalpela. Ale nie to było sensem jego pracy. Najbardziej cieszył się, gdy kobiety po mastektomii dzięki niemu odzyskiwały poczucie własnej wartości. Chirurg plastyczny nie ratuje życia, ale może je znacznie polepszyć. Polacy powoli zaczynają to doceniać. Operacje przestały być kojarzone jedynie z kaprysami warszawskich aktorek i próżnych dziennikarek.

Zegar nad recepcją wskazywał siedemnastą. Za pół godziny miał zaplanowany kolejny zabieg. Pewien prawnik rozwiódł się z drugą żoną. Przeżywając trzecią młodość, zamawiał kolejne operacje, jakby testował menu w ekskluzywnej restauracji. Po korekcji powiek, uszu oraz kości policzkowych przyszedł czas na liposukcję bioder. Powinno pójść szybko. Zabieg wykona doświadczony asystent. On będzie tylko nadzorował całość, pilnując, aby wraz z tkanką tłuszczową nie wysssać z organizmu zbyt dużej ilości krwi.

Przeszedł jasnym korytarzem w kierunku swojego biura. Było to małe pomieszczenie, wyglądało jak klasyczny gabinet lekarski. W skład wyposażenia wchodził niebieski parawan, zamontowane na statywie olbrzymie szkło powiększające, łóżko zabiegowe oraz sterylne wysprzątane biurko, na którym stał laptop. O pozycji Szczęśnego w klinice przypominał jedynie dopasowujący się do kształtu ciała dyrektorski fotel Stressless. Mebel wyglądał jak dzieło sztuki, ale o tym, że kosztował ponad dwadzieścia tysięcy, wiedział tylko on i jego księgowa. Pod drzwiami gabinetu doktora spotkała niemiła niespodzianka. Na plastikowym krzeselku przeznaczonym dla czekających na wizytę pacjentów siedział komisarz Niedźwiecki. Jego twarz wyglądała tak, jakby wymagała natychmiastowego liftingu. Policjant trzymał w rękach

przewiązaną sznurkiem szarą teczkę.

– Nie przeszkadzam? – zagaił, przecierając zmęczone oczy.

– Jeśli powiem, że tak, pójdzie pan sobie?

– Nie – zasepił się komisarz.

– Chce mnie pan aresztować? – zapytał zaczepnie doktor, wyjmując z kieszeni fartucha klucze.

– A powinienem?

– W tych murach za każdą poradę biorę minimum dwieście złotych. Stać pana? – zapytał Szczęsny, otwierając zrobione z mlecznego szkła drzwi.

Zaprosił komisarza do środka. Z ulgą zapadł się w nieprzyzwoicie drogim fotelu, udając, że jest całkowicie pochłonięty widokiem kolorowego wygaszacza przecinającego ekran laptopa. Komisarz usiadł na powleczonej zielonym papierem łóżku.

– Założyliśmy, że powodem śmierci Nikodema Patockiego mógł być jeden z jego obrazów – powiedział ze spokojem.

– Coś mi się obilo o uszy – rzucił doktor. – Grałem wczoraj w brydża z waszym rzecznikiem.

Znajomości doktora nie zrobiły na Niedźwieckim żadnego wrażenia. Głaskał z czułością tekturową teczkę, czekając na ruch Szczęsnego. Ten wreszcie stracił wyreżyserowany spokój.

– Rozumiem, że wreszcie go znaleźliście – powiedział, stukając palcami w blat biurka.

– Dotarliśmy jedynie do reprodukcji.

– Niech ją pan, do diabła, pokaże! – huknął doktor. Czuł, że to już nie on rozdaje karty w tej rozmowie.

Komisarz położył na biurku przygotowany do seryjnej produkcji kolorowy wydruk. Na marginesach grafik umieścił znaczniki cięcia oraz numery pantonów. W dolnym rogu widniało logo agencji Promo. Szczęsny drżącymi rękami wziął papier. Jego błyszczące oczy chłoneły każdy szczegół malarskiej inscenizacji.

– *Niech strawi cię płomień* – przeczytał niepewnym głosem podpis pod obrazem.

– To trawestacja cytatu z Biblii – powiedział Niedźwiecki. – Stary Testament, Księga Izajasza. Ten jest bezpieczny, kto postępuje zgodnie z przykazaniami Boga. Grzesznicy zginą w mękach piekielnych.

Wypięłgnowane palce doktora zaczęły poruszać się niespokojnie.

– Ten człowiek był chory z nienawiści! – krzyknął.

Przez chwilę wydawało się, że podrze wydruk i wrzuci do stojącego pod łóżkiem kosza. Zamiast tego wyjął z kieszeni fartucha telefon i wybrał numer.

– Proszę przełożyć pana Kowala na jutro – rzucił władcym tonem. – Dzisiaj nie ma mnie dla nikogo.

Odłożył słuchawkę. Podparł głowę rękami i wbił wzrok w leżącą przed nim kartkę. Patrzył na krwiste niespokojne niebo oraz szare budynki szpitala ginekologicznego mieszczące się przy ulicy Dyrekcyjnej. Na ich tle stała ubrana w czarną suknię Marlena Patocka. W rękę trzymała zakrwawiony, rozczłonkowany płód. Niżej widniał symbolizujący zło odwrócony pentagram, a całość uzupełniał wykaligrafowany podpis: *Niech strawi cię płomień*.

– To pan usunął ciężę, prawda? – zapytał cicho komisarz.

– Nie! – zachnął się Szczęsny.

– Ale pracował pan wtedy w szpitalu na Dyrekcyjnej jako ginekolog. To była pana pierwsza specjalizacja. Widziałem dyplom w mieszkaniu. – Komisarz kiwnął głową.

– Marlena trafiła na oddział z krwotokiem wewnętrznym. Ktoś spartolił sprawę, a ja uratowałem jej życie. Potem pomagałem dojść do siebie. Niestety stany zapalne opanowaliśmy dopiero po usunięciu macicy.

– To było dziecko Patockiego? – zapytał komisarz. Doktor pokiwał głową.

– Byli jeszcze przed ślubem. Marlena nie chciała tego dziecka. Powikłania po aborcji tłumaczyła mężowi niegroźną chorobą jajników. Leczyłem ją prywatnie i w tym samym czasie zaprzyjaźniłem się z Patockim. Spędzaliśmy razem wakacje. Zawsze z zazdrością patrzył na moje córki. Kiedyś zaczął się żalić, że do szczęścia brakuje mu tylko potomka. Pytał, czy mogę im jakoś pomóc. Siedzieliśmy wtedy przy wódce w jakiejś greckiej tawernie. Wszyscy już spali. Byłem mocno pijany i wygadałem się, dlaczego nie został i już nigdy nie zostanie tatusiem.

Szczęsny zamilkł, poszarzał.

– Jaka była reakcja Patockiego? – zapytał Niedźwiecki.

– Nikodem wyglądał tak, jakby strzelił go piorun. Po raz pierwszy widziałem człowieka, który w ciągu sekundy wytrzeźwiał. Potem kupił jeszcze jedną butelkę wódki i poszedł na pomost. Bałem się jego reakcji, ale następnego dnia wszystko było w porządku. Nigdy więcej nie wróciliśmy do tego tematu. Nie przyszło mi do głowy, że będzie tak długo i precyzyjnie szykował zemstę.

– Ta wystawa miała być dopiero jej początkiem. – Niedźwiecki włożył wydruk do teczki.

– Wierzy pan, że nie miałem nic wspólnego z jego śmiercią? – zapytał niepewnie Szczęsny.

– Odpowiem panu na to pytanie za kilka dni – odparł komisarz, patrząc doktorowi w oczy.

Czas zacząć ostateczną rozgrywkę.

5 listopada

Port lotniczy im. M. Kopernika we Wrocławiu

Marszand Olaf Gorbaczewski nie czekał na resztę ze stułotowego banknotu. Z ulgą wysiadł z taksówki i wciągnął do płuc rześkie jesienne powietrze. Jazda obwodnicą z Mirkowa na lotnisko trwała blisko godzinę. To był ostatni moment, żeby pożegnać się z Wrocławiem. Nie chciał żyć w ciągłym strachu. Budzić się każdego dnia przed szóstą rano i z sercem w gardle czekać na dzwonek do drzwi. Teraz wszystko traciło znaczenie. Nawet jeśli Niedźwieckiemu dopisze szczęście, Polska nie ma umowy ekstradycyjnej z Meksykiem. Zresztą wkrótce Olaf Gorbaczewski przestanie istnieć. Będzie musiał pomyśleć w samolocie nad jakimś dobrym szlacheckim nazwiskiem. Na wielkim parkingu przed terminalem czatowali spotterzy. W rękach trzymali zaopatrzone w długie teleobiektywy aparaty fotograficzne. Przewieszane przez ramię torby kryły wydrukowane z internetu rozkłady lotów, lornetki, kanapki i mocną kawę. Żeby wypatrzeć giganty cznego rosyjskiego rusłana albo zobaczyć transportową wersję jumbo jeta, który obsługuje polski kontyngent wojskowy w Afganistanie, trzeba mieć dużo szczęścia i cierpliwości.

Gorbaczewski rozłożył rączki walizek i stukając kółkami, ruszył w stronę otwierających się za pomocą fotokomórk szklanych drzwi. Wielka bryła budynku świeciła jak nowoczesna designerska lampa. Asymetryczny dach wyglądał jak wprawione w ruch klawisze fortepianu. Podróżni czekali na swoje samoloty, siedząc na ciemnych krzesłach. Ci, którzy mieli więcej szczęścia, zalegli na wygodnych szezlongach. Wszyscy wpatrywali się w zawieszone wysoko monitory LCD informujące o przylotach, odlotach i opóźnieniach. Pachniało kawą. W olbrzymich, równomiernie oddalonych od siebie donicach rosło osiemnaście pochodzących z Florydy drzewek *bucida buceras*.

Gorbaczewski stanął w kolejce do odprawy biletowo-bagażowej i dopiero teraz poczuł, jak ogarnia go podniecenie. Za niewiele ponad trzy godziny będzie w Barcelonie. Najdalej jutro wieczorem otuli go słońce Meksy ku. Ma tam kilku znajomy ch artystów. Z przy jemnością oddadzą swoje prace komuś, kto ma niezłe układy w Europie.

Ubrana w granatową garsonkę kobieta sprawdziła bilet i od niechcienia rzuciła okiem na dokumenty. Ciężkie bagaże wylądowały na taśmie i po chwili znikły za gumową kotarą. Gorbaczewski spojrział na zegarek. Ze spokojem ruszył w kierunku uwijających się przy bramkach bezpieczeństwa celników. Ci również nie robili większy ch problemów. Przeszedł do hali odlotów, gdzie pozostało mu tylko czekać na samolot, a potem pomachać z góry stojącemu na ulicy Powstańców Śląskich najwyższemu budynkowi w Polsce, zwanemu przez wrocławian Wielkim Termosem.

Marszand usiadł na plastikowym krześle, w duchu dziękując, że kilka lat wcześniej rzucił palenie. Po prawej stronie, przed wejściem na płytę lotniska, w małym przeszklonym pomieszczeniu wędzili się amatorzy nikotyny. Wyglądali jak małpy w zoo. Wolni od naluğu podróżni patrzyli na nich z pogardą. Gorbaczewski miał inny pomysł na to, jak uspokoić nerwy.

Ruszył w stronę wielkiego sklepu wolnocłowego. Z jego wnętrza bił przepych. Drogie alkohole, perfumy, słodycze. Nigdy nie był w stanie zrozumieć polityki władz lotniska. Z jednej strony zabraniają wносить na pokład plastikowe nożyki albo cążki do paznokci. Z drugiej w sklepie wolnocłowym kupisz szklaną butelkę, z której można zrobić zabójczą broń w postaci tulipana albo litr palącego się jak pochodnia spirytusu.

Wziął dwa czekoladowe marsy i puszkę pepsi. Rzadko jadał słodycze, ale jeszcze rzadziej uciekał z kraju. Gdy wychodził ze sklepu, podeszło do niego dwóch mężczyzn. Ubrany w czarną koszulkę i spodnie moro funkcjonariusz straży granicznej oraz noszący zielony mundur pracownik ochrony lotniska.

– Pan Olaf Gorbaczewski? – zapytał chłodno celnik. Z przypiętej do pasa kabury wystawał mu pistolet Walther P99.

– Tak – Gorbaczewski poczuł niemiły skurcz w żołądku. W głośnikach rozległ się kobiecy głos informujący o tym, że jego samolot został właśnie podstawiony.

– Dostaliśmy anonimową informację, że nie zadeklarował pan przewozu monet z okresu powstania styczniowego – oświadczył funkcjonariusz, kładąc rękę na broni.

– To jakiś żart! – krzyknął histerycznie marszand, czując się tak, jakby dostał cios w przeponę.

– Zaraz wszystko się wyjaśni – powiedział ugodowo celnik. Gestem ręki pokazał Gorbaczewskiemu, że ma pójść za nimi.

5 listopada

Karłowice, ulica Konopnickiej

Zaręba schował telefon do kieszeni bojówek i ze strachem popatrzył na Niedźwieckiego. Zazwyczaj opanowany szef zachowywał się jak dzik, który wywęszył ukryte w ziemi trufle. Jego mózg pracował na niebezpiecznie wysokich obrotach. Biegał wte i wewte po rezydencji małżeństwa Patockich, mrużąc pod nosem strzępki zdań. Co jakiś czas przystawał. Liczył obrazy i walające się po kuchni butelki. Dotykał pogrzebaczki, ważył w dłoni stojące na ziemi lampy i solidne drewniane krzesła.

Dwa tygodnie temu zakład energetyczny z powodu nieopłacanych rachunków odciął w domu prąd. Nieogrzewany budynek niszczał. W środku pachniało stęchlizną, grzybem i śmiercią. Designerskie meble pokrywał kurz, bezcenne antyki i ciemne marmury szarzały. Ze szuflki na listy wysypywały się koperty, awiza oraz kolorowe ulotki. W zarośniętym ogrodzie zamieszkały bezdomne koty. Luksusowa willa stała się ponura jak średniowieczne zamczysko.

– Tylko wyglądać ducha zaginionego malarza – rzucił aspirant, który bez skutku próbował odgadnąć źródło ekscytacji szefa.

Wszystko zaczęło się dwie godziny temu, kiedy śledzący każdy krok marszanda aspirant Kotowicz zameldował, że Olaf Gorbaczewski zamówił taksówkę na lotnisko. Niedźwiecki najpierw popadł w przygnębienie, a potem zażądał, by zabrali służbowy laptop i natychmiast pojechali do domu Patockich. Twierdził, że coś przeoczył. Nadeszła ostatnia szansa, żeby to naprawić.

Komisarz postawił komputer na rzeźbionym sekretarzyku, a następnie znalazł w internecie zamieszczoną jeszcze przed walacjami ofertę sprzedaży rezydencji. Powiększał kolejne kolorowe zdjęcia, a potem rozglądał się dookoła, sprawdzając stan faktyczny z tym na fotografii.

– Bingo! – krzyknął nagle, podbiegając do wiszącej obok łóżka masywnej półki. – Wiedziałem, że czegoś mi brakuje.

– Możesz jaśniej? – zapytał Zaręba.

– Popatrz na zdjęcie zrobione tydzień przed zabójstwem. – Komisarz pokazał na ekran laptopa. – A potem spójrz na ścianę. Znajdź różnicę.

– Brakuje jednej figurki. – Aspirant poczuł, jak udziela mu się podniecenie szefa.

– Konkretnie: ciężkiej, długiej rzeźby na solidnej podstawie. Chyba ustaliliśmy narzędzie zbrodni – powiedział komisarz, szybkim krokiem wychodząc na ganek – Poproś dyżurnego o zgodę na włączenie sygnałów. Jedziemy do Mirkowa.

– Chcesz jeszcze raz przeszukać kwadrat Gorbaczewskiego? – podchwycił Zaręba, starannie zamykając wszystkie zamki w drzwiach.

– Nie. – Komisarz pokręcił głową. – Marszand nie byłby takim durniem, żeby schować rzeźbę w domu. Pomyśl chwilę. Jesteś w szoku. Masz mało czasu na pozbycie się obciążających dowodów. Co robisz?

– Biegnę z takim kłamotem nad Odrę.

– Ciepło – uśmiechnął się komisarz.

– Dom w Mirkowie z widokiem na jezioro – jęknął Zaręba. – Nie mówiłeś, że mam zabrać ze sobą kąpielówkę.

– Nie marudź, tylko skontaktuj się z Kolasą. Dzisiaj rano wyszedł ze szpitala. Czas, żeby przyłożył się do śledztwa. Potrzebujemy zgody na użycie lamp wyładowczych i chcemy pomocy naszych nurków ze SPAP-u. Wszyscy mają być na miejscu za pół godziny.

Wykorzystanie Samodzielnego Pododdziału Antyterrorystycznego Policji wymagało podpisów kilku waźniaków w mundurach.

– Naprawdę myślisz, że w tym szaleństwie jest metoda? – zapytał zdeorientowany Zaręba.

– Nie mam pojęcia – powiedział z rozbijającą szczerością Niedźwiecki.

5 listopada

Port lotniczy im. M. Kopernika we Wrocławiu

Pomieszczenie do szczegółowej kontroli mieściło się tuż za bramkami. W środku nie było okien, a połowę powierzchni zajmował jasny, gładki blat. Obok stało miniaturowe biurko, na którym leżały wzory protokołów, strunowe woreczki i pudełko z lateksowymi rękawiczkami. Wszystko po to, aby przeszkąwanie odbyło się zgodnie z prawem i z poszanowaniem godności rewidowanego. Olaf Gorbaczewski nie doceniał jednak nowoczesnych standardów. Jego wzrok miał temperaturę zapłonu.

– Mówiłem, że to jakieś nieporozumienie! – krzyczał, lustrując rozrzuconą na blacie zawartość swojej walizki.

Celnik sprawdził każdy sweter, koszulkę i książkę. Przewinął na drugą stronę wszystkie skarpetki. Przetrzepał portfel, sprawdzając opuszką palca grubość szwów. Otworzył mydło w płynie i wachał pastę do zębów. Całość inspekcji trwała ponad dwie godziny i nie przyniosła żadnych rezultatów.

– Mieliśmy obowiązek sprawdzić doniesienie – tłumaczył lekko przygarbiony rachmistrz Joachim Bieroń.

– Złóż doniesienie, aż w piąty wam pójdzie! – groził Gorbaczewski, ze złością wrzucając rzeczy do walizki. Pozwijane niedbale elementy garderoby za nic nie chciały się do niej zmieścić. – Co wy sobie myślicie?! Przez was spóźniłem się na samolot! – krzyczał, z furią waląc w niedomykającą się klapę.

– Poleci pan na nasz koszt następnym. – Funkcjonariusz nie tracił cierpliwości.

– Dobrze, że chociaż przysiadów nie kazaliście mi robić. Może coś w dupie mam, co?

Celnik spuścił wzrok.

– Rewizję osobistą też będę musiał przeprowadzić – powiedział bezbarwnym, służbowym głosem.

Gorbaczewskiemu ze złości zakręciło się w głowie. Popatrzył na celnika najgroźniej jak potrafił, ale nie wyglądało to specjalnie przerażająco.

– Będziecie mi szukali monet w dwunastnicy? Obiecuję, że zanim opuszczę ten kraj, kilka osób na tym lotnisku straci posadę! – krzyknął upokorzony, rozpinając pasek.

Badanie *per rectum* ostatecznie zakończyło przeszkąwanie. Gorbaczewski podpisał protokół, po czym schował do kieszeni dowód osobisty i paszport. Gdy szedł przebukować bilet, wydawało mu się, że w tłumie pasażerów widzi znajomą czuprynę. Po chwili miał już pewność, że to nie koniec kłopotów. Z jednej strony drogę zaszedł mu komisarz Niedźwiecki, a tyłu zabezpieczył aspirant Zaręba. Nad wszystkim czuwali dyrektor lotniska i szef ochrony.

– Jest pan aresztowany. – Komisarz nie bawił się w konwenanse. Miał poplamione błotem półbuty oraz przemoczone do kolan nogawki spodni.

– Jeszcze tu tylko Najwyższej Izby Kontroli brakuje. – Gorbaczewski ze złością rzucił walizkę

na błyszczącą posadzkę. – Dajcie mi, do cholery, spokój!

– Mówi coś panu przedstawiająca kobietę figurka z brązu? Znaleźliśmy taką na dnie jeziora w Mirkowie. Ma odłupany cokół, ale reszta zachowała się w świetnym stanie.

Marszand opuścił ręce wzdłuż ciała. Popatrzył na rozsuwające się co chwilę szklane drzwi z wyklejonymi podobiznami drapieżnych ptaków. Wiedział, że zanim dobiegnie do wyjścia, stojący za nim olbrzymi glina powali go na ziemię i zakuje w kajdanki. Przerabiał to już podczas okazania. Zostały mu pertraktacje.

– Nie zabiłem Marleny Patockiej! Przysięgam! – krzyknął tak głośno, że przechodząca obok stewardesa obróciła się przestraszona.

Kilku podróżnych wstało z ławeczek i patrzyło z zainteresowaniem na nietypową wymianę zdań.

– Koniec widowiska – zarządził Niedźwiecki. – Porozmawiamy w samochodzie.

Olaf Gorbaczewski spuścił głowę i posłusznie ruszył za policjantem. Zamiast strachu poczuł rozchodzącą się po całym ciele ulgę.

29 listopada

**Oddział Ostrych Zatruc,
ulica Traugutta**

Dyżur na Oddziale Ostrych Zatruc przebiegał spokojnie, jednak doktor Bartosz Huzar wiedział, że to tylko cisza przed burzą. Po dwudziestej drugiej karetki zaczęły przywozić licealistów, którzy na imprezie andrzejkowej upili się po raz pierwszy w życiu. Godzinę później trafią do szpitala uczestnicy balang firmowych. Trzeba przecież dotrzymać kroku w chlaniu szefowi albo koledze z działu. Potem powinna nastać chwila oddechu. Kolejną transzę półprzemyślnych delikwentów Huzar pozna około czwartej nad ranem. Będą to naćpani wynalazkami z Berlina i Amsterdamu bywalcy podmiejskich dyskotek. Z nimi jest zawsze najwięcej problemów. Nie wiadomo, ile wzięli ani co to było za cholerstwo. Po wyleczeniu każdy kwalifikował się do postępowania prokuratorskiego, dlatego wymyślali niestworzone historie, a kiedy byli już w stanie sami ustać na nogach, uciekali ze szpitala.

Przed samym końcem dyżuru Huzara dopadnie proza życia, czyli niesienie pomocy sprawiedliwym mieszkańcom, którzy przejedli się bigosem i nóżkami w galarecie. Całonocne rzyganie oraz picie ziółek nie przyniosło ulgi. Czas na gruntowne płukanie żołądka. Doktor rzadko współczuł swoim pacjentom. Większość sama sobie zgotowała taki los. Na oddziale zatruc łatwo stracić wiarę w to, że bycie człowiekiem to jakieś specjalne wyróżnienie. Przypominał sobie Wigilię sprzed kilku lat, kiedy do szpitala trafiło pięciu narkomanów z krwotokami wewnętrznymi. Wszyscy wciągali amfetaminę od tego samego dealera. Dwa dni zajęło lekarzom ustalenie, że obrotny handlarz dorzucał do narkotyków sproszkowane szkło. Bandzior czerpał pomysły z amerykańskich filmów. Tam zobaczył, co zrobić, żeby amfetamina wchłaniała się lepiej. Jeśli ostre drobinki szkła uszkodzą naczynia krwionośne, haj jest dwa razy większy.

Doktor odgonił złe wspomnienia, stanął przy oknie i spojrzął w stronę przystanku. Do niebieskiego tramwaju z numerem trzy wsiadali elegancko ubrani imprezowicze. Dziewczyny trzymały przykryte reklamówkami blachy z ciastem, mężczyźni brzdękali butelkami. Nie miało znaczenia, że nikt z nich nie znał żadnego Andrzeja – i tak napić się trzeba. Na szczęście z powodu zimna skończył się już sezon na grzyby. I te jadalne, i halucynogenne. Nie powinno być już klientów na natychmiastowy przeszczep wątroby albo wizytę w psychiatryku.

W momencie gdy postanowił napić się kawy, zobaczył parkującą pod wejściem karetkę. Pielęgniarki w pośpiechu wyciągnęły wijącego się na noszach dzieciaka.

– No, to zaczynamy – rzucił Huzar.

Załóżł fartuch, przewiesił przez szyję stetoskop i poszedł w kierunku izby przyjęć, stukając chodakami. Chłopak już tam leżał. Wyglądał na jakieś osiemnaście lat. Był drobny i bardzo bladej. Wokół oczu zrobiły mu się sine obwódki. Z trudem łykał powietrze. Nosił czarną koszulkę z napisem *Master of Puppets* i wąskie jeansowe spodnie.

– Ciśnienie sześćdziesiąt na czterdzieści – zameldował sanitariusz. – W karetkę wymiotował. Jest bardzo słaby i odwodniony.

Huzar wyjął z kieszeni małą latarkę. Uniósł powiekę pacjenta.

– Źrenice jak szpilki – mruknął, wyłączając źródło światła. – Wiesz, gdzie jesteś? – zapytał głośno i wyraźnie.

– W szpitalu – wymamrotał niepewnie pacjent.

– Co brałeś? – krzyknął Huzar. – Ecstasy, LSD, amfetaminę, heroinę? – wyciszał, obserwując uważnie reakcję chłopaka. – Tu chodzi o twoje życie. Co brałeś? – powtórzył łagodniejszym tonem.

– Marihuanę. – Dzieciak próbował podnieść głowę, ale był na to za słaby. – Jeden mach.

– Nie jestem z policji. Musisz być ze mną szczerzy.

Chłopaknie zareagował. Powieki zaczęły mu opadać, puls znowu zwolnił.

– Niech to szlag! Łóżko z respiratorem i cała toksykologia na cito. Przenosimy go na OIOM – zadysponował doktor.

Ratownicy wyjęli z szafki worek ambu, nie czekając na dalsze wskazówki. Jeden rozpoczął wentylację, drugi złapał za ramę łóżka i pchnął je w kierunku drzwi. Dyżurna pielęgniarka uprzedziła telefonicznie załogę OIOM-u, że zaraz przybędzie im nowy pacjent.

Wychodząc z izby przyjęć, Huzar zderzył się w drzwiach z chłopakiem wyglądającym na kolegę pacjenta. Był ubrany cały na czarno, co jeszcze bardziej podkreślało błądź jego twarzy. Miał zadbane długie włosy, pryszczatą cerę i aparat na zębach. Prawdopodobnie pochodził z dobrego domu i właśnie przeżywał okres buntu.

– Co z Miśkiem? – zapytał, patrząc trwoźnie na Huzara. – Tym chłopakiem, co go przed chwilą przywiozła karetka.

– Ćpałeś z nim? – zapytał doktor z nadzieją w głosie.

– Nie. – Dzieciakskrył się za rozpuszczonymi włosami.

– A wiesz, co on brał?

Ochoczo pokijał kudłatą głową.

– Czacze, weed, to znaczy marihuanę – wyjaśniał niepewnie, widząc niebezpieczną dzikość w oczach lekarza.

– Mów prawdę albo natychmiast wzywam policję! – zagroził Huzar. – Przestań mi tu pieprzyć, bo twój kolega właśnie umiera!

Przyjaciel Miśka wyglądał tak, jakby miał zaraz do niego dołączyć.

– Przy sięgam! – powiedział i wyciągnął z kieszeni skórzanej ramoneski woreczek z suszem. – Dzisiaj jest moja osiemnastka. Ta trawa leżała schowana w gitarze ze dwa miechy. Ja nie mogę palić, bo starzy każą mi sikać do słoika, więc chciałem chociaż kumpla poczęstować. To czysta, najprawdziwsza gandzia. Przy sięgam na Lucyfera!

1 grudnia

Karłowice, ulica Konopnickiej

Gorbaczewski podciągnął się na rękach. Machał bezwładnie stopami, brudząc ubłoconymi podszewami elewację. W końcu przerzucił prawą nogę i usiadł okrakiem na parapecie. Odczekał kilka sekund, sprawdzając, czy nikt go nie usłyszał, a następnie wszedł do ciemnej sali bilardowej. Przy stanął, aby uspokoić łomoczące serce, i rozejrzał się dookoła. Zdjął buty, a potem wyciągnął przed siebie małą ledową latarkę i ruszył w kierunku przedpokoju. Skradał się na palcach, chociaż twardy marmur tłumiał każdy dźwięk. W połowie korytarza sięgnął do kieszeni sportowej kurtki. Wyjął owiniętą w szmatę drewnianą imitację długiego sztyletu. Tak uzbrojony, zrobił jeszcze kilka kroków po schodach na piętro. Nagle przystanął, wskazując palcem na podłogę.

– Tutaj potknąłem się o rzucony but. O mało się nie wyrzuciłem, upuściłem latarkę – relacjonował bezbarwnym głosem. – To prawdopodobnie musiał usłyszeć Patocki. Dlatego wstał z łóżka i zaczął węszyć.

– Mimo to nie zrezygnował pan z akcji? – zapytał komisarz, który z pietyzmem śledził każdy ruch podejrzanego. Ostatnia eskapada do Mirkowa przygotowana została na wariackich papierach, ale trzeba przyznać, że Kolasa spisał się wyśmienicie. Brygada policyjnych nurków z oddziału specjalnego przyjechała na miejsce pół godziny po telefonie. Niedźwiecki dowodził nimi jak admirał floty wojennej. Załoga miała dużo szczęścia, panując o tej godzinie ciemności paradoksalnie pomogły w poszukiwaniach. Jezioro było płytkie, a figurka leżała niedaleko pomostu dla rybaków. W świetle rozstawionych na brzegu olbrzymich filmowych lamp rzeźba błyszczała jak wielka złota bryła. Oczywiście nie było szans, aby zachowały się na niej odciski palców mordercy czy ślady krwi ofiary. Woda usunęła wszystkie pamiątki z tamtej nocy. Gorbaczewski wiedział jednak, że gra skończona. Nie był rasowym mordercą. Po prostu skorzystał z okazji, by zarobić spore pieniądze. Został wplątany w grę, w której ostatecznie nie było zwycięzców.

– Miał być pijany, bezbronny jak dziecko – wyjaśniał marszand, omiatając jasnym strumieniem latarki drzwi sypialni. – A on rzucił się na mnie jak furia. Wpadłem w panikę, ale wiedziałem, że nie mogę się wycofać.

Niedźwiecki kiwnął głową na Zarebę. Ten podniósł z małżeńskiego łóżka policyjnego manekina wypchanego słomą i wyciągnął przed siebie.

– Proszę zapozorować walkę – rozkazał komisarz.

– Ja miałem długi kuchenny nóż, on tę figurkę z brązu. Miotał nią na oślep – tłumaczył Gorbaczewski, machając imitacją sztyletu. Aspirant podążył we wskazanych przez marszanda kierunkach, trzymając w ręce paskudną kulę. Przeszedł od łóżka z baldachimem po stojący na drugim krańcu sypialni rzeźbiony kredens. – Trafiłem go w ramię i klatkę piersiową, ale sam też oberwałem. Zrobiło mi się ciemno przed oczami – dodał Gorbaczewski.

W pewnym momencie drewniany nóż wypadł mu z ręki. Marszand zatoczył się, jakby miał zaraz stracić przytomność. Oddychał łapczywie, ze świstem połykając powietrze.

– Wtedy przyszła na pomoc Patocka? – zapytał Niedźwiecki.

Marszand podniósł głowę i popatrzył na komisarza szeroko otwartymi oczami.

– Tak – potwierdził, wypływając z siebie głęboko skrywane wspomnienia. – Marlena rzuciła się od tyłu i zaczęła go dusić. Nikodem zgłupiał. Złapał ją za dłoń, potem pochylił się do przodu i gwałtownie obrócił, uderzając figurką w czoło. Marlena osunęła się na ziemię. Nikodem nie wiedział, czy ma ją przeproszać, żądać wyjaśnień, czy też ostatecznie rozprawić się ze mną. Wykorzystałem moment konsternacji i wbilem mu nóż w szyję. Trafiłem w tętnicę. To był koniec walki. Na szczęście kości miałem całe. Zostały tylko siniaki na plecach i twarzy. Wykurowałem się, zanim po raz pierwszy mnie przesłuchaliście.

– Ale przed żoną nie mógł pan tego ukryć – podchwycił komisarz. – Ona jako pierwsza powiązała fakty.

– Tak – szepnął zrezygnowany Gorbaczewski.

– Jednego nie rozumiem – stwierdził prokurator Rapacki, który do tej pory pozwalał, aby to komisarz celebrował zwycięstwo nad marszandem. – Skoro Marlena Patocka była pana współniczką, dlaczego zdecydowała się zeznać?

Gorbaczewski schował twarz w dłoniach. Zaczął płakać.

– Ona jeszcze przez chwilę była przytomna – powiedział, szlochając. – Błagała, żebym zawiózł ją do szpitala. Zaraz potem straciła świadomość, dostała drgawek. Myślałem, że umiera. Zabrałem nóż, figurkę i uciekłem. Resztę historii już znanie.

– Zeznanie w szpitalu miało być zemstą za to, że nie udzielił jej pan pomocy – mruknął Rapacki.

– Albo spowiedzią – dodał komisarz.

Zaręba odłożył wreszcie na podłogę skajowego manekina i nachylił się nad uchem komisarza.

– O co w tym wszystkim biega, szefie? Trochę się pogubiłem.

2 grudnia

**Galeria handlowa,
plac Dominikański**

– Olaf Gorbaczewski zobaczył przez przypadek szykowany na wystawę feralny obraz. Czując, że odkrył coś ważnego, postanowił porozmawiać z Patocką. Marlena zorientowała się, że Nikodem poznał tajemnicę sprzed lat i pragnie zemsty. Chciał ją skompromitować, sprzedać dom, a potem zażądać rozwodu. Gdyby wyszło na jaw, że usunęła dziecko, straciłaby również pracę w fundacji. Straciłaby wszystko. Musiała uprzędzić jego ruch. Zaplanowała morderstwo.

– Odwróć się tyłem – zakomenderowała Julka, patrząc uważnie na męża.

Podobno sklepy z odzieżą stosują nieuczciwe praktyki, przygotowując lustra w ten sposób, aby człowiek wydawał się w nich szczuplejszy i wyższy. Teraz jednak o iluzji nie mogło być mowy. Niedźwiecki wyglądał w tej koszuli świetnie. Komisarz od godziny pokornie znosił wszystkie szklany związane z wymianą garderoby. Cierpliwie chodził po butikach, zdradzając między jedną a drugą przymiarłą tajne szczegóły śledztwa. Nie miał wyrzutów sumienia. Wiedział, że Kolasa i tak wszystko wygada dziennikarzom TVN, a Zaręba kolegom z dzielnicy. Julka zaś nie zamierzała oszczędzać, bo na konto wpłynęła właśnie premia za rozwiązanie sprawy Patockich.

– Dobrze ci w zielonym. Trzeba było zostać żołnierzem, a nie policjantem. – Podała mu kolejną koszulę. – Dlaczego Gorbaczewski został jej współnikiem? – zapytała, ścisząc głos.

– To proste – tłumaczył Niedźwiecki, walcząc z guzikami. – Gorbaczewski grał na giełdzie. Miał długi, które spłacał pieniędzmi z obrazów. Patockiemu zaś mówił, że jeszcze ich nie sprzedał. Takie kłamstwo miało krótkie nogi. Malarz umiał liczyć i szybko się w tym połapał, więc chciał zwolnić marszanda. Ten tracił najlepszego klienta i musiałby oddać wszystkie pieniądze. Gorbaczewskiemu śmierć Patockiego była tak samo na rękę jak Marlenie. Kiedy do ratusza zamiast dwudziestu prac dojechało dziewiętnaście, było jasne, że Patocki musi zginąć. Tego dnia organizował imprezę, więc można było w ciemno obstawiać, że ledwo doczołga się do łóżka. Marlena otworzyła okno, chciała upozorować włamanie. Po zabójstwie Gorbaczewski miał ją związać, ukraść kilka cennych rzeczy i pieniądze, a potem zwiać. Marlena zeznałaby, że napadło ich trzech żądających gotówki bandziorów. Zbrodnia prawie doskonała.

– Prawie niedoskonała – uśmiechnęła się Julka, prezentując kolejny uginający się pod ciężarem materiału wieszak – A co powiesz na taką prążkowaną marynarkę? Będziesz w niej wyglądał jak Kurt Wallander.

– Zwariowałaś. – Komisarz z oburzeniem popatrzył na czterocyfrową kwotę na metce. – Koniec tej rozpusty!

Wyszedł ze sklepu, machając papierową torbą. Był bogatszy o trzy koszule, krawat oraz gratisowe skarpetki z logo sklepu. Julka złapała go za rękę i pociągnęła w kierunku ruchomych schodów. Galeria była już przystrojona w ozdoby świąteczne. Obok fontanny chodził ubrany w czerwoną kapotę woniejący alkoholem Mikołaj. Rozdawał dzieciom cukierki i krzyczał „ho, ho,

ho!". Ustawione na stojakach wielkie głośniki grały pierwsze w tym roku kolędy. Ludzie potykali się o siebie, z dzikością w oczach szturmując kolejne sklepy. Na każdej szybie widniał napis w stylu „Zimowa wyprzedaż!!!”, „Bombka w prezencie!!!”, „Minus siedemdziesiąt procent!!!”. Przy kasach stały plastikowe chińskie choinki. Zapach igliwia zapewniały elektryczne odświeżacze powietrza o nazwie Boże Narodzenie. Niedźwiecki heroicznie przeciskał się przez tłum. Myślał o tym, że gdyby Dante żył w naszych czasach, opisane przez niego piekło wzbogaciłoby się o kolejny krąg.

Przystanął przy wejściu do księgarni.

– Kupisz sobie książkę na końcu – powiedziała ostro Julka. – Teraz idziemy szukać butów.

– Cicho. – Komisarz położył palce na ustach i zrobił dwa kroki w tył. – Zobacz, kto tam jest!

– Gdzie?

– Naprzeciwko wejścia.

Julka wspięła się na palce i z ciekawością zajrzała do środka. Przy półce z poradnikami stał Henry Kolasa. Były od niego godność i dostojeństwo. Miał na sobie błyszczące lakierki, spodnie w szkodłą kratę i gruby biały golf. W rękach trzymał tom w twardej oprawie.

– Sto złotych zasad protokołu dyplomatycznego – przeczytała obdarzona sokolim wzrokiem Niedźwiecka.

– Czyli jednak to prawda. – Komisarz odłożył siatki z zakupami i usiadł na małej, drewnianej ławeczce przy toaletach. – Po firmie krążą plotki, że Henry ma zostać mianowany szefem ochrony ambasady polskiej w USA – dodał.

– To chyba dobra wiadomość – ucieszyła się Julka. – Wreszcie się go pozbędziecie.

– Jest jeszcze druga pogłoska. – Niedźwiecki przetarł spocone czoło. – Podobno swoim zastępcą chce uczynić jednego z policjantów. Wyjazd na placówkę oczywiście z rodziną.

Julka aż zaniemówiła z wrażenia.

– Waszyngton, amerykański styl życia i ocean na wyciągnięcie ręki? – wykrzusiła.

– W pakiecie z Kolasą.

– Do najlepszych perfum też zawsze dodają kroplę smrodliwej substancji – zbagatelizowała Julka. – Podejrzewasz, kto z nim pojedzie?

– Nie. – Niedźwiecki się zaczerwienił.

– Chodź, wrócimy kupić tę marynarkę – zarządziła.

– Nie żartuj – zachnął się komisarz. – Nawet jeśli to miałbym być ja, i tak odmówię.

– Ale odmówisz mu w nowej marynarce. Chodź! – Pociągnęła go za rękę.

Drobne zamieszanie wystarczyło, aby stojący za szybą inspektor wypatrzył w tłumie przechodniów swojego podopiecznego. Podszedł i przywitał się, całując Julkę w rękę z głośnym cmoknięciem.

– Świetnie, że cię widzę. Mam jedno pytanie. Wolałbym je zadać poza pracą.

– Jasne. – Komisarzowi głos uwiązł w gardle.

– Niedługo odchodzę do innych zadań. Może coś o tym słyścieś?

– Trochę...

Kolasa spuścił skromnie wzrok

– Poznałem w tej komendzie wielu wartościowych ludzi – mówił, przekrzykując dudniące z głośników koledy. – Z jednym z nich chciałbym dalej współpracować. – Poglaskał trzymany w ręku podręcznik dyplomacji. – Imponują mi jego zdolność kojarzenia faktów, elastyczność i umiejętność sprawnego referowania tematów. Dlatego chciałbym cię zapytać – zrobił zgrabną pauzę – czy nie będziesz miał nic przeciwko temu, że aspirant Zaręba pojedzie ze mną na placówkę do Stanów?

4 grudnia

Areszt śledczy, ulica Świebodzka 1

Sala widzeń miała tylko jedno, ale za to podwójnie okratowane okno. W środku znajdowały się ustawione w rzędach stoliki. Przy każdym stały po dwa zniszczone drewniane krzesła. Na ścianie wisiał duży zegar na baterie. Pół roku temu z jasnej tarczy odpadła wskazówka sekundowa. Pokryta starą wykładziną podłoga skrzypiała przy każdym kroku. Mimo że wnętrze było brzydkie i nieprzytulne, każdy podejrzany marzył, aby przychodzić tu jak najczęściej. Spotkania w sali widzeń były dla aresztantów jedną z nielicznych atrakcji.

Przy grubych, pomalowanych na biało drzwiach siedział wąsаты strażnik Znudzony, czytał kolorową gazetę motoryzacyjną. Co chwilę podnosił wzrok. Surowo marszczył brwi na znak, że wszystko, co dzieje się w pomieszczeniu, jest pod całkowitą kontrolą. Mecenas Jacek Dulkiewicz usiadł jak najdalej od niego. Był pogrążony w bardzo konspiracyjnej rozmowie.

– Proszę pamiętać, że to pani musi jako pierwsza wystąpić o rozwód – tłumaczył, stukając palcem w stół. – Jeśli zrobi to mąż, będzie mógł korzystać z artykułu czterysta dwadzieścia osiem i nie pojawiać się na rozprawie. W ten sposób przeciągnie całą rzecz nawet o kilka lat.

Ada Kwietniowska wyglądała na skonsternowaną.

– Z tego, co wiem, nałożono na pana zakaz wykonywania zawodu? – zapytała łagodnie.

– Chwilowo – uspokoił ją mecenas. – Jestem niewinny. Niedźwiecki o tym wie. Wyjdę stąd szybciej, niż się wszystkim wydaje – powiedział, uśmiechając się do strażnika.

Klawisz kiwnął łaskawie ogoloną głową i wrócił do lektury.

– Dlaczego chce mi pan pomóc? – docięła Kwietniowska.

Kobieta od dwóch miesięcy mieszała z synem u swoich rodziców w bloku na Popowicach. Oskar nawet nie próbował jej przeprosić. Słyszała, że planuje wyjechać do Francji, by badać zwyczaje starożytnych Galów. Kiedy Kwietniowska uznała, że mąż jak zwykle spadł na cztery łapy, skontaktował się z nią pełnomocnik Jacka Dulkiewicza. W imieniu swego mocodawcy prosił o spotkanie w areszcie. Ada miała już niewiele do stracenia. Przyszła na Świebodzką o umówionej godzinie.

– Pani mąż mnie tu wsadził, ale gra nie jest jeszcze skończona – stwierdził Dulkiewicz, odnotowując, że jego gość ma równe białe zęby i duże, smutne, brązowe jak bursztyn oczy. – Na razie będzie panią reprezentował mój pełnomocnik, mecenas Shultz. Wierzę jednak, że niedługo sam się wszystkim zajmę.

Jacek Dulkiewicz schudł, ogolił głowę na zero i zapuścił brodę. Codziennie robił pompki i podciągał się na stelażu łóżka. Dbał o siebie bardziej niż na wolności i było już widać pierwsze efekty.

– Nie mam ani grosza, żeby panu zapłacić – wyznała Ada, kuląc się w sobie.

– W życiu chodzi nie tylko o pieniądze – powiedział z powagą. – A pan doktor pożałuje dnia, w którym z nami zadarł. Najpierw dobiere się do jego nieruchomości. Potem zajmiemy się pracą na uczelni. Nie mam też wątpliwości co do tego, kto powinien opiekować się waszym synem.

– Dom jest przepisany na niego. Tak było wygodniej ze względu na podatki. – Kwietniowska pokręciła głową. Oskar był przewidujący i sprytny. Prawdopodobnie od pierwszego dnia małżeństwa zabezpieczał się na wypadek rozwodu.

– Ale działkę dostała pani od swoich rodziców w prezencie ślubnym – stwierdził Dulkiwicz, udowadniając tym samym, że mecenas Shultz nie zasypia gruszek w popiele i dotarł do wszystkich potrzebnych dokumentów. – Akt notarialny został podpisany jeszcze przed zawarciem małżeństwa. Formalnie więc ziemia należy tylko do pani. To bardzo komplikuje sytuację doktora. Znajdziemy jeszcze kilka takich kruczków.

– Minuta do końca widzenia! – krzyknął strażnik, zamykając gazetę.

– Teraz będę miał do pani prośbę – szepnął mecenas, nachylając się w stronę Kwietniowskiej. – Proszę zapamiętać adres: Opole, ulica Kwidzyńska 12/14.

– Po co? – Kobieta zamrugała powiekami.

– Tam mieszka dziewczyna, która kilka lat temu studiowała w Instytucie Historii Kultury. Niestety nie uzyskała tytułu magistra. – Mecenas rozłożył ręce z udawanym smutkiem. – Wyprowadziła się z Wrocławia. Niech pani zgadnie dlaczego?

Przez zmęczoną twarz Kwietniowskiej przeszedł grymas.

– Mam ją przekonać, żeby zgodziła się zeznawać? – zapytała.

– Tak. Proszę też ją spytać, czy powinniśmy jeszcze z kimś porozmawiać. Może utrzymuje kontakt z innymi ofiarami. W tym przypadku proces zbiorowy byłby idealny. Nawet bez twardych dowodów możemy liczyć na wygraną.

– Pan chce mi pomóc czy po prostu zniszczyć Oskara?

Dulkiwicz zastanowił się przez chwilę.

– Powiedzmy, że jednym posunięciem załatwię obie sprawy. Jest tylko jeden warunek, który musi pani spełnić.

– Tak? – zaniepokoiła się Kwietniowska.

– Gdy będzie już po wszystkim, da się pani zaprosić na kawę. Tak się składa, że również ostatnio wstąpiłem do klubu singli. Moja była żona niedługo zacznie żyć na własny rachunek. Ma dobry zawód, poradzi sobie. Ładne kelnerki zawsze będą w cenie.

Ada wbiła wzrok w zabazgrany blat stolika. Po raz pierwszy od ślubu z Oskarem ktoś ją podrywał. Na dodatek w tak skrajnie nieromantycznych warunkach. Poczuli niechęć do strażnika, który, wkładając gazetę pod pachę, dał znak, że ich rozmowa dobiegła końca.

5 grudnia

Komenda Wojewódzka Policji

Zaręba od rana był w świetnym humorze. Zadowolony z siebie, pognał na trzecie piętro do gabinetu Niedźwieckiego. Komisarz nie miał zbyt szczęśliwej miny, był za to ubrany w modną zieloną koszulę i elegancką prążkowaną marynarkę. Julka postawiła na swoim. Cała premia za rozwiązanie sprawy morderstwa Patockich została przeznaczona na ciuchy. Równie dobrze można byłoby wyrzucić te pieniądze do miejskiej fosy.

– Gratuluję awansu. – Niedźwiecki przywitał się tonem, w którym słychać było nie tyle zazdrość, ile raczej smutek, że traci dobrego partnera. – Mam nadzieję, że przyślesz jakąś pocztówkę zza oceanu.

– Może – mruknął Zaręba. – Kojarzy sz taką firmę Super Rata? – powiedział, zmieniając temat.

– Dostajesz pieniądze w pięć minut, spłacasz przez pięć lat. Znam. Na każdym słupie wiszą ich ulotki.

– Otóż to – potwierdził Zaręba. – Dzisiaj rano windyktor z tego zacnego przedsiębiorstwa złożył nam wizytę. Chciał wiedzieć, czy mamy stuprocentową pewność, że zamordowana w parku Szczytnickim dziewczyna to Pola Rajewicz.

– Ciekawe – sapnął Niedźwiecki, choć jego oczy mówiły zupełnie co innego.

– Słuchaj dalej – relacjonował aspirant. – Podobno Pola wzięła u nich pożyczkę. Dwadzieścia okrągłych tysięcy. Jakiś geniusz w Super Racie wymyślił, że ta cwaniara upozorowała własną śmierć. W ten sposób uniknie spłacania kredytu.

– Trzeba z nim pogadać – zdecydował komisarz. – Szykuj się.

– Dalej mnie nie doceniasz – uśmiechnął się szeroko Zaręba. – Starszy windyktor Andrzej Siwiec czeka na korytarzu.

– Prosić – zadysonował Niedźwiecki.

Zaręba otworzył drzwi i machnął ręką do pulchnego faceta z zaczeską na wysokim czole. Miał surową minę i okulary w drucianej oprawie. Jak każdy człowiek biznesu od razu przeszedł do rzeczy.

– Pan oficer też podejrzewa, że ta mała coś kręci? – zapytał niskim tonem Siwiec. – Czego to ludzie nie zrobią, żeby nam uciec! Jeden facet dał się nawet zamknąć w szpitalu psychiatrycznym, a był winny tylko osiem tysięcy – biadolił, siadając na krześle.

– Kiedy Pola Rajewicz przyszła do was po pożyczkę? – Niedźwiecki uciął rozterki windyktora.

– Siódmego października. Twierdziła, że ma nieprzewidziane pilne wydatki. W takich sytuacjach nigdy nie odmawiamy.

Komisarz wykrzywił ironicznie usta.

– Pożyczycie studentce bez zabezpieczeń dwadzieścia tysięcy?

Siwiec zamrugał bystry mi oczami.

– Ta dziewczyna dostawała stypendium socjalne i rentę po ojcu. Raty rozłożyliśmy na osiem lat. Osiemset pięćdziesiąt złotych i trzydzieści pięć groszy miesięcznie – powiedział, wyjmując z kieszeni zapisany cyframi notes.

– Czyli musiałyby oddać cztery razy tyle – przeliczył szybko w myślach komisarz.

– Nikt jej nie zmuszał do brania kredytu – obruszył się windy kator.

– Skoro miała stałe dochody, to mogła pójść do normalnego banku – wtrącił podpierający drzwi Zaręba.

– Wszystko odbyło się zgodnie z prawem – zapewnił Siwiec. – Chcę tylko ustalić, jaką mam szansę na odzyskanie całej sumy. Nie wspomnę już o odsetkach.

Komisarz wyglądał na nieobecnego. Oblizywał wargi koniuszkiem języka jak dziecko, które po raz pierwszy w życiu pisze na kartce swoje imię.

– Ona brała tę forszę, wiedząc, że jej nie odda – wymamrotał w końcu, otwierając oczy.

– Czyli jednak miałem rację. – Zerwał się Siwiec.

– Bardzo panu dziękuję – powiedział komisarz, wyciągając rękę w jego kierunku.

– Dorwiecie ją? – zapytał z nadzieją windy kator.

– To może być trudne. – Niedźwiecki rozłożył ręce. – Ale w jednym się z panem zgadzam: Pola Rajewicz was wykiwała.

6 grudnia

Więzienie w Wołowie

– Też mam dwie pary, ale wyższe. – Sebo rozłożył karty na chybliwym stoliku i zebrał leżące w rządku papierosy.

– Gramy jeszcze raz – warknął Bazyl. – Te służki miały mi starczyć do końca tygodnia.

– Zatrudnij się w pralni, to będziesz miał siano na kantyńkę. – Kuryłowicz odłożył talię. – Kupisz sobie wagon i możemy łać dalej.

– Nie będę się gadom pucował. – Więzień z wytatuowaną na szyi pajęczyną uderzył pięścią w ścianę.

Kuryłowicz z rozkoszą zapalił czerwonego marlboro. Od dwóch tygodni siedział w Wołowie i tak jak przewidywał, szybko się tu zaaklimatyzował. Więzienie było stare, wilgotne i ciasne, jednak funfle spod celi dawali radę. Nie garowali z nim żadni kibice Lecha Poznań, z którymi Wrocław od zawsze prowadził wojnę. Na dodatek tylko jeden koleś był większy od niego, ale siedział za podrabianie dokumentów, więc się nie liczył. Sebo niedługo będzie rządził tą celą i półtora roku minie jak jeden dzień. Czeka go jeszcze sprawa za posiadanie marihuany, ale ten dziwak, który go przykwałał w areszcie, dostanie za swoje. Posłał już gryps na Świebodzką, gdzie od wtorku przebywał jego dobry kumpel.

Gdy gasił ostrożnie reszkę papierosa, tak aby z kępa dało się jeszcze wykuszyć reszkę tytoniu, zaskrzyiała żelazna sztaba.

– Sebastian Kuryłowicz. Na przesłuchanie – krzyknął klawisz, który z powodu czerwonej twarzy miał wśród więźniów ksywę Papryka.

– Na jaką okoliczność?

– Zaraz wszystkiego się dowiesz. – Papryka przycisnął Kuryłowicza do ściany i wprawnym ruchem założył mu na przeguby dłoni służbowe kajdanki.

Więzień zamiast w kierunku sali przesłuchań został zaprowadzony do gabinetu naczelnika. Pokój urządzony był po wojskowemu. Kilka zdjęć z różnych więziennych imprez, solidne drewniane meble, gabłota z książkami o tematyce wojennej, jakieś proporczyki z mistrzostw Polski w strzelaniu z karabinka półautomatycznego.

W środku oprócz ubranego w niebieski mundur pułkownika Michała Kłosa siedzieli jeszcze komisarz Niedźwiecki i mężczyzna, którego oszołomiony Kuryłowicz poznał dopiero po chwili. Znad oparów cygarowego dymu patrzył na niego konfident z wrocławskiego aresztu. Wyglądał dobrze. Miał na sobie kowbojską koszulę i gruby skórzany pas. Najwyraźniej cieszył się już wolnością.

– Co to? Jakaś konfrontacja? – zapytał, patrząc zaczepnie na Dulkiewicza.

– Masz, chłopie, większego pecha, niż przypuszczasz – powiedział mecenas, z obrzydzeniem pociągając nosem. Więzień przyniósł na sobie gorzko-słodki zapach celi.

– Siadaj. Pan komisarz chce z tobą porozmawiać. – Naczelnik wskazał Kuryłowiczowi stojący

pod ścianą taboret.

– Nie ma o czym – burknął chłopak

– Zapamiętaj sobie to spotkanie, bo przez następne dwadzieścia pięć lat będziesz bardzo samotnym człowiekiem. – Dulkiwicz wykrzywił usta.

Niedźwiecki dał mu znak, żeby zamilkł.

– Wiem, że zabiłeś Polę Rajewicz – oświadczył, obserwując reakcję dziecka. – Masz ostatnią szansę, żeby się przyznać.

– To bzdura! – krzyknął Kuryłowicz. – Chcę wracać do siebie – zażądał, wstając z taboretu.

– Siad! – rozkazał naczelnik takim tonem, że więzień momentalnie klapnął na zdydlu.

Niedźwiecki pomyślał, że trzeba będzie potrenować tę sztukę u siebie w komendzie. Popatrzył na przestraszonego chłopaka i wskazał palcem na adwokata.

– Człowiek, przez którego masz teraz kłopoty, to mecenas Jacek Dulkiwicz. Obiło ci się o uszy to nazwisko?

– Nie – przyznał pokornie Kuryłowicz.

– Żałuj, że nie jesteś bardziej dociekiwy. Trzeba było spytać, kogo chce zrobić Pola.

Chłopak nie odpowiedział, ale trenowana na dzielnicy pewność siebie ulatywała z każdą sekundą.

– Powiem ci, jak było – kontynuował Niedźwiecki. – Dziewczyna od lat cierpiała na depresję, która doprowadziła ją do choroby psychicznej. Żyła pragnieniem zemsty i nienawiścią. Najpierw do adwokata, który skrzywdził jej rodzinę, potem do swojego wykładowcy. Podczas wakacji wymyśliła chory, ale bardzo precyzyjny plan. Włamała się do rezydencji mecenasa Dulkiwicza. Szukała czegoś charakterystycznego, co mogłoby posłużyć jako narzędzie zbrodni. W apteczce znalazła silny środek przeciwbólowy. Pewnie nie spodziewała się, że pójdzie tak łatwo. Potem zaczęła szantażować Kwietniowskiego. Wiedziała, że doktor nie wykona zlecenia. Był na to za miękki. Chciała przestraszyć Dulkiwicza i skierować policję na fałszywy trop. Po jej śmierci mieliśmy dwóch podejrzanych. Jeden trafił do aresztu, drugi został skompromitowany. Zemściła się na nich, ale zapłaciła za to własnym życiem.

– Co ja niby mam z tym wspólnego? – Wzruszył ramionami Kuryłowicz.

– Rajewicz zleciła swoje morderstwo. Dziesiątego października nie szykowała się na randkę, tylko na własną śmierć. Ty byłeś jej katem.

– Kłamstwo i pomówienie. – Kuryłowicz wiercił się na zdydlu, jakby płonął pod nim ogień.

– Nie zadawałeś zbyt wielu pytań. Po prostu przyszedłeś o wyznaczonej porze do parku Szczytnickiego. Następnie wziąłeś dwadzieścia tysięcy i zrobiłeś jej zastrzyk w szyję. Po wszystkim grzecznie wróciłeś do domu. Zabrałeś tylko maskotkę. Jako trofeum. Gdyby nie twoja szczeniacka próżność, mecenas Dulkiwicz siedziałby w więzieniu, a ty miałbyś na swoim koncie zbrodnię doskonałą.

– Nie udowodni pan tego, komisarzu – rzucił hardo chłopak

Komisarz sięgnął do kieszeni marynarki. Wyciągnął z niej woreczek z marihuaną.

– Niech pan uważa. W tym kraju za zielone można dostać dwa lata. – Kuryłowicz maskował

strach ironią.

– Jesteś nie tylko zły, ale też bardzo pazerny i głupi – wtrącił Duliewicz.

– Z kapusiem nie rozmawiam – odciął się dzieciak. Chciał coś jeszcze dodać, ale zamilkł, widząc minę naczelnika.

– Zostało ci trochę fentanylu w strzykawce. Wiedziałeś, że ten środek w małych dawkach działa jak narkotyk – tłumaczył Niedźwiecki, prezentując woreczek – Miałeś też kiepskiej jakości trawę. Poszedłeś tropem dilerów, którzy różnymi substancjami ulepszają swój towar. Trochę eteru, skrawek muchomora czy, tak jak w twoim przypadku, fentanyl. Chciałeś zarobić, a o mało nie doszło do tragedii. Masz szczęście, że nikt nie zginął. Kolega jednego z palaczy zeznał, od kogo kupił trawę. Chcesz wiedzieć coś jeszcze?

Komenda Wojewódzka Policji

Na korytarzu pachniało koniakiem, ciastem czekoladowym i angielską herbatą earl grey. Czerwony dywan w gabinecie Henry'ego Kolasy został zwinięty. Zniknęła też pyskata papuga, której dzień wcześniej inspektor wyrobił paszport. Wszyscy bliscy współpracownicy Kolasy otrzymali upominki oraz wiele ciepłych słów.

Niedźwiecki obracał w palcach srebrny nóż do otwierania korespondencji i słuchał przemówienia szefa, który zgromadził ponad stu chłopów w sali prób orkiestry reprezentacyjnej Komendy Wojewódzkiej. Większość policjantów przyszła tylko po to, aby na własne uszy przekonać się, że szef naprawdę ich opuszcza. Dobrych wiadomości zawsze najlepiej wysłuchać osobiście.

Zanim przeszedł do meritum, Kolasa mówił kwiecicie o przyjaźni, wspaniałym polskim temperamentem, zaufaniu, a także wyższości psychologii nad intuicją. Zaręba ziewał, niedbale zasłaniając usta wierzchem owłosionej dłoni.

– Dlaczego mu odmówiłeś? – zapytał aspiranta na ucho Niedźwiecki, gdy na sali zabrzmiały gromkie okłaski.

– Ania z archiwum opowiadała mi o Himilsbachu. Czaisz takiego aktora?

– Nie zadawaj głupich pytań – zdenerwował się komisarz.

– Otóż ten Himilsbach dostał propozycję zagrania w Hollywood – zaczął opowieść Zaręba. – Był tylko jeden warunek musi się jako tako nauczyć angielskiego. Aktor stwierdził, że sprawę przemyśli. Po tygodniu poszedł do producenta i powiedział, że nigdzie nie jedzie. „Jak to? – spytał zaskoczony producent. – Taka szansa się już więcej nie powtórzy!” „Dobra, dobra” – ciągnął Zaręba. – Himilsbach kombinował tak film raz jest, raz nie ma, a ja z tym angielskim jak chuj zostanę.

Komisarz uśmiechnął się łaskawie. Słyszał tę historię już z pięć razy, jednak nikt nie potrafił opowiedzieć jej tak zwięźle jak Zaręba.

– A teraz tak prosto z mostu – nalegał Niedźwiecki. – Dlaczego nie chcesz jechać do Stanów?

– Po pierwsze, nie lubię amerykańskiego zarcia – wyliczał na palcach Zaręba. – Po drugie, mam ochotę zabijać, gdy słyszę country. Ale przede wszystkim nie trawię inspektora Kolasy. Wolę pierogi mojej babci, swój Nowy Dwór i ciebie.

Podziękowania

Pamiętam dzień, gdy dostałem propozycję praktyk w nowo powstałej gazecie „Polska. The Times”. Miałem już wtedy poukładane życie oraz ciepłą pracę w firmie chemicznej. Jednak pokusa była silniejsza. Uzbrojony w błogosławieństwo żony spakowałem walizkę i ruszyłem do Warszawy, by przez chwilę spełnić marzenia o pisaniu. To miały być miesięczne wakacje, które trwają do dziś. Stało się tak dzięki:

Asi Knap,
Mirze Suchodolskiej,
Hubertowi Musiałowi,
Piotrkowi Maślakowi,
Marcie Tyszler,
Łukaszowi Bajbakowi,
Basi Brzeskiej,
Oli Rosiak,
Piotrkowi Wąsińskiemu,
Wojtkowi Todorowi,
Kubie Miszczakowi,
Adzie Przetackiej,
Małgorzacie i Józefowi Przygodzkim.

I wielu, wielu innym nietuzinkowym osobowościom, które spotkałem na swojej literacko-dziennikarskiej szosie.

Dziękuję.